

400+

Gazeta do czytania



CHEMIA BUDOWLANA
GREINPLAST



KLASYCZNIE
i elegancko

NOWOCZEŚNIE

ELEGANCKO

KLASYCZNIE



NOWOCZEŚNIE
i elegancko



www.greinplast.pl



Jeśli zateęskniłeś za czytaniem...

Na początku było słowo... I wierzymy, że tak pozostanie. Zmieniają się czasy i sposoby komunikacji między ludźmi, ale ufamy, że słowo będzie nadal najważniejszą formą porozumiewania się. Istnieją oczywiście pesymiści, którzy przepowiadają, że komunikacja obrazkowa pod pewnymi względami cofa nas do czasów, kiedy człowiek zamieszkiwał jaskinie i ponoć jesteśmy już blisko punktu wyjścia. Pisanie obrazkami z naszego smartfona to podobno powrót do tamtego etapu – dysponujemy coraz mniejszym zasobem słów, za to mamy coraz większy wybór emotikonów w telefonie. Komu to wystarcza – powodzenia.

Czytelnicy DTS przekonują nas jednak, że interesuje ich świat opisywany słowami. Historie obrazkowe są jedynie uzupełnieniem dania głównego. Ale uwaga – coraz więcej wśród nas takich, którzy zaczynają się nerwowo rozglądać za prawdziwymi tekstami, którymi można się nacieszyć do syta. Oni po prostu tęsknią za smakowitym daniem z dobrej restauracji, bo ileż można jeść hot dogi z ulicznej budki? Dlatego dla nas w „Dobrym Tygodniku Sądeckim” nadal wielką pasją jest rozmowa (a mówiąc językiem branżowym

– wywiad), jako najlepsza forma poznawania drugiego człowieka. Rozmowa – bo wywiad chyba jednak bardziej pasuje do służb specjalnych, albo chociaż do pielęgniarstwa środowiskowego – to nieustająca przystojna, gdzie niemal w każdym zdaniu dowiadujemy się czegoś nowego.

Dlatego, iż wierzymy w moc słowa, postanowiliśmy z okazji ukazania się 400. numeru „Dobrego Tygodnika Sądeckiego” przypomnieć najciekawsze – naszym zdaniem – teksty z minionych ośmiu lat. To oczywiście trudne zadanie, ale zaryzykowaliśmy. A nasze czterechsetne (ale trudne słowo!) specjalne wydanie DTS zatytułowaliśmy zgodnie z nomenklaturą współczesnych czasów – 400+. Nawet trochę dla żartu chcieliśmy dodać, że wydanie 400+ to bezpłatny dodatek do 500+, czyli coś, co możecie poczytać Waszym dzieciom, żeby im już absolutnie niczego nie brakowało. Z okazji ósmych urodziny tygodnika – jako prezent od nas – proponujemy Wam przeniesienie się w świat bohaterów naszych tekstów i rozmów. Dobrej lektury. Jak to mawiał pewien znajomy podwórkowy filozof biorąc gazetę do ręki nieutrudzonej zbytnio żadną pracą: jest co poczytać!

WOJCIECH MOŁENDOWICZ

Redaktor naczelny Wydawnictwa DOBRE

ts dobry tygodnik sądecki

Nr 27 (400), 28 czerwca 2018 / WYDANIE SPECJALNE



ANNA KĄDZIOŁKA

11 / Psycholog przekonuje, by celebrować powolne jedzenie, delektować się chwilą i zafundować sobie dzień w piżamie



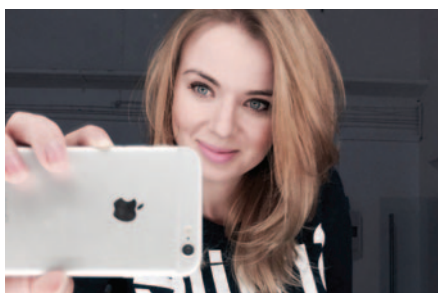
MAREK LUBAŚ

14 / Robilem wówczas za fizycznego. Głupio, gdy inni robole się śmieją, jak jakiś fizyczny coś tam napisze – tłumaczy się pisarz



EDYTA BRONGIEL

28 / Najważniejsza kobieta w sądeckim magistracie wspomina, że traktowali ją jak jeża



IRINA OVCINICOV

34 / Jak Mołdawianka, która nauczyła się języka polskiego z telewizji, trafiła do Nowego Sącza



KRYSTYNA BARAN

42 / Prezes firmy Wiśniowski, nie tylko o wielkim biznesie. Również o drożdżach w sklepie dziadka



TOMASZ BRZESKI

47 / Jak to się stało, że sportowiec który roztrzaskał się o skały, skleja swoje życie na nowo

4 / Charles Merrill junior

Dlaczego spadkobierca bajecznej fortuny mieszkał w bloku na sądeckim osiedlu?

7 / Rodzina Buczerów

W Nowym Sączu w latach 30. XX wieku znajdowała się montownia fordów

24 / Andrzej Gieniec

Nowy Sącz ma jeszcze jednego głośnego przedsiębiorcę. Media okrzyknęły go najmłodszym milionerem w Chicago

38 / Piotr Fałowski

Nieustannie myśli o tej chwili, kiedy rzucił się do lodowatego Dunajca za tamtą kobietą

62 / Antoni Bugajski

Cierpliwie tłumaczy dlaczego na Sandecji nie można zarobić

72 / Bracia Koral

Jak Marian i Józef budowali lodowe imperium, które rozstawiło miasto

78 / Mariola Pawlak

O chorobie i śmierci męża – najlepszy rok wspólnego życia

88 / Sułowiczowie

Być może opowieść o Annie i Eugeniuszu to najpiękniejsza historia miłosna świata

106 / Maria Olech

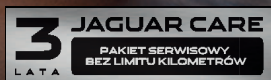
Jej imieniem zostało nazwane wzgórze na King George Island i porost antarktyczny

109 / Robert Bakalarz

Dlaczego nawet lekarze boją się oddziału onkologii klinicznej

NOWY JAGUAR E-PACE

ZAWSZE W CENTRUM UWAGI



Jaguar E-PACE to najmłodszy członek rodziny SUV-ów spod znaku Jaguara, który dumnie kroczy ścieżką wytyczoną przez zdobywcę tytułu Światowego Samochodu Roku 2017 - przełomowego F-PACE.

Jaguar E-PACE to 5-miejscowy, kompaktowy SUV, który stanowi połączenie typowych dla marki Jaguar sportowych osiągnięć i dynamicznej linii nadwozia z przestronnym, praktycznym i oferującym nowoczesne rozwiązania multimedialnym wnętrzem.

Całość uzupełnia układ napędu na cztery koła i nowoczesne jednostki napędowe o mocy do 300KM.

CAR-MASTER Autoryzowany Diler Jaguar
ul. Jasnogórska 97, 31-358 Kraków
Filia: ul. Prażmowskiego 11, 33-300 Nowy Sącz

www.car-master.com.pl

**OD 1459 ZŁ NETTO/MIES.
JAGUAR PREMIUM LEASE**

THE ART OF PERFORMANCE

EMISJA CO₂: manualna skrzynia biegów - od 124g/km, automatyczna skrzynia biegów - od 147g/km.
SPALANIE W CYKLU MIESZANYM: manualna skrzynia biegów - od 4,7 l/100km, automatyczna skrzynia biegów - od 5,6 l/100km.



Opowieść nie tylko o pieniądzach

Charles kontra Charles

Było ich dwóch o tym samym imieniu: ojciec i syn. Ziemia i Niebo. Bach i Beethoven... Gdy w Nowym Sączu zmarł milioner Charles Merrill junior – świat oszalał w gąszczu pytań: a co on u licha tam robił? Cemu nikt nie wiedział, że TEN człowiek mieszka w powiatowym miasteczku na południu Polski? Odpowiedzi są proste: Co robił? Kochał i pomagał. Jak to się stało? Po prostu: nie lubił rozgłosu. Był skromny.

Ojciec Charles, który przyszedł na świat 19 października 1885 r. był najpierw zwyczajnym chłopakiem z Florydy, a później bogaczem – twórcą firmy brokerskiej Merrill Lynch & Co. Pierwszy milion dolarów zarobił przed trzydziestymi urodzinami. Był też republikaninem i konserwatystą. Miał talent, który sprawiał, że wszystko, czego dotknął, zamieniało się w fortunę. Uwielbiał grę w golfa, uwielbiał otaczać się wpływowymi ludźmi i uwielbiał wygodne, luksusowe życie.

Nie dla takich chudzin nasze wspaniałości

Syn Charles, rocznik 1920, był najpierw spadkobiercą olbrzymiej fortuny, a później filantropem, dobroczyńcą młodych ludzi, o których wiedział, że będzie im ciężko sięgnąć po sukces, jeśli ktoś nie pomoże. Postanowił, że będzie pomagał. Był demokratą. Uwielbiał otaczać się zwykłymi ludźmi i... jak pisał o nim Czesław Miłosz „zdawał się czerpać przyjemność z wyglądu i zachowywania się jak biedak. Toteż woźni nie dopuszczali go nieraz przed oblicze osób kierujących instytucjami, którym pomagał, a lekcję o pancernej Polsce po upadku komunizmu otrzymał w świeżo odnowionym Hotelu Francuskim w Krakowie. Starszy kelner złapał go za kark i wy-

prowadził. Nie dla takich chudzin te nasze wspaniałości... Sam o tym opowiadał z humorem”. Miał talent, dzięki któremu potrafił dmuchać ludziom w skrzydła, prowokując ich do lotu po szczęście.

W poszukiwaniu Kmiciców i Skrzetuskich

Charlesa seniora i Charlesa juniora łączyło imię i więzy krwi. Dzieliło wszystko. Chcąc poznać świat zupełnie inny niż ten, który otaczał ojca, 19-letni Charles – syn wybrał się z przyjacielem do Europy – do Francji, Niemiec i do Polski. Znał Polskę tylko z powieści Henryka Sienkiewicza. Dzięki sienkiewiczowskiej „Trylogii” polubił Polaków. W poszukiwaniu współczesnych Skrzetuskich, Wołodyjowskich i Kmiciców dotarł między innymi do Nowego Sącza. Ale zanim dotarł, była wojna. Był żołnierzem. Z Afryki przez Maroko, Algierię i Libię dotarł do Włoch. Wojenne ścieżki zetknęły go z Polakami, w których poznał współczesnych Skrzetuskich, Wołodyjowskich i Kmiciców.

Miłosz sądził, że to wywiadowca CIA

Pod koniec wojny – właśnie w Polsce poznał też żydowskiego nastolatka, Bernarda Rosnara. Pomógł mu wyjechać z piekła, opłacił naukę w amerykańskiej szkole, a później studia. Bernard został prawnikiem. Charles przekonał się, że to, co zrobił, odmieniając czyjeś życie, daje mu ogromną radość. Siegnął więc po następne powody do radości: w 1946 r. założył w St. Louis Thomas Jefferson School, a w 1958 r. – w Bostonie – Commonwealth School, gdzie przez blisko ćwierć wieku uczył historii, prowadził kółko biblijne i sprawował dyrektorskie rządy dbając o to, aby jego szkoła była trawą do lepszego życia dla wszystkich bez

względu na narodowość, kolor skóry, zasobność portfela. Ciekawość świata i ludzi pognęła go w świat. Pierwszym miejscem, do „ucieczki” z Ameryki na dłużej był Paryż. Przywiózł stamtąd przyjaźń z Czesławem Miłoszem i jeszcze większą ciekawość Polski. „Był tak ciekaw wszystkiego, co mogłem mu opowiedzieć o Polsce, że sądziłem, iż mam do czynienia z wywiadowcą CIA” – wspominał Charlesa Merrilla Miłosz. Z Paryża do Krakowa i Nowego Sącza był przysłowiowy rzut beretem.

Julia..., nic to

Charlesa seniora i Charlesa juniora różniło jeszcze jedno: ojciec kolekcjonował żony. Nazywano go Good Time Charlie – Lolek Bawidamek. Dorobił się trzech. Syn nigdy się nie rozwiódł. Ze swoją pierwszą żoną przeżył 60 lat. Zmarła w 1999 roku. Los, albo Bóg chciał, aby w nowosądeckiej szkole SPLOT, którą Charles junior – pasjonat pomagania – pomagał tworzyć, pracowała nauczycielka języka angielskiego, Julie Boudreaux. Charles Merrill odnalazł w Julii swoją Baśkę. Gdyby dziś można było go słyszeć z zaświatów, z pewnością dotarłoby do Nowego Sącza mniej więcej to samo, co mały rycerz mówił do swojej damy: „Julia..., nic to...”.

Na Millenium nie wiedzieli, kim był sąsiad

Charles Merrill zmarł w Nowym Sączu 29 listopada 2017 r. Gdy „Dobry Tygodnik Sądecki” posłał w świat wieść, że odszedł bardzo bogaty i bardzo dobry człowiek, dla którego Nowy Sącz był drugim miastem, a Polska – drugą ojczyzną, i który olbrzymi majątek zainwestował w pomaganie nowosądeckim dzieciakom, świat się zadziwił. Nawet sądeczanie z Millenium nie wiedzieli, że mieli takiego sąsiada. W minioną sobotę



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Julie Boudreaux i Charles Merrill

nad jego urną wspominali go przyjaciele z Małopolskiego Towarzystwa Oświatowego, które pomagało mu pomagać. Fundował dla podopiecznych MTO stypendia, darował książki i obrazy, darował siebie.

– W latach 2000–2016 Małopolskie Towarzystwo Oświatowe dzieliło się swoim doświadczeniem z okresu transformacji z 12 krajami byłego obozu sowieckiego (Albania, Macedonia, Bośnia i Hercegowina, Kosovo, Serbia, Bułgaria, Rumunia, Moldova, Ukraina, Gruzja, Azerbejdżan i Białoruś). Zapraszaliśmy do Nowego Sącza nauczycieli, rodziców i dyrektorów szkół z małych, prowincjonalnych miasteczek i pokazywaliśmy na własnym przykładzie, dlaczego warto zakładać i rejestrować stowarzyszenie typu „rodzice i nauczyciele”. Metodą warsztatów uczyliśmy, jak tworzyć projekty, układać budżety, szukać sponsorów, aplikować o granty i oceniać efekty. Wiele tysięcy ludzi odwiedziło dzięki nam Nowy Sącz i na jego przykładzie oceniało i zachwycało się gościnną Polską. A po kilku tygodniach lub miesiącach jechaliśmy z wizytą do każdej z obję-

tych projektem miejscowości, żeby zobaczyć jak idzie naszym uczestnikom. We wszystkich tych podróżach towarzyszył nam Charles Merrill. Zawsze był tam witany z radością, wręczał książki, dyplomy i nagrody, rozmawiał z uczniami, nauczycielami i rodzicami. Nauczyciele angielskiego tłumaczyli jego książki na swoje języki, on ogromnie cieszył się z tego, a my byliśmy szczęśliwi, że mogliśmy sprawić mu radość i wzbogacić szkolne biblioteki – wspomina sędeczanka Alicja Derkowska, przyjaciółka Charlesa, założycielka MTO.

Pieniądze

„Pozwalają robić to, na co się ma ochotę. Mnie na przykład pozwoliły rozwijać muzyczne zainteresowania. Już jako studenta stać mnie było na kupowanie dziesiątek płyt z muzyką klasyczną. Dzięki pieniądзом, które ojciec przekazał mi w funduszu powierniczym, mogłem podróżować. Choć za punkt honoru postawiłem sobie, żeby nie zatrzymywać się w najdroższych hotelach i nie jadać w najlepszych restauracjach. Wreszcie: majątek sprawił, że mogłem na poważnie zająć się filantropią” – mówił.

Bóg

„Staram się wierzyć w Boga. Wydaje mi się to bardziej rozsądne i odpowiedzialne niż wiara w pieniądź, ten szalony kult, jakiego przestrzegano w świecie, w którym wyrastałem. Myślę, że Bóg nie jest Amerykaninem ani Republikaninem, że silnie wierzy w równość wszystkich ludzi, że szanuje kobiety i popiera ich prawa. W przeciwieństwie do niektórych katolików. W sierpniu skończę 96 lat. Jestem szczęśliwym mężem, ojcem, dziadkiem i pradziadkiem, a moim jedynym zmartwieniem jest fakt, że umrę za jakieś trzy do pięciu lat. Sto lat? Zawsze uważałem, że w tej liczbie jest coś ordynarnego” – mówił Charles Merrill w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego”. Brakło mu do setki trzy lata. Za gościnę, jaką w sercach sądeczan dostał milioner z Ameryki, dziękowali w sobotę jego synowie. Urna z prochami Charlesa Merrilla juniora poleciała już za ocean – do Bostonu. Pamięć o skromnym Charlesie zostanie nad Dunajcem na zawsze.



Ekipa montażowa przy złożonym aucie FOT. Z ARCHIWUM RODZINNEGO

Historia sądeckiej motoryzacji

Na Jagiellońskiej Fordy montowano

Pewnie tylko garstka miłośników lokalnej historii wie, że w Nowym Sączu w latach 30. XX wieku znajdowała się montownia samochodów marki Ford. Wojciech Butscher latami pieczołowicie dokumentował dzieje własnej rodziny. Dzięki temu dzisiaj możemy zaprezentować zdjęcie, na którym widać jedno z aut sądeckiej produkcji. Na drzwiach modelu AA dumny napis – „Przedstawicielstwo Ford – A. Buczer własna wytwórnia karoserii”. Samochody składano na ul. Jagiellońskiej, kilkaset metrów od rynku.

Rodzina Butscherów (w firmie obowiązywała pisownia Buczer) to materiał na fascynującą książkę o sądeckich rodach, a montownia Forda, to

ledwie fragment ich działalności. I to być może nawet nie ten najciekawszy. A z Fordem w Nowym Sączu było tak. Antoni i Ignacy (synowie Antoniego) prowadzili na Jagielloń-

skiej zakład specjalizujący się pracach kowalskich i kołodziejskich. W gazetach z tamtego okresu można znaleźć reklamy firmy oferującej m.in. sprzedaż i naprawę wozów od eleganckich powozów, przez sportowe, po zwykłe robocze. To właśnie ich ojciec pod koniec XIX wieku, po wielkim pożarze Nowego Sącza wyprodukował cztery nowoczesne na owe czasy wozy strażackie dla miasta. Butscherowie byli jednak ambitni i niebawem miało się okazać, że w dotychczasowej działalności jest im już za ciasno.

Zanim jednak w 1929 r. zmontowano w Nowym Sączu pierwszego Forda, Artur Butscher (syn Antoniego) w 1926 r. otworzył pierwszy w mieście sklep z radiami. Sam był prawdopodobnie posiadaczem pierwszego w mieście odbiornika. Niedługo potem Artur, przez 20 lat również aktor i reżyser Teatru Robotniczego, stał się wraz z ojcem – szanowanym radnym

miejskim – motorem napędowym nowego przedsięwzięcia.

Ameryka jeździła już wówczas 15 milionami egzemplarzy słynnego modelu T skonstruowanego i wyprodukowanego przez Henry Forda. W 1927 r. wypuszczono z fabryki nowy model. Ekspansja koncernu z Detroit sięgała już daleko poza USA, a model biznesowy tego przedsięwzięcia był tyleż skuteczny, co nieskomplikowany.

– *System fordowski był bardzo prosty* – opowiada Wojciech Butscher, którego dziadek Antoni i stryj Artur montowali w Nowym Sączu Fordy. – *Aby obniżyć koszty wysyłania w świat gotowych aut i otwierania drogich salonów sprzedaży, wymyślono sposób pozwalający uczynić te auta znacznie tańszymi. Samochód był stosunkowo łatwy do złożenia, więc z Ameryki do Europy elementy aut przyływały w wielkich skrzyniach. W Kopenhadze zlokalizowany był gigantyczny magazyn i hurtownia, a stamtąd skrzynie wędrowały dalej.*

Tym sposobem, przez port w Gdyni, trafiały m.in. do Nowego Sącza. Butscherowie posiadali odpowiedni zakład i fachowców potrafiących położyć auto. Na zdjęciu widać sądecką ekipę na tle zmontowanej właśnie ciężarówki.

– Niestety nie zachowały się dokumenty z nazwiskami tych ludzi, możemy się jedynie domyślać, że są wśród nich fachowcy z różnych dziedzin: mechanicy, tapicer, a ten w długim fartuchu ochronnym to niechybnie kowal. Jednym z nich jest z pewnością legendarny majster pan Rybka, ale dziś nie znamy nawet jego imienia – opowiada Wojciech Butscher. – Mój tato w 1930 r. zakupił aparat fotograficzny dokumentując na szklanych kliszach zmontowane w rodzinnej firmie samochody. Niestety do dziś zachowało się tylko osiem takich zdjęć.

Jak wyglądały sądeckie drogi pod koniec lat 20. poprzedniego stulecia? Choć nie położono na nich jeszcze nawet kilometra asfaltu, były ponoć w całkiem niezłym stanie. W tamtym czasie prawdopodobnie

nie jeździło po nich ani jedno osobowe auto, a jeszcze przed II wojną światową w posiadaniu prywatnych osób w mieście i okolicy mogło znajdować się ok. dziesięciu samochodów osobowych. Butscherowie montowali wyłącznie ciężarówki (model AA), ale w różnych wersjach. Ówczesny Ford był tak zaprojektowany, że w rozsianych po całym świecie montowniach podobnych do sądeckiej, kilkusobowe zespoły ludzi potrafiły – w zależności od zamówienia – złożyć typową ciężarówkę, autobus, samochód pocztowy albo strażacki. Wszystkie egzemplarze pod konkretne zamówienia klientów z Bochni, Limanowej, albo Gorlic.

W praktyce wyglądało to tak, że Artur Butscher składał spisane po niemiecku zamówienie do przedstawiciela Forda w Kopenhadze. Tam na statek ładowano skrzynie z częściami i wysyłano do Nowego Sącza.

– *Te skrzynie tak rozpały umysł młodych chłopaków, że kiedy najmłodszy stryj Jerzy informował szkolnych kolegów o nowym transporcie, gimnazjaliści potrafili uciekać ze szkoły, by przyglądać się pociągom przywożącym z Gdyni na sądecki dworzec tajemnicze skrzynie z działającą na wyobraźnię zawartością* – śmieje się Wojciech Butscher. – *Ile samochodów zmontowano w Nowym Sączu? Trudno powiedzieć, oprócz tych nielicznych zdjęć nie zachowała się żadna dokumentacja firmy. Myślę, że było to kilkadziesiąt aut.*

W 1938 r. zmarł Antoni Butscher, rok później montowania została przemianowana na warsztat specjalizujący się w obsłudze i naprawie coraz liczniejszych na sądeckich drogach samochodów. Warsztatem ciągle zawiadywał legendarny pan Rybka. Wojenne losy rzuciły Artura Butschera daleko od Nowego Sącza, a wdowa po Antonim jeszcze podczas niemieckiej okupacji sprzedała warsztat. Po wojnie w tym miejscu powstała – oczywiście państwowa już – Spółdzielnia 1 Maja, specjalizująca się w motocyklach, a w warsztacie, gdzie kiedyś montowano sądeckie Fordy, skonstruowano olimpijskie bobsleje, na których osada dowodzona przez

Józefa Szymańskiego wystartowała na olimpiadzie w Cortina d'Ampezzo. W 1969 r. zakład przy Jagiellońskiej został zburzony.

Samochodowe tradycje w rodzinie Butscherów jednak przetrwały. Inżynierem mechanikiem o specjalności samochodowej na Politechnice Krakowskiej został brat Wojciecha Andrzej Butscher, wieloletni wicedyrektor Zespołu Szkół Samochodowych w Nowym Sączu. A w rodzinnym archiwum zachował się w oryginalny prospekt Forda z lat 30. XX wieku w języku polskim.

– *Pamiętam, że jako dziecko bardzo lubiłem oglądać ten prospekt* – wspomina Wojciech Butscher. – *Był on jednak tak cenną rodzinną pamiątką, że tato sam mi go kartkował, nie wypuszczając z ręki. Może właśnie dlatego do dzisiaj jest w takim idealnym stanie.*

Z folderu Forda:

(...) Nowy Ford może być śmiało nazwanym najbardziej postępowym wcieleniem nowoczesnego środka transportu, gdyż spełnia, a nawet prześciga, wszystkie oczekiwania i wymagania, jakie dzisiaj stawia się nowoczesnemu samochodowi (...)

(...) A gdy po skończonej jeździe przekona się Pan, że ten 40-konny samochód zużył zaledwie 10 litrów benzyny na 100 kilometrów, wtedy zdziwi się Pan, że istnieje samochód w tej cenie, który w stopniu tak doskonałym łączy moc dużego auta z ekonomią i taniością małego (...)

(...) Wszystkie modele zaopatrzone są w elektryczne przecierracze przedniej szyby (otwarte modele mają ręczne przecieracze), szybkościomierz, wskaźnik benzyny, amperomierz, wskaźnik poziomu oliwy, lusterko orientacyjne, kombinowaną larkę tylną i „Stop” oraz elektryczny zamek bezpieczeństwa, który wyklucza kradzież samochodu (...)



NOWOCZESNE POJAZDY SZYNOWE



newag
GROUP

NEWAG S.A.
33-300 Nowy-Sącz, ul. Wyspiańskiego 3,
e-mail: sekretariat@newag.pl,
tel. +48 18 449 63 60, fax +48 18 449 63 66

 www.newag.pl

Do czytania na ważnym spotkaniu

Zafunduj sobie dzień w piżamie

Rozmowa z psychologiem i psychoterapeutą **ANNA KĄDZIOŁKA**

– Jednym z najczęściej pojawiających się dziś w naszych telefonach sms-ów jest komunikat: „Nie mogę teraz rozmawiać, jestem na spotkaniu”. Można odnieść wrażenie, że połowa ludzkości spędza życie na jakichś ważnych spotkaniach. Wszyscy są nieustająco zajęci.

– Kiedyś też ludzie bywali na spotkaniach, ale nie było telefonów komórkowych i trzeba było cierpliwie poczekać na okazję do kontaktu. Teraz jesteśmy niecierpliwi, bo należymy do kultury Zachodu, czyli kultury pośpiechu. W tym kręgu kulturowym często mówimy „czas to pieniądz”, „nie trać czasu”. Nie lubimy tracić, więc musimy robić kilka rzeczy na raz. Oczywiście nie musimy tak robić, ale wyłamać się z głównego nurtu to wyzwanie. Dodatkowo współczesna technika umożliwia nam robienie kilku rzeczy jednocześnie, więc gotujemy obiad, rozmawiamy przez telefon, zerkamy na telewizor i jeszcze odrabiamy lekcje z dzieckiem.

– Zwykło się mawiać, że kiedyś było lepiej, m.in. mieliśmy więcej czasu.

– Myślę, że było bardziej w zgodzie z naturą, cyklicznie, jak następujące po sobie pory roku. Najpierw trzeba było siać, potem zbierać, a później przychodziła zima, kiedy można było się zatrzymać, usiąść, pogadać z innymi i cerować skarpety. Dzisiaj często „nie ma czasu” na pogaduchy, pobyć razem. Mamy takie możliwości, że nawet podróż na inny kontynent trwa ledwie kilka godzin. Kiedyś podróż trwała długo i mimo, że była to pewna niedogodność, to

oferowała nam czas na przemyślenie pewnych rzeczy.

– Ale my przecież nie mieszkamy w Nowym Jorku ani nawet w Krakowie, gdzie tempo życia jest zupełnie inne. Ten nieustający brak czasu z powodu licznych obowiązków ma przecież miejsce w prowincjonalnym Nowym Sączu. A to podobno dobre miejsce do wygodnego i niespiesznego życia.

– Faktycznie jest tutaj znacznie wolniej niż w Nowym Jorku, trochę ciszej i wszędzie bliżej, ale Nowy Sącz pod pewnymi względami też zmierza w kierunku Nowego Jorku. Czasami myślę, że to dobrze, iż my

Warto zadbać o równowagę pomiędzy wysiłkiem a wypoczynkiem, trzeba widzieć metę. A to jest możliwe dopiero, kiedy się zaakceptuje, że zwolnić jest ok. To jest trudne w kulturze pośpiechu, bo pracoholizm do niedawna był czymś bardzo nobilitującym w pewnych środowiskach.

tutaj, na prowincji jesteśmy nieco opóźnieni względem tego mitycznego Zachodu. Dlaczego? Bo zanim dobiegniemy do tego ekstremalnego punktu, który oni już osiągnęli i są

nim zmęczeni, to mamy jeszcze czas na refleksję – czy to na pewno dobry cel? Coraz popularniejszy na świecie i u nas też, jest „slow movement” – czyli świadome spowalnianie życia na różnych płaszczyznach.

– Bez przesady, w takich miejscach jak Nowy Sącz dotyczy to pewnie tak nielicznej grupy osób, że możemy ją policzyć na palcach.

– W porządku, ale od czegoś trzeba zacząć. Celebrowanie powolnego jedzenia, delektowanie się chwilą zaczęło się od Włoch. Pewnie w takim stylu życia sprzyja im klimat, ale z drugiej strony w chłodnej Skandynawii pracodawcy skracają pracownikom dzień pracy, bo zorientowali się, że mniej często oznacza lepiej. Wolniej jest solidniej i produktywniej. Dzięki temu ludzie mają czas, by się zatrzymać, zresetować i później mieć energię do działania.

– Osiem godzin pracy dziennie to za dużo?

– Coraz mniej osób pracuje tylko osiem godzin dziennie. Popatrzmy na dwie skrajności: Japonia, gdzie ludzie zapadają na zawały i udary mózgu, bo z powodu konkurencji nie można iść na urlop, a z drugiej Skandynawia, gdzie skracają czas pracy, a ekonomia i tak daje sobie z tym radę. Właśnie z zauważenia konsekwencji tego pośpiechu wziął się ruch zachęcający do zwolnienia obrotów, bo robienie wielu rzeczy jednocześnie negatywnie odbija się na wszystkim – na zdrowiu fizycznym i psychicznym, na relacjach międzyludzkich.



Anna Kądziołka na piasku Sahary FOT. TADEUSZ REIUMS

– Sądeczanie skarżą się w gabinetach psychologów, że są zestresowani, zabiegani, zmęczeni, że tempo jest zbyt szybkie?

– Często godzina psychoterapii jest jedyną w całym tygodniu, kiedy ktoś się zatrzymuje, włącza pauzę i zastanawia nad sobą, swoim życiem, nad tym, co warto celebrować, a co utrudnia funkcjonowanie i jak to zmieniać. Zawody trafiające do psychologa? Bardzo różne. Można zbyt intensywnie pracować w każdej dziedzinie. Trafiają też nastolatki zagubione w dorastaniu, które samo w sobie jest trudne,

a w dzisiejszych czasach z różnych powodów coraz trudniejsze, zwłaszcza bez uważnego, bo zbyt zapracowanego przewodnika. Warto zadbać o równowagę pomiędzy wysiłkiem a wypoczynkiem, trzeba widzieć metę, wyznaczać ją sobie. A to jest możliwe dopiero, kiedy się zaakceptuje, że zwolnić jest ok. To jest trudne w kulturze pośpiechu, bo pracołizm do niedawna był czymś bardzo nobilitującym w pewnych środowiskach. Dziś pracoholik to raczej ktoś, kto źle organizuje sobie czas, albo jest uzależniony od adrenaliny. Bo pośpiech ma też swoje

plusy, wtedy przecież „dużo się dzieje”, jest ta „adrenalinka”, jestem kimś niezastąpionym i nie mam czasu przyglądać się problemom, z którymi nie wiem, co zrobić. To pułapka. Są takie stare powiedzenia: „cmentarze są pełne ludzi niezastąpionych” oraz „problemy same się nie rozwiązują”. Ten wybór to kwestia naszej decyzji. Łatwiej jest zdecydować, by robić kilka rzeczy na raz, kiedy kulturowo jest to akceptowalne, niż podjąć decyzję, że na jeden dzień „wyłączam wtyczkę”, realnie wypoczywam, robię sobie dzień w piżamie, spędzam go



historią – jedni potrzebują urlopu cztery razy w roku, inni tylko raz. Każdy zdobywa tę wiedzę doświadczalnie, eksperymentując na sobie, najczęściej dotykając granicy i czując, że dalej już nie można. Są tacy, których podobna refleksja nachodzi dopiero na oddziale kardiologicznym albo, gdy dziecko traci z nimi kontakt, a oni nie rozumieją, co się stało.

– Skoro to takie ważne, to dlaczego nie organizuje Pani sądeckich warsztatów powolnego życia?

– Organizuję, choć nie tutaj, ale zapraszając ludzi na Saharę. Tam wszystko jest inne. Rytm dnia wyznacza przyroda. To ważne doświadczenie – przeżyć na własnej skórze, że czegoś nie przeskoczysz, bo właśnie jest burza pisakowa, więc trzeba usiąść i cierpliwie poczekać aż minie. Tam posiłek gotuje się dwie godziny na ognisku, nie ma zasięgu telefonu, co jest jednym z najważniejszych ele-

Ten wybór to kwestia naszej decyzji. Łatwiej jest zadecydować, by robić kilka rzeczy na raz, kiedy kulturowo jest to akceptowalne, niż podjąć decyzję, że na jeden dzień „wyłączam wtyczkę”, realnie wypocząć, robię sobie dzień w piżamie, spędzam go niespiesznie.

niespiesznie w domu albo idę na rower, czytam książkę, przebywam z bliskimi i co w tym najistotniejsze – mam na to swoją wewnętrzną zgodę, mimo, że takie zachowanie może spotkać się ze społeczną dezaprobatą.

– Coraz więcej osób tak robi?

– Mam nadzieję, że coraz więcej, ale statystykami nie dysponuję. Ja tak robię, bo widzę, jakie są konsekwencje niezatrzymania się w pędzie. Są ludzie, którzy od lat nie byli na urlopie. Jak często go potrzebujemy? Nie wiem, każdy człowiek jest oddzielną

mentów odcięcia się od świata i zwrócenia ku sobie. Rytmu dnia dyktuje zegarek tylko słońce i jego położenie. Bo jak jest wysoko, to jest zbyt gorąco by iść i trzeba poczekać. Bywają uczestnicy, którzy przez dwa pierwsze dni mają poważny kłopot z tym, że nie dostali godzinowej rozpiski pobytu, ale to im mija. Tam zegarek nie jest potrzebny. Ja akurat zapraszam na pustynię, bo ją uwielbiam i uważam za najlepszego psychoterapeutę na świecie, ale do takiej podróży w głąb siebie nie jest potrzebna aż Sahara. Jednak w takim ekstremum łatwiej osiągnąć stan

„odklejenia” od rzeczywistości. Ale powiem też tak: każdy z nas może o swoich wyborach decydować codziennie w dziesiątkach sytuacji: idąc czytać dziecku książkę na dobranoc zabieram ze sobą telefon czy nie? Biorę szybki prysznic czy pozwalam sobie na poleżenie w wannie? Idę na ciepły obiad czy polykam coś prowadząc samochód i rozmawiając przez telefon. Od świadomości posiadania możliwości wyboru zaczyna się szansa na to, by zwolnić. Chcę tu wyraźnie podkreślić, że zwolnienie nie oznacza lekceważenie obowiązków. Chodzi o równowagę i zrozumienie, że nie da się w nieskończoność realizować ważnych zadań bez regeneracji, nie ponosząc przy tym często nieodwracalnych konsekwencji. Trudno jest podjąć taką decyzję czując, że jak zwolnię, to coś stracę. Łatwiej, kiedy wiem, że to mi służy.

– Do zatrzymania się nie jest potrzebny długi urlop? Można się zatrzymać każdego dnia?

– Oczywiście. Najlepiej nie czekając, aż organizm da nam sygnał, że przeginamy. Sami musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy musimy poczekać na 39-stopniową gorączkę i utratę głosu, czy też potrafimy rozpoznać, kiedy ciało mówi do nas, że mamy za mało snu i robimy za dużo rzeczy na raz.

– Mówi Pani o problemach ludzi z dużych miast, menedżerów, pracoholików z wielkich korporacji czy o sądeckim Kowalskim?

– Podobne problemy występują wszędzie tam, gdzie obowiązuje kultura pośpiechu, a działanie pod wpływem adrenaliny uznawane jest za wartość, gdzie ludzie nie zauważają, że z powodu pośpiechu sypie im się zdrowie, relacje z ważnymi dla nich ludźmi i ze światem. To tylko kwestia proporcji występowania. Ale nie oceniajmy tego, bo każdy ma prawo żyć po swojemu. Ważne, by decydować świadomie i uczciwie wobec siebie i bliskich. Ja zachęcam do równowagi, bo tak jest zdrowiej, choć często trudniej.

Wywiad do czytania w bramie

Pisałem opowiadania i robiłem za fizycznego

Rozmowa z **MARKIEM LUBASIEM-HARNYM**, autorem powieści „Dwie kochanki”, której akcja częściowo rozgrywa się w Nowym Sączu

– Marek, napisałeś „Dwie kochanki”, aż mi trudno uwierzyć, że ludzie potrafią jeszcze takie grube książki czytać. Zaczniemy jednak od tego, jak Ty się właściwie nazywasz, bo to swego rodzaju zagadka?

– Nazywam się Marek Lubaś oczywiście, a książki podpisuję inaczej z pewnych powodów...

– Z pewnych powodów, które jest teraz okazja wyjawiać.

– [...] Kiedy publikowałem pierwsze opowiadanko, nie za bardzo chciałem się podpisać nazwiskiem. Z różnych względów...

– Wstydziliś się?

– Nawet się nie wstydzilem, tylko robiłem wówczas za fizycznego. Głupio, gdy inni robole się śmieją, jak jakiś fizyczny coś tam napisze... I taki był powód. A pseudonim? Wiele lat temu, jako uczeń, postanowiłem zostać Stachurą i pojechałem w Bieszczady do lasu rąbać świerki...

– Wszyscy chcieli być Stachurą.

– [...] Wszyscy chcieli być drwalam, chyba Jack London był drwalem, prawda?

– Ty pojechałeś na Siekierzadę.

– Pojechałem z kolegami na Siekierzadę. Bzdurą było sądzić, że takim smarkaczom dadzą siekiere do ręki. Dostałem ośnik, posadzili mnie na pniu świerkowym i kazali tym ośnikiem korę zdzierać. Rączki chłopca z miasta nie nawykłe i po trzech dniach wysiadły. Dali mi więc motykę i kazali w le-

sie młode sadzonki okopywać. A to jest jeszcze gorsza robota... No ale to wszystko nieważne. Ważna była w tym nadleśnictwie stołówka, gdzie zupełnie podawała taka fajna dziewczyna...

– I zakochałeś się?

– Nie... No może trochę. Ale ta dziewczyna powiedziała, że ja jestem harny... Chyba Ukrainką z pochodzenia była.

– Harny to twardy...

– A skąd! Nie mogę się całkiem z tajemnicy odzierać, przecież musi taka trochę otoczka zostać. [...] Jak ta dziewczyna tak powiedziała... Nieestety po nią przyjeżdżał motorem jakiś facet, który się okazał jej mężem i w dodatku leśniczym.

– I miał dubeltówkę...

– Miał dubeltówkę, w związku z czym nic z tego nie wyszło. Natomiast kiedy to pierwsze opowiadanko pod tytułem „Osady spalone”, którego akcja działa się w Bieszczadach, oddawałem do druku, pomyślałem, że podpiszę je Harny.

– Masz życiorys jak Jack London...

– Z tą motyką przy tych sadzonkach? Jaki Jack London!? Do mojej mamy po pół roku przyszło pismo, że ja za tę motykę mam zapłacić, bo rzekomo ją zgubiłem...

– Zabrałeś ją?

– Została w lesie, ktoś ukradł, a mnie kazali płacić. Chyba dwadzieścia złotych.

– To faktycznie nie jak Jack London, ale masz życiorys...

– Jak Harny mam życiorys.

– Czytam notkę biograficzną zamieszczoną na okładce książki: „[...] pracownik fizyczny w kombinacie siarkowym w Tarnobrzegu”. Skąd to się bierze – młody człowiek pracuje jako fizyczny i nagle wieczorem mówi: Zostanę pisarzem!

– Jako fizyczny zaczynałem w Biegonicach w Sądeckich Zakładach Elektro-Węglowych. Może i byłbym nim nadal, ale jakoś z jedną panią inżynier nie mogliśmy dojść do ładu. To znaczy ona nie mogła dojść do ładu ze mną. Chodziło chyba o ten mój uśmiezek na twarzy. A ja tak mam od urodzenia. Nie wiem, może w życiu płodowym coś się wydarzyło... Ona patrzyła na mnie podejrzliwie. Może myślała, że się z niej śmieję albo, że ją podrywam...

– Wylała Cię?

– Nie. Byłem świeżo po technikum. Myślałem, że przewrócę te Zakłady do góry nogami, wprowadzę ulepszenia. A ona dała mi wiadro i wysłała na wagony z ruskim antracytem, którego próbki miałem zanościć do laboratorium.

– A kto wówczas pracował w laboratorium?

– Nie powiem.

– Krzysztof Pawłowski już pracował?

– Nie, chyba jeszcze nie.

– Biegonice to taka trampolina karier...

– Trampolina wielkich karier!



*Jako fizyczny
zaczynałem
w Biegonicach
w Sądeckich
Zakładach
Elektro-Węglowych.
Może i byłbym nim
nadal, ale jakoś
z jedną panią inżynier
nie mogliśmy dojść
do ładu.*

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

– Nie powiesz, bo nie pamiętasz kto pracował?

– Nie, nie powiem, bo się wsypię, kto, co i dlaczego mnie tam... no wiesz...

– Rzuciłeś to wiadro?

– Nie, zacisnąłem zęby i biegałem z tym antracytem. To pół kamienia było. Myślałem, że powinienem rzetelne próbki pobierać. A okazało się, że ten kamień trzeba wyrzucić, a do wiadra załadować czysty antracyt. Żeby nie wyszło, że radziecki węgiel jest zanieczyszczony. Po kilku dniach cholera mnie brała i zacząłem się stawiać. Wyobrażasz to sobie?

– I musiałeś zostać pisarzem...

– Jeszcze nie. Dobłą stroną tej sytuacji było to, że oprócz mnie pani inżynier gnębiła taką jedną dziewczynę. Fajna była. Oboje nas gonili po tych wagonach z antracytem. Mróz 20 stopni. Była tam taka kanciapka z piecykiem, kozą. Wyobraż sobie, co myśmy tam później robili...

– Naprawdę chcesz to powiedzieć publicznie?

– Mogę to powiedzieć... Piekliśmy na tej kozie chleb z boczkiem. Łapami czarnymi z antracytu, czarnymi wargami zajadaliśmy chleb z bocz-

kiem. To było wspaniale, rozgrzewające. Później z tą dziewczyną poszliśmy sobie jeszcze do Teatru Robotniczego.

– Twoja mama grała w tym teatrze?

– Nie, moja mama nie grała w tym teatrze, ale koleżanki mojej mamy grały.

– Zaczynamy powoli dotykać książki...

– Dotykajmy, dotykajmy, bo tutaj krążymy po manowcach (...) Jeżeli mogę złożyć stanowcze dementi, od razu na początku. To nie jest żadna powieść autobiograficzna, żadna książka z kluczem.

– Każdy pisarz, każdy autor tak mówi.

– Oczywiście, jest tam kawalek mnie w postaci Marcina Cichego, który w dodatku jest pisarzem...

– [...] Kiedy w końcu Ty zostałeś pisarzem, w tych Biegonicach?

– Przed Biegonicami, w Bieszczadach. Żył tam pewien działacz partyjny. Miał konflikt z miejscowymi Ukraińcami, którzy wrócili po latach... z wygnania – jak oni to nazywają. To była dla mnie nowość. UPA? Zielony byłem na ten temat. Ta historia mnie strasznie zainspirowała. Wtedy właśnie zacząłem. Miałem może 19 lat.

– Dokończmy wątek robotnika. Chciałeś nim być bez względu na to, czy to były Biegonice, czy kombinat siarkowy?

– Nie chciałem być robotnikiem, broń Boże. Przecież to strasznie ciężkie życie. Trzeba wcześnie wstawać, do autobusu wsiadać z tymi skacowanymi facetami. Teraz oczywiście nie...

– Bo nie ma już robotniczych autobusów.

– Robotnicze autobusy, chłoporobotnicy śpiący, skacowani. Nie lubiłem tego.

– Tylko Ty świeży.

– Nie wiedziałem wtedy, że to tak można. Myślałem, że trzeba, wiesz, budować ojczyznę.

– Chciałeś socjalizm budować?

– Po prostu ojczyznę chciałem budować: fabryki, huty, kopalnie... To żarty są oczywiście. Nie chciałem być robotnikiem. Byłem, bo jak to się mówi, zszedłem na złą drogę i nie miałem jeszcze jednej szansy. Na studia się nie dostałem.

– Na jakie studia?

– Ja to na wszystko...

– Wiele razy się nie dostałeś?

– Wiele to może przesada, ale kilka razy się nie dostałem, w związku z czym byłem...

– Nie chciało Ci się nosić teczek?

– Miałem ambicje, które nie przystawały do mnie: raz chciałem być fi-

zykiem, teoretykiem, innym razem chciałem być biochemikiem. Różne były mody. Chciałem być intelektualistą po prostu, tylko nie w tej dziedzinie.

– Zostałeś intelektualistą.

– No tak, ale w innej dziedzinie. Moja mama mówiła, że humaniści to suchy chleb jedzą, a ja chciałem jeść chleb z masłem.

– A mama nie była humanistką?

– Była, dlatego też tak mówiła.

– Władysława Lubasiowa znaną w Nowym Sączu poetką.

– Była humanistką, dlatego mnie ostrzegała, przed tym: Marek nie idź tą drogą!

– Ale Marek się uparł.

– Nie uparłem się. Tylko chciałem iść to na fizykę, to na biochemię. Ale się okazało, że się do tego nie nadaję. A nadawałem się do tego, żeby siedzieć w Imperialu i wódkę pić z kolegami. To nie był jakiś jaból w bramie (...)

– Jesteś sądeczaninem?

– Nie wiem.

– Urodzony w Zabrze, wychował się w Nowym Sączu, ukończył technikum chemiczne w Krakowie i studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim. Ale w Sączu jesteś jak u siebie?

– Nie umiem odpowiedzieć. Mam miejsca, które gdzieś tkwią głęboko w mojej pamięci.

– Brama? Imperial?

– Brama przy ulicy Komuny Paryskiej. Wiesz, gdzie jest ulica Komuny Paryskiej w Nowym Sączu?

– Nie wiem, gdzie?

– Dziś ta ulica nazywa się Kune-gundy. Tam była brama z kolorowymi szybkami i ogród na skarpie. Mam cztery lata. Pamiętam ten ogród, jakiegoś chaszczę, łączące ślimaki i pendolino do Chabówki... gwizdzące.

– Nie ma już tego pendolino.

– To draństwo jest, ale tory zostały... Nie wiem na ile Nowy Sącz

w książce jest taki, jakim go zapamiętałem czy taki, jaki był naprawdę. Za to ręczyć nie będę. Pamiętam malowidło na ścianie od ulicy Kościuszki, wielkie kolorowe malowidło z chłopką.

– Z naręczem, z łańcem zbóż....

– Taka fest, z naręczem. I taki robotnicarz sądecki, szczena kwadratowa, uśmiech socjalistyczny, wzrok wbity w jasne niebo socjalizmu i napis: „Niech żyje sojusz robotniczo-chłopski”. Takie głupoty się zapamiętuje. Albo to, że na rogu Rynku i Jagiellońskiej stali tacy – jakby to powiedzieć, żeby nikogo nie obrazić... Chłopcy po pięćdziesiątce tam stali.

– Mówiło się o nich łańcuchowcy, bo na łańcuchach się huścili.

– Oni tam stali zawsze. Później, kiedy przez wiele lat przyjeżdżałem, też stali...

– Czujesz, że Cię niektórzy zjedzą po ukazaniu się tej książki?

– To nie jest książka, którą mają wszyscy lubić, a wręcz przeciwnie. Nawet byłbym nieszczęśliwy, gdyby pewnym osobom się spodobała.

– Jeszcze farba drukarska nie obeschła, a już natknąłeś się na recenzję, w której mowa, że „Żyd tu się gęsto ściele”.

– Właściwie, to ktoś mi zadzwonił, że jest taka recenzja w jednym z tygodników opinii, w której mowa, że słowo Żyd tu się gęsto ściele. Zdębiałem po prostu, bo to jest jakieś kuriozalny zupełnie pomysł. [...] Coś mi mówi, że nie chciałbym, żeby autorowi tej recenzji się moja książka spodobała.

– A komu ma się spodobać? Do kogo jest adresowana ta książka?

– Nie jest adresowana do nikogo konkretnego. [...] Nie mam targetu. Moim targetem są ci, którzy nadają, odbierają na podobnych falach, na których ja nadaję, albo potrafią swój odbiornik przestawić na cudze fale. I to są najcenniejsi czytelnicy, to są te zagubione owce...



WIŚNIEWSKI

BRAMY | DRZWI | OGRODZENIA

smart
**PRO
MO
CJA**

Oferta ważna
od 19.04.2018 r. do 30.06.2018 r.

Bądź smart! Wybierz smart!

Wejdź na wyższy poziom komfortu z technologią smart**CONNECTED**!



Sprawdź szczegóły na
www.wisniowski.pl



smart
CONNECTED



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Historia ocalona od zapomnienia

Droga krzyżowa Janki

Gdy 10 czerwca 1939 r., w kościółku na Juście, pani pilot – Janina Dowbor-Muśnicka przysięgała miłość lotnikowi – Mieczysławowi Lewandowskiemu, nikt nie myślał, że będą razem tylko przez 50 dni i że wkrótce Janka wyruszy w drogę krzyżową, która za 10 miesięcy, w dniu jej urodzin zakończy się po drugiej stronie doczesności. To tutaj, w Beskidzie Sądeckim przeżyła najpiękniejsze chwile swojego życia.

Mietek pochodził z Krakowa. Był podoficerem rezerwy lotnictwa i instruktorem szybowcowym. Szkolił miłośników latania pod Górą Just. Janka urodziła się 22 kwietnia 1908 r. w Charkowie. Była córką dowódcy 1. Korpusu Polskiego w Rosji – przywódcy Powstania Wielkopolskiego – generała Józefa Dowbor-Muśnickiego.

General wychowywał trójkę dzieci sam. Z troską, ale po męsku. Jego żona – Agnieszka zmarła, gdy Janka miała 12 lat. On poszedł za Agnieszką w 1937. W testamentie napisał: „Moje dzieci winny pamiętać, że są Polakami, że pochodzą ze starej szlacheckiej i pięciowiekowej nieskazitelnej przeszłości i że ich ojciec dołożył wszelkich swych możliwości dla wskrzeszenia Polski w jej chwale i potędze. Ma za to prawo żądać od swego potomstwa, by nazwiska naszego niczym nie splamiło”.

Słowa ojcowskiego testamentu Janka miała w sercu do samego końca swojej drogi.

Zanim straciła tatę, poznała przyszłego męża. Spotkali się w 1936 r. podczas pokazów szybowcowych w Tęgoborzy. W tym samym roku zdobyła dyplom Wyższej Szkoły Pilotażu. Mietek patrzył w nią jak w obraz. Była wysportowana, jeździła

na nartach i konno, grała na organach, śpiewała, no i oczywiście latała. Była też ekspertem w dziedzinie radiotelegrafii.

– Jako licealistkę ojciec zabierał ją na zawody lotnicze do Ławicy koło Poznania. Już w 1930 r. skoczyła ze spadochronem z wysokości 5 tys. metrów. Według relacji ówczesnej prasy była pierwszą kobietą, która z takiej wysokości skoczyła – wspomina Józef Grajek, prezes Towarzystwa Pamięci Generała Józefa Dowbor-Muśnickiego.

Janka i Mietek chcieli razem zamieszkać i razem się zestarzeć. Po ślubie pojechali na krótki „miesiąc miodowy” w Bieszczady. Później Janina wróciła w rodzinne strony – do Poznania aby przygotować się do mistrzostw szybowcowych, które miały się odbyć we wrześniu w stolicy. Mistrzostwa przepadły, bo wybuchła wojna. Ona

była w Wielkopolsce. On w Małopolsce. Nie wiedzieli, że już nigdy się nie zobaczą. Chciała walczyć jak jej ojciec, wypełnić jego testament. Spakowała małą walizeczkę, kupiła węgiel na zimę i zostawiła Mietkowi karteczkę z prośbą, aby zaopiekował się mieszkaniem.

Minęli się. Lewandowski przyjechał do wynajętego mieszkania przy ul. Niecałej w Poznaniu niedługo po tym, gdy ona zamknęła za sobą drzwi. Czekał na żonę przez kilka dni, ale doczekał się tylko żołnierzy Gestapo. Wywieźli go do Generalnej Guberni. Udało mu się uciec do Francji, a później do Anglii, gdzie służył jako starszy sierżant pilot w 307 Dywizjonie Myśliwskim Nocnym „Lwowskich Puchaczy” i w 305 Dywizjonie Bombowym „Ziemi Wielkopolskiej”. Po wojnie szukał Janki, ale nie znalazł ani jej, ani jej grobu.

Nie miał pojęcia, że 22 września pani porucznik Lewandowska wraz z żołnierzami 3 Bazy Lotniczej z Ławicy wpadła w ręce Rosjan. Że początkowo więziono ją w Ostaszkowie, a 6 grudnia 1939 r. przewieziono do Kozielska...

Miała w obozie oddzielne pomieszczenie. Chodziła na tajne nocne nabożeństwa do budynku dawnej cerkwi. Wypiekała z chleba hostie do komunii świętej. Jak wspominają ci, po których zostały notatki i nieliczni ocaleni – trzymała się dzielnie.

Z obozu w Kozielsku codziennie odjeżdżał w nieznane autobus. Pewnego dnia kazano do niego wsiadać przyjaciółom Janki. Chciała jechać z nimi. Nie wiedziała, że podróż kończy się w lesie w Katyniu. W końcu wyczytano również jej nazwisko. Pojechała. Wyprowadzili ją z autobusu z rękami związanymi tak, aby każde szarpnięcie zaciskało na szyi pętlę. Dwóch enkawudzistów wzięło ją pod ręce, trzeci strzelał...

Jedyna kobieta – jeniec z Kozielska, Janina – lotniczka rozpoczynała 33. wiosnę swojego życia w dniu, którym strzał w tył głowy zgasił jej życie. Spadła. Do kolegów. Do Kazka Szczepkowskiego, który chwalił ją, że dzielnie się trzyma i do Włodka Wojdy, który w obozie urządził dla niej ucztę z kawą z cukrem i chlebem.

W 1943 r., podczas ekshumacji ciał polskich oficerów ze zbiorowego grobu w kатыńskim lesie wydobyto ciało kobiety. Nadzorujący pracę antropolog prof. Gerhard Buhtz, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej na Uniwersytecie Wrocławskim, zabrał ze sobą siedem czaszek pomordowanych osób, wśród nich tę jedną – kobietę. Przeleżały we Wrocławiu sześć dekad.

63 lata po zbrodni kатыńskiej genetycy i anatomopatolodzy z Zakładu Medycyny Sądowej rozpoczęli badania kilku czaszek pozostawionych im

„w spadku” przez dwóch poprzednich szefów placówki – wspomnianego Gerharda Buhtza i polskiego naukowca Bolesława Popielskiego ze Lwowa.

Korzystając z komputerowej metody superprojekcji nałożono fotografię Janiny na czaszkę przywiezioną

Mietek patrzył w nią jak w obraz. Była wysportowana, jeździła na nartach i konno, grała na organach, śpiewała, no i oczywiście latała. Była też ekspertem w dziedzinie radiotelegrafii.

z Katynia. Wszystko się zgadzało. To była czaszka Janki. 4 listopada 2005 r. złożono ją do grobowca Muśnickich w Lusowie.

Historię jedynej kobiety, którą rozstrzelano w kатыńskim lesie ocalili od zapomnienia m.in. Józef Grąjek Założyciel i prezes Towarzystwa Pamięci Generała Józefa Dowbora Muśnickiego wraz z żoną Anną. Dzięki nim do rąk autorki tekstu trafiła książka opisująca losy rodziny generała Dowbor – Muśnickiego oraz historię Janiny Lewandowskiej.

DTS 12-15 (385-388) 29.03.2018

ts dobry tygodnik
sądecki



**MY TEŻ KOCHAMY PODRÓŻE.
DLATEGO ZAWSZE JESTEŚMY Z TOBĄ.
MASZ NAS W KIESZENI.**

Pobierz gazetę: www.dts24.pl



PANNONICA FOLK FESTIVAL



“Niezezykły festiwal”

wg. European Festivals Association



karnety: od 130 zł/3 dni

dojedziesz:

pociągiem: 16 kursów dziennie

rowerem: EuroVelo11

autem: parking na 950 miejsc

pole namiotowe: (3000 miejsc) od 20 zł/3 dni

**30.08 -
01.09.2018
Barcice nad
Popradem**

pannonica.pl

Z gór widać lepiej

O tym, jak Wilk wybierze mi przepióreczkę

Jestem pod wrażeniem wywiadu, jakiego udzielił były już – a może ciągle obecny, kto się na tym wyzna – szef kolejarskiej „Solidarności” Józef Wilk. Chyba o niego chodzi, choć źródła na wszelki wypadek nie podają imienia bohatera rozmowy. Na zdjęciu dołączonym do wywiadu w jednym z portali internetowych wyraźnie jednak widać słynnego sądeckiego związkowca. Słynnego głównie z miesięcznej pensji, jaką miał inkasować za kierowane lokomotywą. Pamiętamy jak pół roku temu urządzono polowanie z nagonką na Józefa Wilka, a ten się dał zagonić we wyniki. Nierzetelne i goniące za sensacją media podały wówczas, że maszynista kolejowy otrzymywał za swój trud ponad 30 tys. zł miesięcznie i – zdaniem szefów PKP Cargo – fałszował karty pracy poświadczając nieprawdę. Ale nie z Józefem Wilkiem takie numery Bruner! Józef Wilk zapowiada w świeżutkim wywiadzie: „drżycie, powracam, wybiorę wam przepióreczkę!”. Ja zadrżałem, bo choć nie wiem, gdzie mam przepióreczkę, to Józef Wilk może chcieć właśnie mnie ją wybrać. Ja bowiem piszę pod własnym imieniem i nazwiskiem, a nawet daję do tego własną twarz, więc gdyby Józef Wilk chciał mi wybrać przepióreczkę, to łatwo mnie pozna na ulicy. Wszyscy inni już Wilkowi na głowę narobili, ale – na wszelki wypadek – anonimowo w Internecie. Wiadomo, Wilk reprezentuje kategorię wagową „poza kategorią”, więc wszystkie chuchierka wolą raczej pozostać w ukryciu, niż sprawdzić, jak smakuje wybieranie przepióreczki.

Swoją drogą, najbardziej mięsiste wątki wywiadu z byłym maszynistą dotyczą właśnie jedzenia. Jedzenie przebija się niemal z każdego akapitu rozmowy z Józefem Wilkiem. Po pierwsze zatem, dzielny związkowiec przypomniał, że kiedyś głodował 10 dni w obronie praw pracowniczych. Heroiczne głodowanie musiało pozostawić u niego taką traumę, że – jako twardy i bezkompromisowy negocjator wyposażony w związkowy pistolet, który może przyłożyć do głowy chciwym kapitalistom – umówił się z prezesami PKP Cargo na negocjacje w luksusowej restauracji „Kredens”. Ciężka jest dola związkowca, który z obrzydzeniem musi przełknąć biznes lunch fundowany przez pracodawcę i płacony firmową kartą na fakturę. No, ale czego się nie robi dla dobra ludzi pracy i ich niezbywalnych praw! Dla ideałów „Solidarności” można się nawet dać zamknąć w „Kredensie”, choć akurat Andrzeja Szkaradka zamknięto gdzie indziej. Ale nie żeby Józef Wilk we wspomnianym wywiadzie jakoś specjalnie się buntował

i odgrażał: ja chciałem negocjować twardo przy minimalnej bez gazu i słonych paluszkach w sali BHP, ale to źli kapitaliści postawili warunek: albo negocjujemy w knajpie serwując przystawki z przepiórczych jaj i zupę krabową, albo zrywamy rozmowy! I tak nieugięty związkowiec się ugiął, siadł w „Kredensie” do stołu, widać zapominając, że z ustami pełnymi przepiórczych jaj oraz z napelnionym brzuszkiem, ciężko cokolwiek wynegocjować. Człowiek robi się senny i leniwy, raczej by się drzemnął chwilkę, jak cywilizowane narody po obiedzie. No, ale przecież w związkowej robocie chodzi o to, żeby Wilk był syty i prezesi cali. Nieważne. Grunt, że Józef Wilk obalił mit jakoby zarabiał miesięcznie 30 tys. zł. On zarabiał ledwie 13 tysięcy! I w tym momencie spadł kamień z serca szeregowym związkowcom, którzy ze swoich 1300 zł pensji płacili składki na utrzymanie ekskluzywnego lidera (za obiad w „Kredensie” zapłacił prezes PKP, więc spoko). Teraz Józef Wilk jest bez pracy, zatem stratny i – jak zapowiada w wywiadzie – „musi sobie te straty odbić z nawiązką”. Zabrzmiało groźnie, choć nie wiemy, czy nawiązka oznacza, że teraz będzie zarabiał nie 30, a 60 tys. zł miesięcznie, czy nawiązka za ten chudy okres bezrobocia, to tylko zapowiedź zjedzenia dwóch obiadów dziennie w „Kredensie”.

No i najważniejsze – Józefa Wilka przestali śledzić paparazzi, wysłani wcześniej do akcji przez jakieś wrogie siły. Paparazzi napstrykali działaczowi związkowemu zdjęć głównie na stacji benzynowej, kiedy tankuje swojego, wielkiego jak czołg, mercedesa. Taki wypasiony merc jest oczywiście elementem współczesnej strategii negocjacji związkowych. Podjeżdża lider ludzi pracy pod restaurację na negocjacje i przeciwnikowi od razu rura mięknie. Krwio pijca kapitalista, nie czekając na deser, natychmiast zgadza się na 20 zł podwyżki dla kolejarzy pracujących na torach w zimowych warunkach. Sukces! A swoją drogą ciekawie by wyglądały negocjacje Józefa Wilka z kilkoma właścicielami dużych sądeckich fabryk. Kapitaliści na starcie by przegrali ze związkowcem. Kilku z nich – owszem – jeździ mercedesami, ale żaden nie pozwolił sobie na wersję tak wypasioną, jak ta należąca do związkowego negocjatora. A przy okazji – ciekawe, co o wybieraniu przepiórek sądzą związkowi liderzy: Andrzej Szkaradek i Stanisław Kogut?

WOJCIECH MOLENDOWICZ



Bracia Czerwińscy, od prawej: Adam, Andrzej, Bogusław i Janusz

FOT. ANNA CZERWIŃSKA

Na deser – ludzie, miejsce i czas

Zdjęcie z rodzi

Dwa zdjęcia, które tu prezentujemy, dzieli 38 lat różnicy. Poza czasem, wszystko inne jest takie samo: miejsce i ludzie. Czterej bracia Czerwińscy, na naszą prośbę, ostatniego października 2016 r. ponownie zebrali się przed rodzinnym domem i pozowali fotografowi.

Starsze zdjęcie – czarno-białe po lewej – zostało zrobione w 1978 roku.
– Prawdopodobnie to był styczeń, przerwa w zajęciach akademickich, bo wszyscy byliśmy akurat w domu w Nowym Sączu – wspomina Bogusław Czerwiński. – Tak się złożyło, że przyjechała do nas w odwiedziny siostra taty, ciocia Anna Czerwińska. Ciocia była siostrą zakonną, należała do zgromadzenia Sióstr Misjonarek i pracowała w szpitalach w Krzeszowicach i Krakowie. Z zamiłowania była fotografem i zawsze wozila ze sobą aparat. Nie inaczej było i tym razem. Szybko namówiła nas, byśmy się ubrali w odświętne ciuchy i ustawili przed domem. I na tym w zasadzie kończy się historia tej fotografii, choć w rodzinnym albumie zawsze zajmowała ona ważne miejsce i czasami wracało się do niej wspomnieniami. Autorka zdjęcia, nasza ciocia zmarła kilka lat temu.



FOT. PIOTR DROŹDZIK

nnego albumu

Bracia Czerwińscy ustawili się do tej fotografii według wieku. Najstarszy Adam – pierwszy z prawej – był wówczas świeżo upieczonym magistrzem inżynierem (dzisiaj dyrektor Powiatowego Zarządu Dróg w Nowym Sączu), Andrzej studiował na IV roku AGH (dzisiaj poseł PO, były minister skarbu i prezydent Nowego Sącza), Bogdan był po pierwszej w życiu sesji egzaminacyjnej, a Janusz uczy się w Technikum Samochodowym (obydwaj są prywatnymi przedsiębiorcami). Kilka dni temu, na prośbę DTS, bracia Czerwińscy ustawili się w tym samym porządku, w tym samym miejscu, przed domem rodziców. Tym razem zdjęcie wykonał Piotr Drożdżik.

– Otoczenie domu już nie przypomina tego sprzed blisko czterdziestu lat, ale bryła domu jest taka sama – przyznaje Bogdan Czerwiński. – Czy myślimy się zmienili? Nie będę tego komentował, niech czytelnicy „Dobrego Tygodnika Sądeckiego” sami to ocenią (śmiech).

Amerykański sen sądeczanina

Jak szybko wstajesz i dążysz do celu

Rozmowa z **Andrzejem Gieńcem**, pochodzącym z Nowego Sącza przedsiębiorcą, okrzykniętym przez media najmłodszym chicagowskim milionerem

– Jak zostaje się milionerem w Chicago?

– Zanim przyjdą pieniądze, najpierw musi pojawić się inspiracja, a za nią motywacja, a więc i impuls do działania. Porozmawiajmy zatem o tym, jak ludzie z Sącza mogą zawalczyć o swoje marzenia, zrobić coś, co da im spełnienie.

– Pieniądze nie są dla Ciebie najważniejsze?

– Nigdy nie były i nigdy nie będą. Drażni mnie, że media robią sensację pisząc, że jestem milionerem z Chicago. Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że kiedyś byłem dzieckiem z małą liczbą opcji, ale okazało się, że to nie ma aż tak wielkiego wpływu na życie człowieka. Wpływ ma postawienie sobie celu. To przynosi efekty. Chciałbym opowiedzieć właśnie o moim doświadczeniu, aby zainspirować innych. A nie o pieniądzach, które są rzeczą wtórną.

– No więc jak to zrobić, żeby osiągnąć zamierzony cel, gdy wychodzi się z niewielkiego miasta?

– Oprócz celów i wytrwałości w dążeniu do nich zawsze ważne było dla mnie grono, w którym dorastałem. Uprawialiśmy razem sporty, graliśmy w „Jaka to książka” – na podstawie jednego akapitu, chodziliśmy w kimono po Jagiellońskiej, graliśmy w szachy jak najęci, mieliśmy swój zespół muzyczny – to był nieustający eksperyment kreatywności i wspólnego poznawania świata. Teraz jestem przez kilka dni w Polsce, odwiedzam moją babcię w Nowym Sączu, a przy tej okazji spotykam się ze znajomymi z tamtych czasów. Wszyscy świetnie sobie radzą, czy to w biznesie, czy w nauce.

– A motywacja, ambicje, ciężka praca?

– To oczywiste. Miałem bardzo chaotyczną młodość. Uczylem się w Splocie, potem trafiłem do Krakowa, a później do „szkoły Kołcza”. W szkole średniej miałem firmę, która składała komputery. Potem pracowałem w sklepie meblowym. Aż wreszcie zacząłem studiować, ale jeden kierunek mi nie wystarczył. Zrobiłem studia podyplomowe z informatyki. Jeszcze później zacząłem robić doktorat. Ale nawet wtedy jeszcze nie miałem

skonkretyzowanych celów życiowych. Trochę to wszystko trwało.

– Studiowałeś kulturę judaistyczną. Skąd pomysł na taki kierunek, przecież nie ma nic wspólnego z informatyką?

– Miałem może 10-11 lat, jak rodzice wysłali mnie na kolonię. Byłem jednym z najmłodszych uczestników. Na tej kolonii pojechalismy do Auschwitz-Birkenau. Po wycieczce miałem przez miesiąc depresję, płakałem po nocach. Później zacząłem więcej czytać o judaizmie, o tych dwóch światach, które istniały obok siebie i były tak od siebie odległe – w latach 90. nikt o tym w Sączu nie mówił. A później w moim życiu pojawił się Izaak Gold-

Spędziłem dwa miesiące w łóżku bez środków do życia. Ścieżka do wymarzonego celu nie jest usłana różami. Ale każda porażka uczyła mnie czegoś nowego.

finger. Poznałem go w czasie wymiany młodzieży, którą organizowało IV LO. Izaak został moim najlepszym przyjacielem i mentorem. Jeździłem do niego do Izraela. On był jednym z powodów, dla których zacząłem studiować ten kierunek. Napisałem pracę na temat młodości wojennej Izaaka – przeszedł przez pięć obozów koncentracyjnych, włącznie z Brzezinką. Zacząłem robić doktorat, ale moja ówczesna dziewczyna dostała stypendium na Uniwersytecie Chicago. Zdecydowaliśmy się wyjechać.

– Wyjechałeś do Stanów i tam...?

– Zacząłem pracować na budowie. To było bardzo brutalne doświadczenie. Polacy, którzy pracują na budowie, zwykle nie robią doktoratów (śmiech). Nie zdecydowałem się na karierę elektryka, ale wtedy wiele się dowiedziałem na temat prądu, natężenia, oporu i tym



podobnych. Przez lata myślałem, że tracilem wtedy czas, ale prawdopodobnie bez tego doświadczenia nie stworzyłbym Power Tower. Wreszcie zdecydowałem się na własną działalność. Nie mogłem już dłużej udawać, że pracuję dla kogoś – z reguły codzienne obowiązki kończyłem około 10 rano, a reszta to już było tylko udawanie pracy połączone z nauką. Pamiętam, że siedłem wtedy plaża i obawiałem się przyszłości. Wiedziałem, że praca dla kogoś nigdy nie przyniesie mi satysfakcji. Zwolniłem się, kupiłem nowe auto na raty i zламаłem sobie coś w obydwu stopach równocześnie – spędziłem dwa miesiące w łóżku bez środków do życia. Jak już mogłem chodzić, to zacząłem naprawiać komputery Polonii w Chicago. Później otworzyłem sklep internetowy, który okazał się niewypałem, firmę instalującą inteligentne domy, wersję yelp'a, w której klienci mogli się dzielić doświadczeniami z firmami oraz parę innych inicjatyw. Część z nich sprzedałem, większa część umarła śmiercią naturalną. Opowiadałem ci to po to, aby pokazać, że ścieżka do wymarzonego celu nie jest usłana różami.

– Aż na stoku narciarskim wpadłeś na genialny pomysł – wieża do ładowania telefonów komórkowych, która przyniosła finansowy sukces.

– To nie był genialny pomysł, to bardzo prosta rzecz. Pomysłów zawsze miałem, i mam, 150 na godzinę. Na stoku skończyła mi się bateria w telefonie. Stwierdziłem, że fajnie by było, gdyby można ją było doładować tu na miejscu. Zbudowałem to inżynieryjnie w głowie. Zacząłem rozmawiać o pomysłach z przyjaciółmi. Oni są przyzwyczajeni do tych moich dziwnych pomysłów. Pierwszy produkt budowaliśmy w garażu z drewna, żeby zobaczyć, czy to w ogóle może funkcjonować. Potem miałem szczęście spotkać w Chicago niesamowitych ludzi. Większość z nich to Polacy. I później poszło szybko...

– Ten sukces to kwestia przypadku? Że akurat trafiłeś w dziesiątkę z pomysłem na wieżę?

– Jaka jest definicja sukcesu? To połączenie odpowiedniego czasu z ciężką pracą, determinacją, obranym celem, zrozumieniem ekonomii i polityki. Wiele składowych. A do tego na pewno potrzebne jest też szczęście.

– Czyli to nie tak, że postawiłeś sobie cel: osiągnę sukces i na tym zarobię?

– Zawsze chodziło mi o pasję. Praca jest moją pasją. Jestem w pracy pierwszy i wychodzę ostatni. Kocham to,

co robię. Definiując swoje możliwości wymyśliłem, że nie będę kwiaciarzem, czy restauratorem, ale właśnie technologiem. Codziennie patrzyłem też na moje motto życiowe, które przykleiłem sobie nad łóżkiem. To pomogło mi w określeniu dużych celów, podzieleniu ich na małe cele i rozłożeniu tego na kolejne kroki. Od tamtej pory wszystko zaczęło układać się w całość.

– To działa? Tak sugerują poradniki – definiuj cele, określ kolejne kroki działania.

– Nie wiem, co sugerują poradniki. Czytam za to chętnie książki, które traktują o psychice człowieka i o jej możliwościach. Patrzę na moją mamę, która wychodzi z choroby. Autosugestia i chęć życia to bardzo ważne czynniki w pokonywaniu choroby. To ważne też dla

– Ważne jest, żeby młodzi ludzie zrozumieli, że nie miejsce zamieszkania czy otoczenie determinuje twoje możliwości. Trzeba walczyć, stawiać sobie ambitne cele i je realizować.

młodych ludzi, żeby o tym pamiętali. Dużą częścią mojego sukcesu było to, że nigdy się nie poddawałem. Nawet jeśli wcześniej nie udało mi się tak wiele przedsięwziąć. Nie jest ważne, w jaki sposób upadasz, ważne jak szybko wstajesz i że dalej dążysz do celu – choć to najtrudniejsze.

– Każda porażka czegoś uczy?

– Tak jest, każda porażka nauczyła mnie czegoś nowego. To powodowało, że byłem bardziej otwarty na informację, bardziej otwarty na świat. Ważne jest, żeby młodzi ludzie zrozumieli, że nie miejsce zamieszkania czy otoczenie determinuje twoje możliwości. Trzeba walczyć, stawiać sobie ambitne cele i je realizować.

– A to motto wiszące nad łóżkiem jak brzmi?

– „Używać swoich talentów, żeby uczynić ten świat lepszym”.

– Bo Twoim celem jest wymyślanie kolejnych wynalazków, które mają pomóc ludzkości?

– Zanim umrę, chciałbym pomóc miliardowi ludzi.

– Jesteś idealistą, wierzysz, że można zmienić świat na lepsze?

– Ja nie wierzę. Wiem, że można.

– Jak to zrobisz?

– Może stworzę sztuczną inteligencję, nad którą pracuję? Może stworzę coś, o czym ludzie nawet nie będą wiedzieć, że ja to wymyśliłem.

– A ma to dla Ciebie znaczenie?

– Absolutnie nie. Po prostu chciałbym umrzeć z uśmiechem, który wywoła świadomość, że czegoś dokonałem.

– Nie mówisz: „żeby mi było lepiej, żebym miał więcej, żebym osiągnął osobisty cel”. Skąd ten idealizm?

– Jak to skąd? Z serca. W wieku 13-14 lat ustaliłem sobie strukturę wartości i właściwie nigdy jej nie zmieniłem. Teraz mam pełną wolność. Mogę robić, co chcę. Firma sama sobie radzi. A ja robię rzeczy niepowtarzalne: wprowadzam nowe technologie, wymyślam nowe. Jestem na pięknym etapie swojego życia. Wstaję o 6. rano, wyprowadzam psa, idę biegać, joga lub siłownia przez godzinę, biorę psa do pracy i pracuję po 12 godzin dziennie. Każdego dnia próbuję się też czegoś nauczyć, dużo czytam.

– Co na przykład wymyślasz?

– Chciałbym stworzyć butelkę wody, która jest inteligentna – miałaby w sobie małe laboratorium i oprócz tego, że serwowałaby odpowiednią ilość wody, to analizowałaby jej skład. Komórki rakotwórcze lubią kwaśną wodę. Można byłoby podłączyć laboratorium do telefonu. Telefon informowałby swojego użytkownika, że w jego sytuacji zdrowotnej nie powinien pić akurat tej konkretnej cieczy. A może aplikacja, która pozwoliłaby artystom wystawiać w czasie rzeczywistym dzięki jednemu kliknięciu to, nad czym akurat pracują?

– Mielіśmy o pieniądzach nie rozmawiać, ale pieniądze zmieniają życie?

– Nie wiem.

– W Nowym Sączu wśród znajomych jesteś postrzegany jako człowiek sukcesu?

– Nie wiem, bo nie rozmawiam na ten temat.

– Masz teraz nagle więcej przyjaciół, bo przeczytali, że jesteś milionerem w Chicago?

– Zawsze byłem hermetyczny i sam doбираłem sobie przyjaciół. Moja „grupa wsparcia” była i jest zawężona, ale bardzo serdeczna. Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem, bo wiem, że gdyby mi się coś stało, gdyby podwinęła mi się noga, to mam do kogo zapukać. Poza tym mam cudowną dziewczynę i psa.

– Spuentujemy, że jesteś szczęśliwym i spełnionym człowiekiem?

– Absolutnie nie.

– Jak to?

– Szczęśliwym – tak. Spełnionym – jeszcze nie. To, co robię, to na razie zaledwie trampolina do tego, żeby coś naprawdę fajnego stworzyć. Mam wyznaczone cele, wartości, mam też technologię i doświadczenie.

– I jeszcze o Tobie usłyszymy?

– Zobaczymy (śmiech).



Najlepszy Smak
W najszybszym czasie.

Bogata oferta

dań gotowych
i przekąsek
marki **KONSPOL**



www.konspol.com.pl

Rozmowa cztery kroki od drzwi prezydenta

Z siatkami zakupów na Maślanym Rynku

Rozmowa z **Edytą Brongiel**, sekretarzem miasta Nowego Sącza

– Pokazuje Pani znajomym zdjęcia 15-miesięcznego synka w telefonie. Sprawia Pani wrażenie szczęśliwej matki.

– Bardzo szczęśliwej. Ale to inne macierzyństwo, niż to, które wcześniej znałam. Mam w sobie ogromne pokłady spokoju. Jestem dużo bardziej pobłażliwa dla młodszego syna, niż przed laty byłam dla starszego.

– Ze względu na wiek?

– Pewnie tak.

– No to teraz będzie Pani musiała powiedzieć ile ma lat, a kobietom nie zadaje się takich pytań.

– No więc niech pan nie pyta o wiek i dzieci. Jestem szczęśliwą matką dwóch synów, z tym, że drugiego urodziłam w momencie, kiedy kobiety raczej nie myślą już o macierzyństwie.

– Ryzykowała Pani karierę i stanowisko dyrektora gabinetu prezydenta odchodząc na urlop macierzyński w podczas gorącej kampanii wyborczej jesienią 2014.

– Niczym nie ryzykowałam, bo kariera nigdy nie była u mnie na pierwszym miejscu. Poza tym pracy w urzędzie nie oceniam w kategoriach kariery. Kariera kojarzy mi się z korporacją.

– Ale w każdej firmie istnieje coś takiego jak intrzygi personalne, więc dlaczego w ratuszu nie? Pani jedzie na porodówkę, a ktoś próbuje zainstalować się za wolnym akuratem dyrektorskim biurkiem.

– Ani przez moment nie miałam takich myśli. I miałam rację. Kilka miesięcy po moim powrocie do pracy prezydent wręczył mi nominację na sekretarza miasta. A wcześniej po prostu cieszyłam się, że jestem w ciąży, a obydwie urlopy macierzyńskie to najlepsze okresy w moim życiu.

– Najlepszy okres w Pani życiu chyba jest teraz – jest Pani najważniejszą kobietą w Nowym Sączu.

– Ani przez sekundę tak o sobie nie pomyślałam. Zwyczajnie nie mam takiego poczucia.

Chciałabym wymazać z pamięci kampanię wyborczą, bo uważam, że nie wolno tak postępować z ludźmi. Katolickie społeczeństwo bez wyroku linczowało publicznie jednego człowieka.

– Skromność czy kokieteria?

– Szczerłość.

– A istnieje rodzaj żeński od sekretarza miasta?

– Według mnie nie.

– Czyli ustawodawca po prostu nie przewidział, że kobieta może zajmować takie stanowisko.

– Myślę, że to nie sprawa ustawodawcy, tylko języka polskiego, który

nie dopuszcza takich dziwologów. Uważa pan, że „ministra” brzmi dobrze i poprawnie?

– A jakby tu przyszedł dzieci ze szkoły z wizytą i zapytał, na czym polega praca sekretarza miasta, to jakby im to Pani wytłumaczyła?

– Byłoby ciężko wytłumaczyć w kilku zdaniach. Sekretarz koordynuje pracę całego urzędu...

– Uff, na pewno dzieci byłyby zachwycone takim wyjaśnieniem i potem opowiadały w domu, że pani sekretarz koordynuje pracę całego urzędu! Przychodzi Pani rano do pracy i od czego zaczyna.

– Od przeglądnięcia wielkiej teczki wypełnionej setkami pism, które muszę zadekretować do odpowiednich wydziałów Urzędu Miasta.

– Mówiąc prościej, zrzuca Pani robotę na innych.

– Nigdy tak nie robię! Proszę nawet nie żartować! Pierwsze zadanie, jakie dostałam od prezydenta to rozwiązanie ciągnącego się latami konfliktu sąsiedzkiego, gdzie mieszkanka nie ma dostępu do własnej posesji. Udało mi się sprawę pchnąć do przodu i mam nadzieję, że znajdzie szczęśliwy finał. Pracy jest mnóstwo. Właśnie przygotowywałam pracę urzędu, by program 500+ był sprawnie wdrożony w Nowym Sączu. Moja praca to również czytanie mnóstwa ustaw i przepisów. Już przy tym pierwszym zadaniu musiałam poznać np. Prawo Wodne.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

– Nie jest prościej poprosić specjalizującego się w danej dziedzinie urzędnika i zapytać o opinię prawną?

– Czasami tak właśnie jest, ale jeśli chcę kimś kierować, to muszę wiedzieć, o czym mówię. To nie jest dobry system zawołać urzędnika, żeby referował problem.

– A nie wolałaby Pani poczytać do poduszki dobrą książkę, zamiast ustawy zabierać do łóżka?

– Nie zabieram ustaw do łóżka. Gazety zabieram.

– Gazety zaangażowane?

– „Do Rzeczy” i „W Sieci” ... To czytam do poduszki.

– Mocny przechył na prawą burzę, a przecież rodzinne tradycje są u Pani zgoła inne. Jak Pani o polityce rozmawia z ojcem, który nigdy nie ukrywał lewicowych sympatii?

– Rozmawiamy na argumenty albo nie rozmawiamy o polityce wcale. Przy rodzinnym stole szkoda czasu na politykę.

– Jak to szkoda czasu? Przecież tkwi Pani po same uszy w samym centrum politycznych wydarzeń tego miasta.

– I bardzo dobrze, bo zawsze się interesowałam i polityką, i Nowym Sączem. No więc teraz mam to, czego chciałam i to dwa w jednym. Kiedy jeszcze pracowałam w banku, czyli wiele lat temu, miało się odbyć referendum w sprawie odwołania ekipy prezydenta Andrzeja Czerwińskiego. I przychodzili do mnie – jako klienci – zwolennicy obydwu stron. Leszek Kopec z grupy tzw. „referendziarzy” i radny Antoni Rączkowski. I przy mnie w banku gorąco dyskutowali, a mnie puchły uszy i oczy wychodziły z orbit.

– Podobało się Pani jak ludzie się kłócą w mało wyszukany sposób?

– Zawsze interesowały mnie sprawy miasta. Zawsze!

– Niektórzy wypominali Pani, że do ratusza przyszła – jak to złośliwi żartownisie zwykli mawiać – za po-

przedniego reżimu, czyli prezydentury Józefa Antoniego Wiktora i Stanisława Kaima.

– I co mam na to odpowiedzieć? Każdy tu przyszedł za jakiegoś – jak pan to powiedział – reżimu. Za Czerwińskiego, na Wiktora, za Nowaka. Ale ja początkowo nie miałam łatwo, niektórzy podchodzili do mnie jak do jeża. Kiedy jako kierownik referatu promocji i integracji europejskiej szłam do kogoś po ważny podpis, miałam sprawę wyrytą na blachę, żeby się nie dać z niczego zagiąć. Staralam się, czytałam, uczyłam się. Jestem ambitna i tak przełamywałam lody.

– Kiedy Pani przychodziła do urzędu nie było jeszcze internetowych komentarzy, a transfer i tak wzbudził emocje.

– Ale były komentarze prasowe i ten tytuł „Odkrycie prezydenta Kaima”. Nie przechowuję w pamięci, kto to napisał i w jakiej gazecie, ale mam poczucie, że nie zostałam potraktowana sprawiedliwie.

– Żałowała Pani, że nie została w bezpiecznym banku, zamiast się wystawiać dziennikarzom na łatwy cel?

– Nie było mi łatwo, nie miałam przecież na sobie pancerza ochronnego, w jaki muszą być zaopatrzone osoby działające publicznie.

– To niech Pani sobie teraz wyobrazi tę samą sytuację w czasach internetowych i dziesiątki komentarzy, a nie jeden gazetowy tytuł. Co by Pani z tym zrobiła?

– A co bym mogła zrobić? Niech komentują. Zastanawia mnie jednak taka postawa, publiczne, bezpardonowe opluwanie innych w społeczeństwie uchodzącym za religijne. I robią to – po pierwsze osoby deklarujące się jako wierzące i wyznające pewien zbiór zasad, a po drugie – najczęściej nie posiadające podstawowej wiedzy na temat, który komentują.

– Czyli wnikliwie czyta Pani internetowe komentarze?

– Czasami czytam.

– Na przykład w okresie ostatniej kampanii samorządowej, która momentami miała bardzo ostry przebieg?

– Tamtą kampanię do dzisiaj jestem mocno oburzona. Obserwowałam wiele kampanii, ale tamta kampania prezydencka była nieprawdopodobnym niszczeniem człowieka. Byłam wtedy w ciąży...

– I czytałam opinie pojawiające się w różnych miejscach, zamiast się relaksować...

– Opinie? Stek brudów i pomył!

– Mocno to Pani przeżywała?

– Przeżywałam. To był najgorszy okres w mojej pracy. Chciałabym go wymazać z pamięci, bo uważam, że nie wolno tak postępować z ludźmi. Katolickie społeczeństwo bez wyroku linczowało publicznie jednego człowieka.

– I co Pani sobie wtedy pomyślała o sędaczanach?

– Ale przecież nie o wszystkich! To była wąska grupa. Jest tylko jedna droga zadośćuczynienia – przeprosić i wykazać skruchę.

– Jak Pani sobie to wyobraża? Że dziesiątki ludzi piszących w internecie jakieś mocno niepochlebne opinie o Ryszardzie Nowaku przyjdą pod ratusz, z tabliczkami „Przepraszam” na szyi będą stali na śniegu i mrozie pod prezydenckim oknem w ramach zadośćuczynienia?

– Bez przesady. Ale ktoś, kto był motorem tych działań chyba wie, że postąpił niegodnie. Liczę na to, że przynajmniej się wypowiedział. A jeśli tak zrobił, to jego spowiedź jest i tak nieważna.

– Dlaczego?

– Bo nie zadośćuczynił.

– Jest Pani dumna, że znalazła się w drużynie Nowaka?

– A jestem w drużynie Nowaka? Nigdy w ten sposób tego nie traktowałam. A jeśli już o drużynie mowa, to są nią Ci, którzy pracują dla miasta.

– Kobieta taszcząca siatki z zakupami?

– Ja też jestem kobietą z siatkami zakupów, jako cotygodniowa klientka Maślanego Rynku. Mam tam swoich stałych dostawców, u których się zaopatruję.

– Jest Pani typową sędaczanką?

– Typową sędaczanką, taką z krwi i kości, z siatkami zakupów przedzierającą się przez Maślany Rynek. Sędaczanki mają jeszcze jedną ważną cechę: zawsze mówią to, co im na sercu leży. Ja się też tego nie boję, choć czasami miewam z tego powodu kłopoty. Kiedy moja kuzynka wzięła ślub w Las Vegas, wyraziłam na temat tego typu obrządku krytyczną opinię. Była cisza na łączach, ale tylko do czasu, kiedy wzięła ślub kościelny w Nowym Sączu.

– Pani jest taka zasadnicza, mówiąc po sądecku – kościółkowa?

Każdy tu przyszedł za jakiegoś – jak pan to powiedział – reżimu. Za Czerwińskiego, na Wiktora, za Nowaka. Ale ja początkowo nie miałam łatwo, niektórzy podchodzili do mnie jak do jeża.

– No chyba Pani jest. Nikt nie ma bliżej do prezydenta! Cztery kroki dzielą Panią od klamki wewnętrznych drzwi pomiędzy gabinetami.

– To nie ma żadnego znaczenia! Dziesięć lat z nim pracuję i mogę powiedzieć, że to dobry człowiek i porządny facet.

– Ktoś Pani uwierzy w taką deklarację?

– Nie wiem, może nie piszmy tego.

– Wykreśli Pani przy autoryzacji, ale ją zanotuję.

– A co mam powiedzieć, skoro uważam, że to dobry człowiek i świetny szef.

– Rozmawiamy o mężczyźnie, a miało być o kobietach. Jaka jest przeciętna sędaczanka?

– Bardzo zapracowana.

– Jestem bardzo zasadnicza. Ale mój starszy, 16-letni syn jest jeszcze bardziej zasadniczy, a w sprawach państwowych czarno-biały.

– Zostanie kiedyś prezydentem Nowego Sącza?

– Nie za bardzo popuszczamy wodze fantazji? Pytał Pan czy jestem kościółkowa? Jestem wierząca, a do tego przekonana, że gdyby ludzie stosowali się do 10 przykazań nie byłoby potrzeby tworzenia świeckich aktów prawnych i aparatu ich przestrzegania.

– I na przykład nie byłby potrzebny sekretarz miasta...?

– To bardzo prawdopodobne.



Kasina Wielka 1989 r. FOT. ZBIGNIEW SUŁKOWSKI

Lektura nie była jaka, do pociągu było jakiego

Kury przestawały się nosić ze strachu przed parowozami

18 sierpnia 1876 r. Wincenty Dąbrowski, korespondent „Kuriera Lwowskiego” i „Nowej Reformy” był świadkiem epokowego wydarzenia w Nowym Sączu. Oto przekazał informację dnia następującej treści: „Poszedłem zobaczyć, jak to wygląda.

Wprawdzie widziałem w Krakowie taką maszynę, ale z daleka. Idąc sobie nową drogą (zapewne dzisiejszą ulicą Batorego – przyp. Jerzy Widel), gdzie stację kolejową budują i widzę, jak na stacji coś od słońca świeci jak wypolerowany samowar, a dymi to, a huczy, a świszczy, jak opętane. Maszyna coś kręci, przesuwając, a to spod kół buchnie para! Byłem pewien, że to kocioł rozsądziło, a tu jak ruszy potem z miejsca, to ino wagony śmigają – a wziął ich coś ze sześć. Na maszynie, która świeciła od mosiądzu była tablica z napisem

„Góral”, którą to nazwę otrzymał już parowóz, pełniący służbę na ziemiach dawnej Galicji (...)

Para buch, koła w ruch

To była okazjonalna uroczystość, by m.in. sprawić przyjemność cesarzowi Franciszkowi Józefowi I, gdyż w tym dniu obchodził swoje 46. urodziny. Prawdziwy ruch kolejowy na szlaku Tarnów–Leluchów uruchomiono po 18 maja 1877 r. Jak dzięki temu przykładowi widać, nie jest wynalazkiem naszych czasów, by otwierać coś na wybory, choć do użytku nadawać się będzie dużo później. W 1888 r. uruchomiono nowy dworzec w Nowym Sączu, a kolej przyczyniła się do prawdziwej rewolucji na Sądecczyźnie i miała już na wieki odmienić los mieszkańców tej ziemi.

Zachowując właściwe proporcje, czym była budowa kolei w Stanach

Zjednoczonych dla podboju „Dzikiego Zachodu” i dotarcia do Kalifornii, tym była budowa kolei Tarnów–Leluchów dla Sądecczyzny. Z koleją przyszła cywilizacja do mieszkańców ubogich północnych rubieży Cesarstwa Austro-Węgier. Nie tylko względy strategiczne, czyli głównie wojenne, miały tutaj znaczenie, ale ten region dzięki żelaznemu szlakowi sprawił dostępność komunikacyjną z Wiedniem, Krakowem, Lwowem. Kolejarze stali się drożdżami rozwoju Nowego Sącza – rozwoju przemysłowego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Miasto rozkwitło i – prawdę mówiąc – bez kolei nie zaistniałoby w takiej skali na przestrzeni minionych 140 lat. Wraz z koleją powstały Warsztaty Kolejowe. Tysiące ludzi znalazło zatrudnienie nie tylko „na kolei” i „przy kolei”. Powstało bowiem setki zakładów produkcyjnych, rozwinął się handel i usługi. Przecież

kolejarska brać zarabiała pieniądze i też, gdzieś je musiała wydawać.

Parowozy sapiące pod Ptaszkową

Tego kolejarskiego Eldorado nie przerwały nawet dwie wojny światowe. Ba, w czasie okupacji niemieckiej Warsztaty Kolejowe przeszły największą rozbudowę w historii tej firmy funkcjonującej dzisiaj jako Newag. W latach 1943–44 pracowało w nich ponad 5 tys. osób. Historia parowozów na Sądecku definitywnie zakończyła się w latach 80. XX wieku. Jej symbolem jest stojący przed dworcem kolejowym polski parowóz Tkt 48. Stał tam, kiedy w 1986 r. doprowadzono do Nowego Sącza trakcję elektryczną. Ale to już nie było to samo, co sapiące pod Ptaszkową parowozy z moczem ciągnące wagony z ludźmi i towarami. To już nie był ten sam widok, co kiedyś w dolinie Smolnika, kiedy dyszące i dymiące pociągi pokonywały kolejne wzniesienia na szlaku Nowy Sącz–Chabówka. Wreszcie, to nie jest ten sam dworzec – owszem – z pietyzmem odbudowany, jaki był jeszcze do 1971 r. Tamten był z szykowną restauracją, pamiętający przedwojenne czasy z miedzianą, błyszczącą ladą, na której kelnerzy podawali niemal przez całą noc kufle z piwem. Któż pamięta, że niewielki urokliwy dworzec Nowy Sącz–Miasto, gwarny i pełen ludzi zwłaszcza w dni targowe – czyli we wtorki i piątki – do połowy lat 70. również posiadał bufet, gdzie licealna młodzież z I LO na długiej przerwie wyskakiwała na mały kufelek piwa (ale o tym cisza!). Jeśli mnie pamięć nie myli, to kosztował on wtedy bodaj 1,20 zł. Łza się w oku kręci...

Newag byłby dziś w... Starym Sączu

Dobrze się więc stało, że o starej kolei wieku pary nie zapomnieli młodzi entuzjaści z Nowosądeckiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei i reaktywowali przejazdy pociągów w stylu retro. Wszak nie wrócą już czasy, kiedy stacja kolejowa w Nowym Sączu była w latach 60. i 70. zapchana składami pociągów towarowych. Z górki rozrządowej zjeżdżały wagony formujące składy. W 1975 r. sytuacja była tak

dramatyczna pod tym względem, że przymierzano się do budowy nowej stacji towarowej w Starym Sączu. Ba, to na terenie gdzie znajduje się obecnie ołtarz papieski 130 lat temu planowano budowę... Warsztatów Kolejowych. W końcu jednak trafiły one do Nowego Sącza, bo starosądeczanie mocno się sprzeciwili tej inwestycji. Warsztaty Kolejowe miały przeszkadzać w mleczności starosądeckich krów, a kury mogłyby przestać nosić jajka ze strachu przed parowozami.

Iskra wpadnie ci do oka

Swego czasu stacja kolejowa była niejako moim drugim domem za sprawą pracującego na niej mojego śp. ojca Franciszka. Podjął on tam pracę, ale najważniejszym określeniem byłoby – podjął służbę w marcu 1939 r. Do późnych lat 70. kolejarze nie mówili między sobą, że idą do pracy, ale „do służby”. Służba to brzmiało bardzo dumnie w gwarze

Warsztaty Kolejowe miały przeszkadzać w mleczności starosądeckich krów, a kury mogłyby przestać nosić jajka ze strachu przed parowozami.

kolejowej! Taką pozycję wywalczyli sobie kolejarze w okresie międzywojennym i niektóre z wielu przywilejów z tego okresu przetrwały do późnych lat 80. (bezpłatne bilety dla nich i rodzin, deputat węglowy, materiał na mundur itp.).

Przypominając sobie szczeniące lata mam w nozdrzach swojski zapach dworca, wagonów, torów kolejowych, smak dymu z komina parowozu wy-czuwalny na języku i ciągle upominanie – nie wychylaj się przez okno, bo iskra wpadnie ci do oka! W postrzeganiu świata mam nadal pod powiekami jazdę nocnym pociągiem od rodziny z Tarnowa do Nowego Sącza i konduktora, który zapala lampy karbidowe, zwisające grubą tubą z sufitu. Drewniane, twarde ławki w przedziale II klasy. Bo w I klasie były pluszem obite siedzenia, wręcz otomany. W tych wagonach

wchodziło się wprost do przedziału z peronu po drewnianych schodach. Wreszcie, słynne „kowbojki”. Krótkie wagony w platformami, które jeździły wyłącznie na trasie do Chabówki. Oczywiście drewniane ławki w środku. Tuż za parowozem nieodłączny wagon pocztowy, a w nim człowiek, który segregował listy i wrzucał do oznaczonych skrzynek. Czegóż te wagony pocztowe nie woziły? Nawet żywy inwentarz – owce, kozy. A po wyjściu z pociągu trzeba było zwrócić bilety.

Zawsze mnie dziwiły zapowiedzi dyżurnego ruchu, kiedy ogłaszał, że pociąg taki a taki odjedzie z peronu np. trzeciego. A przecież nie były to perony, jakie dzisiaj widzimy na stacji, tylko tory ułożone na ziemi, międzytorza, z których zwłaszcza kobiety i dzieci z trudem wdrapywały się po wysokich stopniach do wagonów.

Wokół dworca

A wracając do początku tej opowieści, czyli do wjazdu pierwszego pociągu do Nowego Sącza i drogi, jaką przebył z centrum miasta na budowany dopiero dworzec reporter Wincenty Dąbrowski. Otóż ulica Batorego w czasach mojej młodości to była droga, bo nawet nie bardzo ulica, wiodąca przez Starą Kolonię, mijaną po prawej stronie, kościół jezuicki, szkoły żeńska i męska. Po lewej stronie patrząc w kierunku dworca – były łąny, pola i ogródki. Przy placu dworcowym zaś po prawej stronie stał domek pani Cwikowej i bar „Pod Koleją”. Przed nią, w miejscu gdzie dziś stoją pseudo pawilony handlowe był postój fiaków, czyli dorożek. Głębiej w kierunku Nawojowskiej stały dwa drewniane baraki, gdzie mieszkała jeszcze do lat 60. prawdziwa sądecka biedota, zwana „barakorzami”.

Cóż, wspomnienia zostały, choć dzisiaj na małopolskich torach można podziwiać pendolino, nowoczesne newagowskie Elektryczne Zespoły Trakcyjne, ale nic nie wymaże wielkiego sentymentu do czasów parowozów i podróży po wspaniałych krajobrazowo szlakach kolejowych Sądeckiej, ziemi limanowskiej i gorlickiej.

O cudownych skutkach gapienia się w telewizor

Mając 14 lat, odkryłam, że umiem mówić po polsku

Rozmowa z Mołdawianką **Iriną Ovcinikov**

– W ogóle nie słysząc, że jesteś Mołdawianką. Dlaczego?

– Przez lata brałam lekcje z native speakerem, czyli tak naprawdę z telewizorem.

– Jak to się stało, że już po raz drugi znalazłaś się w Nowym Sączu? Urodziłaś się w Mołdawii, tam mieszkałaś i o Polsce chyba niewiele wiedziałaś albo, do pewnego momentu, prawie nic. Tak było?

– Z lekcji historii w gimnazjum w Mołdawii pamiętam wielki obrazek rozbioru Polski oraz oczywiście Lecha Wałęsę i „Solidarność”. To były moje wszystkie informacje na temat Polski.

– Potem Twój tata kupił antenę i telewizja satelitarna zmieniła twój obraz świata.

– Można zupełnie poważnie powiedzieć, że telewizja zmieniła moje życie. Kiedy miałam 7 lat, mój tata kupił tę antenę. Mieszkałam w małej miejscowości na południu Mołdawii i, ponieważ w małych wioskach nie ma za dużo atrakcji, oglądałam telewizję. Tak się złożyło, że miałam też kanały polskie, gdzie były najciekawsze kreskówki. Tak to się zaczęło. Zaczęłam oglądać „Czarodziejkę z księżycą”, „Bolka i Lolka”, „Reksia”.

– Mając antenę satelitarną mogłaś oglądać kreskówki, chłonać języki z innych kanałów: angielskich, niemieckich, francuskich, włoskich, a Ty wybrałaś język polski. Dlaczego?

– To nie jest tak, że wybrałam tylko polski. Znam włoski, francuski, rosyjski, polski i rumuński, który jest moim językiem ojczystym.

– Oglądałaś polskie kanały i sama, jako siedmiolatka, zaczęłaś się uczyć języka polskiego?

– To nie była nauka w sensie ścisłym, po prostu oglądałam sobie telewizję. Wydawało mi się, że to jest świetne: widzę kolejny program, film, piosenkę. Byłam np. fanką seriali – „Klanu” i „M jak Miłość”.

To jest szkoła, która mnie ukształtowała. Wpłynęła na mój światopogląd, spowodowała, że zaczęłam myśleć, że nie chodzi tylko o stopnie i ale o pewną zaradność życiową, o wrażliwość społeczną.

– Rozumiałaś je jako dziecko?

– Chyba już tak. Z tym, czego nie rozumiałam, mózg jakoś sobie radził. Tworzył skojarzenia, które po latach składały się na całość. W ten sposób się nauczyłam języka, a wtedy nie było żadnych powtórek. To się zaczęło dzieć samoistnie, gdzieś obok mnie.

– To historia trochę nieprawdopodobna. Bez podręczników, podbudowy, nie mając się do kogo odezwać po polsku, zaczęłaś sama rozumieć nasz język?

– Mając 14 lat odkryłam, że umiem mówić po polsku. Wiedziałam, że wszystko rozumiem, choć w życiu nie wykrztusiłam słowa po polsku. Oczywiście nie mówiłam do siebie, ani do lustra.

– Nie miałaś z kim rozmawiać?

– Nie miałam, ale potem okazja do rozmowy po polsku nagle się nadarzyła.

– Najpierw sama nauczyłaś się polskiego, a potem wydarzyła się kolejna nieprawdopodobna historia. W Twojej niewielkiej miejscowości zjawiają się... Polacy!

– Uważam się za życiową szczęściarę, bo wyczerpałam chyba swój limit szczęścia na całe życie. Gdy miałam 14 lat, pani Alicja Derkowska z Małopolskiego Towarzystwa Oświatowego w Nowym Sączu, przyjechała razem z Julie Boudreaux do mojej miejscowości. Realizowały w mojej szkole projekt związany z edukacją na rzecz demokracji. Działalam w projekcie jako wolontariuszka.

– Kiedy się dowiedziałaś, że przyjeżdża ekipa z Polski, serce zaczęło Ci mocniej bić? Czulaś, że coś się wydarzy?

– Według oficjalnej wersji tak. Natomiast według wersji nieoficjalnej, było nieco inaczej. Jestem ogromną fanką piłki nożnej. Spotkanie z paniami wypadło w niedzielę, kiedy był mecz miejscowej drużyny, którą oczywiście kochałam. Chciałam pójść na ten mecz, a nie na spotkanie do szkoły. Tylko fakt, że to były osoby z Polski sprawił, że jednak na to spotkanie poszłam.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

– Spotkałaś się z Polkami i tylko ty wiedziałaś, że znasz język polski. Zdarzyła się pierwsza okazja, by powiedzieć coś do drugiego człowieka po polsku?

– Założyłam sobie, że powiem „dzień dobry”, bo to na pewno umiałam powiedzieć. I rzeczywiście przywitałam się z paniami po polsku. Okazało się, że mam nienajgorszy akcent. Zamieniłyśmy parę zdań po polsku i nagle zdałam sobie sprawę, że ja w tym języku mówię, co było zaskoczeniem nie tylko dla pań, ale przede wszystkim dla mnie!

– I to było wielkie odkrycie? Ludzie, ja mówię po polsku!

– Z jednej strony tak i emocje były bardzo duże. Ponieważ jednak nie było tłumacza i musieliśmy sobie jakoś radzić, ja tłumaczyłam spotkanie między naszymi nauczycielkami i paniami z Polski. Ale tłumaczyłam

z angielskiego na rumuński, bo tak było prowadzone spotkanie. Tłumaczyłam angielski-rumuński, a nie polski-rumuński. Miałam wreszcie namiastkę polskiego, ale byłam za bardzo przejęta tym, że muszę tłumaczyć z angielskiego, żeby zdać sobie sprawę, że ja rzeczywiście płynnie mówię po polsku.

– Limit twojego szczęścia się w tym momencie nie wyczerpał, bo ta znajomość miała fantastyczny ciąg dalszy.

– Tak, to spotkanie całkowicie zmieniło moje życie. Pani Alicja Derkowska, razem z Julie, stwierdziły, że chciałyby mnie zabrać do liceum do Polski. I teraz proszę sobie wyobrazić sytuację: czternastolatka słyszy od pań, które chwilę wcześniej poznała, że istnieje liceum w Nowym Sączu i że ja mogłabym do niego chodzić. Mogłabym uczyć się po polsku i zmienić całe swoje życie, ucząc się o Mickiewiczu, Mieszku I, o którym

wówczas jeszcze nawet nie wiedziałam, że istniał.

– O Mickiewiczu też nie słyszałaś wcześniej?

– Oczywiście, że nie. Miałam bardzo szczątkowe informacje na temat Polski, a tu nagle dostaję taką propozycję.

– I?

– I byłam w euforii. Może dlatego, że byłam w wieku, w którym nie zdawałam sobie sprawy, co to może oznaczać. Po następnej półgodzinie pani Ala stwierdziła, że chciałaby porozmawiać z moimi rodzicami. Pojechaliśmy do mnie do domu. Po latach się dowiedziałam, że moja mama prawie dostała zawału, choć minę miała pokerową.

– W domu wiedzieli, że mówisz po polsku?

– Rodzice wiedzieli, że rozumiem język polski, natomiast nie wiedzieli,

że płynnie mówię w tym języku. Dla nich to było ogromne zaskoczenie. Największym szokiem było jednak to, że nagle przychodzi ktoś niezna-ny i proponuje wyjazd do Polski. Trochę to mogło pachnieć handlem ludźmi.

– Pojawiła się obawa, że nie wiesz gdzie i po co jedziesz?

– We mnie nie było takiej obawy. W moich rodzicach zdecydowanie tak. Najbardziej ostrożna była mama, co jest zrozumiałe. Rodzice uznali, że chcieliby się więcej dowiedzieć o szkole, o mieście, o kraju.

– Byłaś wcześniej za granicą?

– Tak, w Rumunii i na Ukrainie. Jeśli się mieszka w Mołdawii, tam się najczęściej jeździ na wakacje. Nic poza Rumunią i Krymem nie widziałam.

– Jak zapadła decyzja o wyjeździe do Nowego Sącza?

– W lipcu odbywało się w Małopolskim Towarzystwie Oświatowym szkolenie dla nauczycieli z Mołdawii i razem z mamą zostaliśmy zaproszone do Nowego Sącza, żeby zobaczyć szkołę. Mama uczestniczyła w warsztatach, a ja je tłumaczyłam. Upiekliśmy trzy pieczenie na jednym ogniu. Tak zapadła decyzja, że spróbuję swoich sił i zacznę nowe życie w Polsce, mając niecałe 15 lat.

– Chyba nawet dzisiaj mówisz o tym z lekką euforią.

– Tak, bo to jest moja pierwsza wizyta w Nowym Sączu od paru lat. Weszłam do szkoły i nawet jej zapach spowodował, że znów poczułam się nastolatką. Absolutnie jestem dzieckiem SPLOT-u. To jest szkoła, która mnie ukształtowała. Wpłynęła na mój światopogląd, spowodowała, że zaczęłam myśleć, że nie chodzi tylko o stopnie i ale o pewną zaradność życiową, o wrażliwość społeczną.

– Przyjazd do Nowego Sącza był dla Ciebie rewolucją?

– Tak. Proszę sobie wyobrazić, że nagle człowiek musi się uczyć i pisać w innym języku, w którym nigdy wcześniej nie napisał słowa. Np. terminologia z biologii była moją wielką zmurą, operowała nazwami, których

się nigdy nie słyszałam. Także Mickiewicz i „Dziady”, które do tej pory uwielbiam, były dla mnie zmurą, nic nie ujmując oczywiście wielkości Mickiewicza. Poza tym historia. Przyjechałam do Polski nienawidząc historii jako przedmiotu szkolnego, a wyszłam ze SPLOT-u będąc chyba największym fanem historii, także Polski. Mogłam zobaczyć tę historię z perspektywy Mołdawianki, obywatelki kraju bardzo młodego, który przez transformację przechodził niestety nieudanie. Mogłam zapoznać się z historią Polski, jako krajem sukcesu Balcerowicza i reform, kraju „Solidarności” Wałęsy, Geremka. Sukcesów kraju, który tworzy swoją pozycję w Unii Europejskiej. Gdy przyjechałam do Polski w 2004 r., to wchodziliśmy do Unii. Mówię „my”, bo mam na myśli Polskę. Teraz mamy 2016 r. i z perspektywy 12-letniej widzę, ile się zmieniło, także pod kątem mentalności, w Nowym Sączu i w Polsce.

– Brakowało Ci podbudowy ludzi szkoły podstawowej, gimnazjum? Musiałaś nadrobić lukę?

– I tak i nie. Moja polonistką opowiedziałaby anegdotki, jak np. przez pół roku zamiast mówić „typowo”, mówiłam „typicznie”, bo wydawało mi się, że tak jest poprawnie. Albo ortografia. Po pół roku pobytu tutaj odkryłam, że literka „z” z kreską w ogóle istnieje, że jest takie słowo jak „żdźbło”. Paradoksalnie, ale ucząc się języka przed telewizorem ominęła mnie jego część gramatyczna. Nie dała bym sobie rady z regułami, z odmianą przez przypadki. Ja to wszystko robiłam na wyczucie, dlatego już na poziomie liceum dawałam sobie z tym radę.

– Kto płacił za twoją edukację w Nowym Sączu? Byłaś stypendystką.

– Przez pierwszy rok było tak, że Charles Meryll, który jest wielkim przyjacielem, dobrodziejem Małopolskiego Towarzystwa Oświatowego, zgodził się pokrywać koszty związane z moim pobytem tutaj. W 2 i 3 klasie liceum byłam stypendystką polskiego rządu.

– Gdzie mieszkałaś?

– Przez pierwszy rok w internacie dla dziewcząt, a potem u mojej najlepszej przyjaciółki ze Splot-u. Potem ona wyjechała na stypendium do Stanów, więc zamieniłyśmy się miejscami. Ja zostałam córką zastępczą jej rodziców. W trzeciej klasie już znów mieszkaliśmy razem.

– Przyjechałaś do szkoły i od tego momentu już w zasadzie nie wyjechałaś z Polski.

– Z Polski już nie wyjechałam. Kończąc szkołę zastanawiałam się, jaki kierunek studiów wybrać. Zdecydowałam się na prawo.

– Wiedziałaś, że będziesz studiować w Polsce, czy że wrócisz do Mołdawii?

– Jak zaczynałam szkołę, to chyba nie wiedziałam. Kończąc, nie myślałam już o Mołdawii jako miejscu studiów. Wybór był między Polską a Stanami Zjednoczonymi. Zdecydowałam, że wolałabym zostać w Polsce i zostałam.

– Mieszkasz w Nowym Sączu i Warszawie.

– Na studia pojechałam do Gdańska, bo stwierdziłam, że skoro w Nowym Sączu były prawie góry, to teraz wypada pojechać nad morze. W trakcie studiów zaczęłam pracować dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, co wymusiło kolejne zmiany w moim życiu i przeniosłam się do Warszawy.

– Nadal masz tylko jeden paszport?

– Tak, tylko jeden. Jestem obywatelką Mołdawii.

– Przyszłość wiążesz z Polską?

– Zdecydowanie. Nie ukrywam jednak, że pewnie przyjdzie taki moment w moim życiu, kiedy chciałabym wrócić do Mołdawii na parę lat i spróbować coś zmienić. Myślę, że jeśli dostaje się w życiu tyle dobrego, to powinno się to oddać. Jeśli chciałabym coś zmienić w Mołdawii, to muszę mieć pewien багаж doświadczeń, który mi pozwoli cokolwiek zrobić. Obecnie zbieram te doświadczenia, aby móc je kiedyś wykorzystać.

Muszynianka®

Muszynianka to naturalna woda mineralna rozlewana w Uzdrowisku Muszyna z odwiertów zlokalizowanych na terenie Popradzkiego Parku Krajobrazowego. Jest wodą alkaliczną, wysokomineralizowaną, magnezowo-wapniową. Jej orzeźwiający smak oraz składniki mineralne, takie jak: magnez, wapń, potas, sód, żelazo, powodują, że Muszynianka ma właściwości odżywcze. W swoim składzie posiada także wodorowęglany i siarczany, które alkalizują kwasy żołądkowe i są korzystne dla osób cierpiących na nadkwasotę. Przyczyniają się również do obniżenia zawartości cukru we krwi i regulują jej pH. Systematyczne picie Muszynianki nie tylko uzupełnia braki wody w naszym organizmie, ale też pozwala na korygowanie nieprawidłowości wynikających z niedoborów mineralnych i wadliwej przemiany materii.

ŹRÓDŁO
naturalnego
magnezu



Historia jednego skoku do lodowatego Dunajca

Drugi raz też nie stałbym obojętnie

Nawet kiedy prowadzi, myśli o tamtym. A może właśnie szczególnie wtedy. Za kółkiem ma sporo wolnego czasu. Jedzie sam, 150 kilometrów przez bajeczne krajobrazy, mija norweskie fiordy, zielenie i błękity, mógłby podziwiać piękno natury, ale myślami jest w Nowym Sączu. Rozkłada na czynniki pierwsze tamten styczniowy dzień. Może powinien być postąpić inaczej? I wtedy ta historia miałaby inny koniec? Dobrze by było tak sobie powiedzieć: Człowieku, nie myśl już o tym! Ale się nie da, to nie takie proste. Ty swoje, a głowa swoje. Więc może, gdyby wskoczył później, a dłużej biegł brzegiem i ją wyprzedził, może udałoby mu się ją uratować?



dokąd będę miał zdrowie, to sobie poradzę. To był czwartek, jakoś między godziną trzynastą a czternastą. Zimny, pochmurny dzień. Ale śnieg nie padał, to akurat pamięta. Zawsze jak przyjeżdża do domu, to kupują z teściem mięso i robią różne wędliny, szynki, kielbasy, bo wiadomo, że w tych sklepowych to nie wiadomo, co dodają. I w tamten czwartek żonie zachciało się kabanosów. Ale nie było jelit, Piotr musiał pojechać po nie do sklepu, do Nowego Sącza. Tak ma, że jak jedzie, to lubi się rozglądać na boki, zawsze go coś zainteresuje.

Był na moście heleńskim, kiedy zobaczył tamtą kobietę. Na oko mogła mieć jakieś 50 lat, srebrna kurtka, ciemne spodnie. Od razu coś go w niej zaniepokoiło. Dziwnie się zachowywała. Gdy ją mijał, zaczęła podskakiwać. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie dostała ataku padaczki. Odwrócił się za nią, spojrzał we wsteczne lusterko. I wtedy zobaczył, jak przekłada nogę przez barierkę. Sekundę później, już była po drugiej stronie.

– Wcisnąłem mocno klakson, przez chwilę trzymałem, zaciągnąłem ręczny i wyskoczyłem z samochodu – relacjonuje Piotr. – Ale wtedy kobiety już na moście nie było. Parę kroków przed nią szedł jakiś mężczyzna. Podbiegłem do niego, pytam: gdzie ta pani, co tędy szła? A on, że nie wie, że chyba widocznie gdzieś skręciła.

Piotr spojrzał w dół przez barierkę mostu. Zobaczył w wodzie dryfujące ciało kobiety. Nie namyślał się wiele. W biegu zrzucił z siebie kurtkę i košzulę, wyrzucił jeszcze portfel, kluczyki od samochodu i dokumenty,

Kobieta na moście

Od półtorej tygodnia Piotr Fałowski był w domu. Przyjechał na święta Bożego Narodzenia, spędził z rodziną sylwestra. I zostało mu jeszcze kilka wolnych dni do wykorzystania. Już od pięciu lat pracuje w takim systemie: sześć tygodni w Norwegii skła-

da dźwigi wieżowe, żurawie, jeździ na tirach między jedną budową, a drugą. Za to później na dwa tygodnie zjeżdża do domu. Dobrze by było jeszcze parę lat tak popracować. Dom, co go sam budował, jeszcze nie spleacony, dwóch synów dorastających, potrzeby są ogromne. Mówi:

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

o spodniach nie pomyślał. Krzyknął do jakiegoś mężczyzny idącego ulicą, żeby dzwonił na policję. Przeżegnał się, zanim rzucił się do wody. W pierwszej chwili zmroził go lodowaty chłód. Ale nie zrezygnował. Płynął dalej. Nurt w Dunajcu jest bardzo silny. Na dodatek woda w tym miejscu jest mocno wzburzona, bo kajakarze budują dla siebie specjalne spiętrzenia. Piotr robił co mógł, ale kobieta coraz bardziej oddalała się od niego. Nie był w stanie jej dogonić. Ręce i nogi zaczęły mu drętwieć z zimna. Wyszedł więc z wody, półnagi i przemoczony zaczął biec brzegiem, aby wyprzedzić kobietę.

– *Spodnie miałem polarowe, jak nasiąknęły wodą, to się zrobiły takie ciężkie, jakbym tam jakich odważników nawkladał* – wspomina. – *W pewnym momencie myślałem, że odpuszczę, że już nie dam rady. Sił mi brakowało.*

Nie poddał się. W końcu udało mu się wyprzedzić kobietę. Znow wskoczył do wody. Kamienicę, która wpada do Dunajca przeszedł w bród. Woda sięgała mu do pasa. Kilka razy się przewrócił. Gdy nareszcie dopłynął do kobiety, próbował wyciągnąć ją na brzeg, ale żwirowa skarpa osuwała się raz za razem, nie dawał rady. Oparł ją więc sobie na kolanie i zanurzony do połowy w lodowatej toni, zaczął reanimację. Po 15 minutach zjawili się policja i pogotowie.

– *Proponowali mi kilka razy, że bym pojechał z nimi do szpitala, ale nie chciałem* – przyznaje. – *Wydało mi się, że nic mi nie jest, dopiero później, kiedy zeszło trochę napięcie, gdy ochłonąłem, zacząłem odczuwać skutki tej pogoni. Miałem poobijane kości, poranione stopy i palce. Ale w końcu nic poważnego mi się nie stało* – zapewnia.

Kobiety, niestety nie udało się uratować.

Nie być obojętnym

Może trudno w to uwierzyć ale jakiś miesiąc wcześniej Piotr się zastanawiał, czy gdyby znalazł się w ekstremalnej sytuacji, starczyłoby mu odwagi do działania. Oglądał w dzienniku reportaż o człowieku, akurat z Nowego Sącza, który ratował ludzi z płonącego samochodu

i sam się przy tym mocno poparzył. Czy on w podobnej sytuacji postąpiłby tak samo? Już raz uratował komuś życie, choć może to nie było aż tak spektakularne: zima, mróz minus 20 stopni, jechali z żoną i zobaczyli leżącego na płocie człowieka. Piotr zatrzymał auto, wysiadł.

Okazało się, że mężczyzna jest kompletnie pijany i nie ma siły wstać. To nie był żaden lump, porządnie ubrany gość, wracał z jakiejś pracowniczej imprezy, na której widać zabalował. Piotr zapakował go do samochodu i odwiózł do domu. Później ten człowiek, jak trochę otrzeźwiał, to nie mógł się nadziękować, dorosły chłop, a splotał się jak nie wiem, że go od zamarznięcia uratował. Bo to nie zawsze chodzi o jakąś wielką odwagę, choć często tak. Ale czasem wystarczy nie być obojętnym, nie odwracać wzroku.

– *Nie wiem, skąd się u ludzi bierze znieczulica* – mówi Piotr. – *Że czasem coś widzą, ale nic nie robią, nie reagują. Czy to wychowanie, czy charakter? Pewnie jedno i drugie. Ja akurat jestem uczuciowy.*

Ojciec Piotra był kowalem, klepał resory do autobusów, zmarł 13 lat temu. Mama zajmowała się dziećmi i niewielkim gospodarstwem. Dzieciwęcioro ich w domu było. Jak w niedzielę szli do kościoła, to część na rano, część na popołudnie. Bo w tych samych butach szli, więc żeby się mogli nimi powymieniać. Ale zawsze bliskość między nimi była, jeden za drugim stał, jeden drugiemu pomagał. I tak zostało. Przyjaciół też Piotr ma wielu, mogą na niego liczyć, wystarczy telefon, przyjeżdża, pomaga.

– *Ale to w obie strony działa* – zaznacza. – *Dzięki temu jest w życiu łatwiej.*

Żona: czyś ty myślał o rodzinie?

Kiedy żona Piotra zobaczyła go na podwórku w asyście policji, mało nie umarła ze strachu. I później jeszcze parę razy robiła mu wyrzuty: czy on myślał o nich, o swojej rodzinie, gdy skakał do tej rzeki? Że przecież serce mogło mu stanąć, mógł zakrzepu dostać! Co gdyby ich zostawił? Trudno się dziwić, że się o niego martwiła. Za to synowie byli dumni.

Dla 16-letniego Marka i 11-letniego Juliana tata jest idolem.

– *Staram się tak wychowywać dzieci, żeby pomagali innym* – zaznacza Piotr. – *Nie wiem, jak zachowywałbym się drugi raz w podobnej sytuacji. Czy tak samo? To się nie da na sto procent powiedzieć, bo to impuls kieruje człowiekiem. Nie myśli się wtedy za bardzo. Na pewno coś bym zrobił, nie odjechałbym.*

Tym bardziej, że – nie ma co ukrywać – lubi adrenalinę i mocne doznania: skoki na bungee i ze spadochronem, teraz planuje zrobić kurs na paralotnię. Ze spokojniejszych zajęć lubi sobie w piłkę pograć, ryby też łowi. Za swój bohaterski czyn Fałowski dostał listy gratulacyjne i nagrody od władz województwa i miasta. Trochę peszy go ta cała medialna wrzawa i nagle zainteresowanie. Jest skromnym człowiekiem.

– *Tak sobie pomyślałem, że pewnie w gazecie coś będzie* – przyznaje. – *Ale, że tak daleko to pójdzie, że mnie zgłoszą do plebiscytu na sądeczanina roku, to się nie spodziewałem. Szum, jakby człowiek nie wiadomo co zrobił. Miłe były te ciepłe słowa od wójtów, prezydentów, starostwa* – uśmiecha się.

Mąż i syn kobiety, która skoczyła z mostu, przyszedł mu podziękować za to, co zrobił. Że swoje życie narażał. Ale Piotrowi cały czas jedno nie daje spokoju: czy tak miało być? Bo to się wszystko jakoś układa, że akurat on, znalazł się w tym miejscu, w tym czasie.

– *Ja bym sobie nawet myślał, że to jakiś znak* – opowiada. – *Bo najpierw do sklepu pojechał siostrzeniec. No ale wrócił, mówi, że nie ma tych jelit. Więc ja wsiałem w samochód, pojechałem do znajomego, co robi wędliny na grubszą skalę, nie tylko dla siebie. On jelił też nie miał. Ale tak żeśmy stali, gadali, od słowa, do słowa, że w Sączu na pewno będzie to, co potrzebuję, że on to wie na tysiąc procent. Wszystko się przeciągało i w końcu pojechałem. Więc gdybym uratował tamtą kobietę to bym uwierzył, że to z góry zaplanowane było, taki zbieg różnych okoliczności. Ale tak, nie wiem, jak o tym wszystkim myśleć...*

Traktat odrobinę filozoficzny

Kury Anieli

Zasadniczo to kury są dla jaj. Co nie znaczy, że ktoś miałby traktować je niepoważnie. A już na pewno nie Aniela Rola z Koniuszowej. Do swoich kur podchodzi bardzo serio. Może się nawet trochę z nimi zaprzyjaźniła? Każda kura ma u pani Anieli dożywocie. Choćby już i jajek nie niosła. Za wcześniejsze zasługi może liczyć, że ją gospodyni na grzędę wysadzi, kiedy kurze sił zabraknie. Żadna nigdy nie skończyła w rosole.

Kiedy opowiadać o jajkach, kurach i kurczakach, jak nie w Wielkanoc? Aniela Rola ma ich dziś 25. I jednego koguta. Kiedy są dwa, to walczą między sobą. Każdy chce być ważniejszy. Ale najważniejsze są jajka. I najzdrowsze. Jajko to życie i witaminy. Kiedy na przednówku robi się zająd na buzi, wystarczy zjeść jajko i szybko znika – pani Aniela ma wypróbowane sposoby. A jajko na twardo, to najlepszy prowiant w podróży. Sprawdzony, choć dziś coraz mniej popularny. Ludzie może by się wstydzili tak jajko jeść przy obcych. Niepotrzebnie.

Sklepowych jajek i domowych nie ma sensu porównywać. Naleśniki robione z kupnych wychodzą szare. Domowe to inna liga. Inny kolor, smak i zapach. Pani Aniela rozróżnia, które jajko, która jej kurka zniosła. W białych skorupkach są te od zielononóżki. Stara polska rasa. Ich jajka mają mniej cholesterolu, większe żółtko, a białko bardziej żelatynowe. A jajka od liliputek mają bardziej intensywny smak. Smakosze potrafią docenić. Ten smak najlepiej czuć w gotowanych na półtwardo, albo w jajecznicy ze skwarkami. Wnuczek z kolei prosi babcię Anielę o omlety. Dziennie w kurniku można znaleźć 5–6 świeżych jajek, a czasami nawet 10. Jajka nie są na sprzedaż, są prezentem dla dzieci.

Ludzie uważają, że najsmaczniejszą i najzdrowszą zupą jest rosół z kury. Być może, ale żadna z kur Anieli Roli nie skończyła w garnku! Jeśli trzeba ugotować rosół, to tylko z kupnych porcji. Po kurę na rosół idzie się do Biedronki. Kury domowe mogą spać spokojnie. Spacerują po trawie w Koniuszowej, aż do naturalnej śmierci, kładą się wcześniej spać. Taki kurzy dom spokojnej starości. Bardzo rzadko w ramach eutanazji trzeba którejś chorej pomóc. Poza tym bezstresowe życie. Jakie długie? 6–7 lat. Pewna liliputka żyła ponad 8 lat. Ale któregoś dnia spa-

dła z grzędy jak kamień. Na zawał zesła. Tłuszciotka była, serce nie wytrzymało dobrobytu.

Kury mają u pani Adeli jak u Pana Boga za piecem. Kupione z fermy, w Koniuszowej zaczynają odżywać. Obraстаją w piórka, bo w hodowlanym tłoku wycierają im się boki. Na wsi nazywają takie kury „striptizerki”, że niby prawie nagie chodzą. Ludzie myślą, że kury głupie są. Pani Aniela uważa inaczej. Jej zdaniem kura ma swój rozum. Jak się stadko zapuści daleko od domu, gdzieś nad rzekę, to zawsze samo wróci. I gospodynię poznają. Podchodzą, przymilają się, dziobną zaczepnie. Niby taka pieszczota, ale głównie prośba o smakołyki. Pani Aniela ptasiego mleka kurom nie żałuje. Witaminy kupuje, pszenicę, kukurydzę. Nawet suchy chleb serwuje według specjalnej receptury, bo moczonego jej pupilki nie lubią. Wszystko inne, czego potrzebują, by skorupka jajka była mocna, znajdują w ogródku. Albo na spacerze. Wolno im chodzić gdzie chcą. I tu się kogut przydaje. Ważny jest, pilnuje swoich kur, zaprasza do jedzenia. Jak trzeba, to się kogut i do lisa postawi. Czasami odda życie za kury. Ale częściej kogut swoim kurom nowe życie daruje. Wysiadują jajeczka cierpliwie przez 21 dni, a potem stadko się powiększa. Lisy podchodzą do kurnika w maju i czerwcu, kiedy w norach na jedzenie czekają ich młode. Lis jest bezczelny. Podchodzi w ciągu dnia i wbija zęby w pierwszą napotkaną kurę. Wlecze ją choćby za skrzydło, a jej koleżanki taki raban robią, że pani Aniela rzuca wszystko i biegnie na ratunek.

Zasadniczo to kury są dla jaj. Ale czasami trzeba sobie postawić poważne pytanie: co było pierwsze, jajko czy kura? Teorie są dwie. Nie od dziś zresztą wiadomo, że jajko chce być mądrzejsze. Jak to w życiu – dzieci szybko chcą przeskoczyć rodziców. Pani Aniela coś o tym wie, przepracowała 30 lat w szkole w Koniuszowej. Od kiedy jest na emeryturze więcej czasu poświęca swojej hodowli. Ale nie chodzi o spać kurami. Czasami siedzi do późna. Jest wtedy czas na czytanie, albo aktywność w grupie nauczycieli emerytów. Właśnie przed Wielkanocą trzeba było paczki przygotować. No, ale to już historia na zupełnie inne opowiadanie.

Z gór widać lepiej

Wesele w Maszkowicach, wesele w Atomicach

Jedynym hitem minionego weekendu z jakim Są-decczyzna przebiła się do ogólnopolskich mediów jest informacja o mordobiciu na wiejskim weselu. Świat chamieje. Kiedyś wiadomość o tym, że ktoś się z kimś pobił z powodu butelki wódki interesowała wyłącznie chamów. Dzisiaj interesuje wszystkich. No prawie wszystkich. Mnie by zupełnie nie zainteresowała, wszak jest tyle ciekawszych rzeczy do czytania. Na szczęście m.in. gazeta. pl, poważny – wydawałoby się – portal, zadbała, żeby przeczytali nawet ci, którzy słabo interesują naparzankami na weselach, dyskotekach i potańcówkach w remizie. „15 osób rannych!” – krzyczy internetowy serwis dużej ogólnopolskiej gazety. Czyli co? Autobus pełen weselników spadł w przepaść do Dunajca? Nic z tych rzeczy! Po prostu ktoś komuś dał po twarzy, bo jeden chciał się napić wódki, a drugi nie miał mu ochoty stawiać. Na dobrą sprawę nie bardzo wiadomo, kto komu przywalił. Zagadka jest na tyle pasjonująca, że inna gazeta wydelegowała do romskiej osady specjalnego wysłannika, który ustalił, że „to nie my zaczęli, ino oni”. Tym sposobem świat obiegła sensacyjna informacja, że – cytuję: „jeden z Polaków bez powodu uderzył 15-letniego romskiego chłopca, kopiąc go najpierw w nogę”. No i tym żył świat, upewniając się w przekonaniu, że Są-decczyzna to takie miejsce, gdzie ludzi leczy znachor, a ci, których nie udało się wyleczyć, naparzają się o butelkę weselnej wódki. Nic ciekawszego się tu nie dzieje.

Idę o każdy zakład, że pokrętny i wydumany przebieg bijatyki (przepychanki?) w Maszkowicach, przeczytało dużo więcej rodaków, niż najsłynniejszy literacki opis weselnego mordobicia w literaturze polskiej. Kto więc nie czytał opowiadania Sławomira Mrożka „Wesele w Atomicach” ma jedyną i niepowtarzalną

okazję sięgnąć po majstersztyk, który przeszedł do legendy. Służymy fragmentem:

„(...) Ale już gwałt się podniósł i rwetes, i na środku izby zaczęły szybko wyrastać ogromne niebieskie paprocie – zwyczajna rzecz przy wzmożonej radioaktywności w zamkniętym pomieszczeniu. Już i inne rakiety latać zaczęły, jeden tylko Bańbuła zachował przyzwoitość i konwencjonalnie rznął nożem. Wtem gwizd ostry się rozległ. To gospodarz, widząc, że inaczej gości nie uspokoi, skoczył do domowego rezerwuaru, odkręcił kurek i gazy bojowe na izbę puszczaając, rozpoczął zakażanie”.

Coś tu jeszcze można dodać? No może jedynie to, że głupota ludzka i naginanie informacji do gustu czytelnika nie jest wyłącznie naszą specjalnością. Cały świat tak ma. Stosunkowo niedawno całkiem poważna telewizja z powagą poinformowała, że w jakimś afrykańskim państwie z powodu osunięcia się ziemi zginęło 200 osób. Zginęli i amen. Nieporównywalnie więcej bezcennego czasu antenowego poświęcono bogato udokumentowanej filmowo relacji z Kalifornii, gdzie zatrzęsa się ziemia. Efekt? Jedna pani ze złamaną nogą trafiła do szpitala, ale rozbiło się kilka tysięcy butelek doskonałego kalifornijskiego wina. Cóż za niepowetowana strata – ubolewali przed kamerą fachowcy. Po tak przyrządzonym serwisie informacyjnym nie pozostaje nic innego jak tylko urznąć się w trupa. Oczywiście nie kalifornijskim winem, bo się porozbijalo, a niedobitki będą dzięki temu bardzo drogie, ale zwyczajną weselną wódką z Maszkowic. Może coś jeszcze zostało młodej parze w bagażniku?

WOJCIECH MOLENDOWICZ

DTS nr 35 (200) 4.09.2014

Nie tylko o tym, do czego w sklepie potrzebne są drożdże

Tylko raz powiedziałam, że jestem szczęśliwa

Rozmowa z **Krystyną Baran**, prezesem firmy Wiśniowski

– Używając młodzieżowego języka można by zapytać: czy delikatna kobieta ogarnia zarządzanie tak wielkim przedsiębiorstwem?

– Zawsze przy takich okazjach odpowiadam, że ja po prostu prowadzę w firmie ciekawe życie. Nadzoruję bardzo różne piony naszego przedsiębiorstwa, więc w krótkim czasie muszę się przenosić do kompletnie różnych światów. Na przykład od marketingowców, ludzi odpowiedzialnych za sprzedaż, myślących w sposób specyficzny, czasami nawet z głową w chmurach, wracam na ziemię siadając do bieżących tematów z działem księgowości, gdzie dwa plus dwa zawsze musi być cztery i nie ma miejsca na żadną improwizację. Każdy obszar naszej firmy to inni ludzie, często inne osobowości, ale praca z nimi to wielka przygoda. Ogarniam?

– Z pewnością. Ale przecież Pani nie planowała, że zostanie prezesem giganta produkującego bramy i ogrodzenia. Pani w najodważniejszych marzeniach nie mogła przypuszczać, że kiedyś brama będzie się sama otwierać przed samochodem.

– Kiedy spotykam się z koleżankami z mojej klasy w II LO w Nowym Sączu – ponad 30 bab! – to większość z nich jest nauczycielkami. I ja też chciałam być nauczycielką. Marzyłam o tym tak mocno, że nawet złożyłam dokumenty do studium pedagogicznego.

– I dzisiaj byłaby Pani dyrektorem szkoły w Wielogłowach, a nie prezesem firmy Wiśniowski.

– To bardzo możliwy scenariusz. A to, że zostałam prezesem dużej firmy jest zasługą mojego dziadka. Można powiedzieć, że wychowałam się w sklepie, bo w naszym rodzinnym domu w Ubiadzie dziadek prowadził sklep, który należał do Rejonowej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu w Nowym Sączu. Sprzedawał tam śledzie, gwoździe, kielbasę i wszystko inne, co w wiejskim sklepie w tamtym okresie było możliwe, a towar przywoził konnym wozem. To był świat, w którym telewizja nie kradła jeszcze ludziom czasu, więc wiejskie życie toczyło się w sklepie, a ja byłam w środku najciekawszych wydarzeń. Wracałam ze szkoły, w sklepie odrabiałam lekcje i zostawałam tam na resztę dnia. Pewnie dlatego do dzisiaj świetnie liczę w pamięci, bo w sklepie nie było przecież kalkulatora.

– To dlaczego nie została Pani nauczycielką, skoro papiery leżały już w studium pedagogicznym?

– Ponieważ zaraz po maturze zaproponowano mi pracę w sklepie – innym, już nie u dziadka – a to mi się bardzo podobało.

– Ten wiejski sklep dziadka w Ubiadzie był dla Pani pierwszą lekcją przedsiębiorczości?

– Tak. Pamiętam, że kiedy jechałam do liceum w Sączu, dziadek prosił mnie, żebym mu kupowała w mieście kilogram drożdży. I on te drożdże sprzedawał w sklepie w takiej samej cenie, jaką ja zapłaciłam w Sączu. Więc pytałam go: dziadziu, a jak ci się to opłaci?

– Dzisiaj wnuczka zapytałaby raczej: dziadku, a gdzie tu biznes?

– Tłumaczył to w prosty sposób: jak klient przychodzi i chce kupić 10 deko drożdży, to on je musi w sklepie mieć, bo inaczej byłby wstyd. Więc taszczyłam te drożdże ponad trzy kilometry z przystanku autobusowego, choć obowiązywały ceny urzędowe i dziadek nie mógł narzucić najmniejszej nawet marży.

– No więc gdzie był ukryty biznes?

– W tym, że klient przychodząc po drożdże kupował również wiele innych rzeczy. Dziadek miał przewidywać od obrotu, więc nie mógł sobie pozwolić, by z braku drożdży klient następnego dnia poszedł na zakupy do Wielogłów. Prosty mechanizm handlowy.

– Od dziecka lubiła Pani klimat konkurencji?

– W tamtych czasach trudno było mówić o konkurencji, ale idąc po maturze do pracy w sklepie, gdzie byłam sama sobie kierownikiem i pracownikiem, czułam, że coś zależy ode mnie. W sklepach zresztą pracowałam do momentu, kiedy w 1989 r. pojawiła się propozycja wejścia do zarządu Gminnej Spółdzielni w Chelmcu, gdzie później zostałam prezesem.

– W 1989 r. funkcjonowała już firma Wiśniowski, a Pani w niej jeszcze nie było? To gdzie tu legenda, że była Pani wśród pierwszych pracowników?

– Byłam w firmie pierwszą kobietą, ale dołączyłam dopiero w 1992 r.



FOT. ARCHIWUM FIRMY WIŚNIEWSKI

W tamtych latach miałam firmę Wiśniowski w domu, bo Andrzej ze swoją żoną, a moją siostrą Basią, mieszkali z nami pod jednym dachem i widziałam, jak wieczorami sam siedział nad książką przychodów i rozchodów. Firmy wyrastały wówczas jak grzyby po deszczu, choć Polacy dopiero uczyli się wolnego rynku.

– A Pani szybko uczyła się nowej firmy?

– Wszyscy się uczyliśmy. Zresztą to były tak dynamiczne czasy, że każdy robił wszystko, co akurat było do zrobienia. Jak było trzeba, to jechałam żukiem po sprężynie do Ustrzyk, a jak trzeba było posprzątać, to się sprzątało, albo robiło herbatę pracownikom. Jeśli dzisiaj się mówi, że to były pionierskie lata, to ja dodam, że przez całe zawodowe życie mam szczęście pracować w ciekawych czasach. Kiedy po maturze prowadziłam samodzielnie sklep, to m.in. woziłam swoim dużym fiatem wędliny z centrali na Gorzkowie.

W stanie wojennym na Zabeleckiej Górze były roгатki i żołnierze sprawdzając mi dokumenty nie mogli się nadziwić, że taka nieduża dziewczynka ciągle wozi tyle towaru.

– A skąd taka nieduża dziewczynka miała dużego fiata? Budziła Pani sensację za kierownicą?

– Na pewno budziłam zdziwienie, bo na początku lat 80. kobieta za kierownicą to była rzadkość, a w Wielogłowach to już faktycznie sensacja. Mój tato zawsze marzył o samochodzie, ale tak się złożyło, że poprzestał na motorze. Byłam najstarsza z trójki rodzeństwa i tato powiedział, że jak zrobię prawo jazdy, kupi mi auto. Wtedy można było robić prawo jazdy w wieku 16 lat i tato podpisał mi zgodę, w przeciwieństwie do mamy, która mówiła, że nie chce mieć mnie na sumieniu. Dokument wydano mi w pierwszy dzień wiosny 1979 r. Byłam tak zestresowana egzaminem, że trzymałam go w tajemnicy. Wiedział tylko mój chłopak. Tydzień później

tato kupił czteroletniego fiata 125p w kolorze pisakowym. Moja kuzynka mawiała, że uwielbia ze mną jeździć, bo wszyscy chłopcy w Nowym Sączu się za nami oglądali (śmiech).

– Pani musi być we wszystkim pierwsza i najlepsza?

– Nic podobnego. Mój mąż przy każdej okazji mówi, że mimo zawodowych sukcesów i stanowisk nie przewróciło mi się w głowie.

– Trochę mnie to martwi, bo z opowieści Pani znajomych wyłania się obraz poukładanej i ciepłej pani prezes, która muchy nie skrzywdzi, zamiast żelaznej damy trzymającej twardą ręką wielkie przedsiębiorstwo. To kto je trzyma twardą ręką, bo na zewnątrz panuje przekonanie, że ta firma to Andrzej Wiśniowski.

– I słusznie, bo ta firma to Andrzej Wiśniowski! Andrzej posiada rzadko spotykaną intuicję biznesową i wielką odwagę. Może właśnie dlatego pasujemy do siebie w zarządzaniu

firma, bo ja wielokrotnie go tonowałam. To zawsze ja byłam tą, która mówiła: „Andrzej powoli, bo jak przeinwestujemy, a na rynku wydarzy się coś nieprzewidywalnego, na co nie mamy wpływu, to możemy mieć kłopot”. Na szczęście życie pokazało, że w odważnych posunięciach więcej racji miał Andrzej, a ja staram się realizować jego wizję.

– Czyli to jednak Pani zarządza przedsiębiorstwem.

– Kiedyś powiedziałam Andrzejowi, że jestem tą osobą, którą najłatwiej byłoby mu zwolnić. Dlaczego? Bo we wszystkich obszarach firmy mam świetnych dyrektorów, zaufanych i sprawdzonych ludzi, dzięki którym firma funkcjonuje tak, jak funkcjonuje.

– Ale ciągle nie wiem, jak ta firma funkcjonuje, skoro zarządza nią osoba, która nie potrafi walnąć pięścią w stół i rzucić wojskowej komendy.

– Nie przesadzajmy, bo znalazłabym kilka osób, które potwierdzą, że czasami emocje się przeleją. Ale prawdą jest, że im mam więcej lat, tym mam więcej cierpliwości. Mam też swoje sposoby na stres.

– Podobno w nerwowych sytuacjach mawia Pani: „Zostawmy to do jutra, przespójmy się z problemem”.

– Aż tak to nie, ale czasami faktycznie mówię sobie, że pomyślę o problemie jutro. Pomaga, ale zawsze w sytuacji kryzysowej wolę usiąść z ludźmi i wspólnie omówić problem. Mam też inny sposób na stres: długi spacer na kijach, albo jeszcze lepiej – prasowanie.

– Nie ma Pani pomocy domowej, która za Panią wyprasuje?

– Broń Boże! Nie ma takiej potrzeby.

– Skoro poświęca Pani tak wiele godzin pracy, to żeby wygospodarować trochę czasu dla siebie, musi Pani ten czas kupić, np. zatrudniając kogoś do prasowania.

– Ja nie mam już dzieci w wieku szkolnym i nawet poświęcając pracy zawodowej dziesięć godzin dziennie, mam też czas na życie prywatne, na pasję i drobne przyjemności.

– Kiedy do Pani dotarło, że uczestniczy Pani w budowaniu potężnej firmy, lidera w swojej branży? Budzi się Pani rano i myśli: udało nam się rzecz niezwykłą, wykonaliśmy kawał solidnej roboty.

– Nigdy nie myślę w ten sposób, nie jestem osobą, która musi brylować w pierwszym szeregu. Jakiś czas temu mówiłam do współpracowników, że ta firma mnie już przerosła, już nie ogarniam jej skali. Na dobrą sprawę w naszym rozwoju nie ma żadnego momentu przerwy, ciągle coś się dzieje, inwestycja goni inwestycję i nie zamierzamy się w tym zatrzymywać.

Ale o piątej pracujemy tylko wówczas, kiedy mąż ma zbiory ogórków albo pomidorów i tylko wcześniej rano da się pracować pod szkłem. Nazwałabym to raczej pielęgnowaniem więzi rodzinnych niż ciężką pracą.

– Potrafi Pani śmiało wygłosić swój pogląd i bez obaw powiedzieć właścicielowi nawet najbardziej niewygodną prawdę, której on nie chce usłyszeć?

– Potrafię, choć zawsze warto zadać sobie wcześniej pytanie czy trzeba to robić? Uważam, że często warto powiedzieć o jedno zdanie mniej, niż dążyć do nakręcania sporu. Zazwyczaj okazuje się, że emocje szybko opadają, a ludziom jest łatwiej później pracować, bo nie powiedzieli kiedyś o to jedno zdanie za dużo. Życiowa mądrość? Bez przesady! To oczywista wiedza, która przychodzi z wiekiem. Trudne sprawy lepiej omawiać z chłodną głową.

– Co to są trudne sprawy w firmie, której – takie sprawia wrażenie – wszystko przychodzi łatwo? Przecież praca tutaj, to czysta przyjemność?

– Oczywiście, że to przyjemność, co nie znaczy, iż rano na biurku nie

czeka na mnie informacja, że dłużnik zalegający nam od wielu miesięcy właśnie ogłosił upadłość albo został poddany licytacji komorniczej, a tam są zamrożone nasze pieniądze. Oczywiście, że to nie są sytuacje z gatunku być albo nie być, ale one boją. Do mnie trafiają zwykle trudne sprawy, a moja praca polega na podejmowaniu sprawnych decyzji, bo odkładanie ich na później tylko nawarstwia problemy.

– Łatwo Pani przychodzi podejmowanie trudnych decyzji?

– Wolę ich nie odkładać na jutro, bo niepotrzebnie bym o nich myślała. Jednym z moich sposobów na odreagowanie stresów jest dobrze przespana noc. Jedni podobno zajądają stresy, inni zapijają, albo chcą je rozbiegać, a ja odsypiam stres. Po prostu kładę się do łóżka o 20 i wstaję o 6 rano. Ale bywało, że jakiś problem potrafił obudzić mnie o drugiej w nocy i nie pozwalał zasnąć do rana.

– Brzmi groźnie.

– Bo prowadzenie dużej firmy to są też groźne momenty. Dam przykład – kilka lat temu banki z dnia na dzień chciały nam podnieść oprocentowanie kredytów, więc musieliśmy podjąć tę wojnę. Nie był to łatwy moment. Urząd Skarbowy i ZUS zgodziły się odroczyć nam płatności, nawet pracownicy podeszli ze zrozumieniem do sytuacji i zgodzili się na opóźnienia wypłat, choć zapowiedzieliśmy, że osoby w trudnej sytuacji mogą wnioskować o zaliczki. Z takich lekcji powinno się wyciągać wnioski na przyszłość. Nam się dzięki temu udało czegoś nauczyć.

– Gratuluję szczelnej załogi, bo taka informacja nigdy nie wyciekła na zewnątrz. Wyobraża Pani sobie te tytuły w porannych gazetach: U Wiśniowskiego nie wypłacono pensji w terminie!

– Wyobrażam sobie, jakie zamieszanie by to wywołało. Na szczęście zdarzyło się to pierwszy i – mam nadzieję – ostatni raz.

– Dlaczego przychodzi Pani na szóstą do pracy? Przywilejem prezesa jest przychodzić później.

– Jeśli mam zaległości w bieżących sprawach, to staram się je załatwić, zanim w firmie zacznę się na dobre praca, bo czasami nie jestem w stanie przewidzieć z iloma osobami będę się musiała spotkać. Nie zawsze jestem tak wcześnie, ale dzisiaj byłam o szóstej i bardzo lubię o tej porze pracować.

– Dlatego w soboty śpi Pani jeszcze krócej i o piątej jest już Pani w szklarni?

– Bo zielony kolor uspokaja (śmiech). Praca w szklarni jest dla mnie najlepszym sposobem rekreacji. Ale o piątej pracujemy tylko wówczas, kiedy mąż ma zbiory ogórków albo pomidorów i tylko wcześnie rano da się pracować pod szkłem, bo potem jest tam za gorąco. Ale to się rzadko zdarza, no chyba, że mąż zarządzi akcję np. obcinania pędów. Wtedy idziemy do szklarni dużą grupą. Nazwałabym to raczej pielęgnowaniem więzi rodzinnych niż ciężką pracą, bo mamy świetną okazję porozmawiać wówczas z synowymi, dziećmi, sąsiadami.

– Przyszłego męża podobno poznała Pani w szóstej klasie podstawówki i od tego czasu się nie rozstajecie.

– To akurat nieprawda, bo znamy się od dziecka. Ale parą byliśmy faktycznie od szóstej klasy. Znajomi żartują, że poznaliśmy się w piaskownicy...

– A Pani wiernie czekała, aż ukochany wróci z wojska i poprowadzi Pani do ołtarza.

– To nie było tak. Braliśmy ślub, kiedy mój – wówczas narzeczony – był w wojsku, dlatego w rodzinnym albumie mamy zdjęcia ślubne, na których ja jestem w sukni, a on w mundurze.

– Bardzo to Pani życie poukładane, wszystko musi Pani mieć pod kontrolą. Nawet sprawy rodzinne ma Pani uporządkowane jak proces produkcyjny w firmie Wiśniowski.

– Ale to mąż pomógł mi życie rodzinne uporządkować. To bardzo wyrozumiały człowiek, bo przecież ja zawsze dużo pracowałam, sporo czasu spędzałam poza domem, np. wyjeżdżając z Andrzejem na targi.

Zawsze byliśmy – jeśli tak można powiedzieć – rodzinie dobrze zorganizowani. Kiedy urodziłam pierwsze dziecko moja mama miała 40, a babcia 65 lat i na dodatek mieszkaly blisko, więc mogłam na nie liczyć.

– Ma Pani szczęście w życiu...

– Tylko raz powiedziałam, że jestem szczęśliwa. Wiele lat temu koleżanka w sklepie w Wielogłowach powiedziała do mnie: „Krysiu masz fajną pracę, mąż ma pracę, Michał ładnie rośnie, ty musisz być szczęśliwa”. I ja potwierdziłam, że faktycz-

To był świat, w którym telewizja nie kradła jeszcze ludziom czasu, więc wiejskie życie toczyło się w sklepie, a ja byłam w środku najciekawszych wydarzeń. Wracałam ze szkoły, w sklepie odrabiałam lekcje i zostawałam tam na resztę dnia

nie jestem bardzo szczęśliwa. To był poniedziałek. W środę zmarł mój tato. Nigdy więcej nie powiedziałam i nie powiem, że jestem szczęśliwa.

– A dzisiaj Pani nie powie, że jest szczęśliwa? Kobieta sukcesu nie jest szczęśliwa?

– Nie powiem. Chyba ze strachu tak nie powiem.

– To jakby Pani określiła swój stan ducha? Pani ma w ręku wszelkie karty, żeby powiedzieć „jestem szczęśliwa”.

– Jestem zadowolona ze swojego życia.

– To niech Pani powie, że jest Pani spełniona zawodowo i prywatnie...

– Jak będę miała sto lat, to wtedy powiem, że jestem spełniona. Trochę jak Danuta Szaflarska, którą podziwiam.

– Jako kobieta czy jako miłośniczka teatru?

– Jedno i drugie. Bardzo lubię teatr i ten na żywo, i w telewizji, więc pilnuję, żeby nie przegapić poniedziałkowego spektaklu. Poza teatrem i „Ranczem” – czasami oglądam nawet powtórki! – telewizja może dla mnie nie istnieć. Bieżących wiadomości słucham w radiu. Na nic więcej nie mam czasu. No oczywiście są jeszcze spacerzy na kijach, które zabierają mi ok. cztery godziny tygodniowo.

– Ale Pani wyliczona z tym czasem. Gdyby Pani pracowała na podobnym stanowisku w Warszawie, wychodziłaby Pani z firmy o 20 i gdyby Pani miała jeszcze energię, szłaby na godzinę do siłowni żeby pospacerować po bieżni ze słuchawkami na uszach. Ciekawsza wizja?

– Niczego sobie nie wyrzucam, ale doba ma niezmiennie 24 godziny i z czegoś trzeba zrezygnować. Ponieważ moje dzieci są już dorosłe, zostaje mi trochę więcej czasu dla siebie.

– Skoro dopiero w wieku stu lat powie nam Pani, że jest osobą spełnioną, to znaczy, że Pani stawia ciągle przed sobą jakieś zadania i marzenia.

– Kiedyś w dramatycznym momencie moja ciocia powiedziała do mnie: widocznie ktoś ma wobec ciebie plany i masz jeszcze w życiu dużo do zrobienia.

– W dramatycznym momencie...?

– Ponad dwadzieścia lat temu zasnął za kierownicą samochodu. Kiedy się ocknęłam byłam już na przeciwległym pasie ruchu. Żeby nie doszło do czołówki odbiłam w prawo, auto spadło ze skarpy i koziółkowało. Mój syn i mój brat (jest młodszy o rok od mojego syna) wypadli z samochodu na orne pole. Brat wypadł przez bagażnik, syn przez szybę. Poza nimi w aucie była jeszcze moja mama i mój mąż. Nikomu nic się nie stało, choć auto było zniszczone. Po tym wypadku ciocia powiedziała mi właśnie, że mam jeszcze dużo do zrobienia. I tego się trzymam.

MIEJSKIE
PRZEDSIĘBIORSTWO
ENERGETYKI
CIEPLNEJ



Jesteśmy z Tobą na co dzień...

*Dostarczamy ciepło i podgrzaną wodę
dla ok. 55 000 mieszkańców
Nowego Sącza i Starego Sącza*

PONAD 50 KM SIECI CIEPŁOWNICZYCH
PONAD 550 WĘZŁÓW CIEPLNYCH

STAŁA MOC ŹRÓDEŁ CIEPŁA: 93 MW
PRODUKCJA ENERGII CIEPLNEJ/ROK: 460 000 GJ

profesjonalna
kadra zarządzająca

wysokosprawny hybrydowy system
odpylania spalin

ul. Wiśniowieckiego 56
33-300 Nowy Sącz

www.mpec.nsi.pl



...myślimy o Tobie ciepło

Historia, w którą trudno uwierzyć

Rok nadziei, wiary i cudów



FOT. SOR FILM „TOMASZ BRZESKI – DROGA DO SAMODZIELNOŚCI” KRZYSIEK POMAGAĆ

Dokładnie przed rokiem 1 kwietnia Tomasz Brzeski miał dramatyczny wypadek. Jego „być” wisiało na włosku. Krok po kroku, tydzień po tygodniu sportowiec o harcie ducha mocarza, wracał do życia i do sprawności. To był rok walki. Ale też rok cudów. Bo miłość czyni cuda. I pozwala odrodzić się na nowo. I to dosłownie.

1 kwietnia

Zakopane. Puchar Polski w ski-alpinizmie. Jeden z zawodników to Tomasz Brzeski, sportowiec, biegacz, trener, mistrz Polski w narciarstwie wysokogórskim. Ułamek sekundy. Pod Zawratem Tomasz z impetem

uderza głową w skałę. Kask pęka. Złamana podstawa czaszki, rozległy obrzęk mózgu, połamane oczodoły i piramida skroniowa, rozdarty mózg, odma płucnowa, serce przestaje pracować. Reanimacja. 40 minut walki o życie. Ze stoku śmigłowiec zabiera go do krakowskiego szpitala na OIOM. Już pędzą do niego żona z Warszawy, a z Nowego Sącza dziewiętnastoletnia córka Ewa razem z ciocią. Ale on jest nieprzytomny, jego serce znów staje, reanimacja, stan jest krytyczny.

2 kwietnia

Obrzęk narasta, zapada decyzja o otwarciu czaszki. Trzeba zrobić

miejsce, aby nie zostały uszkodzone ważne ośrodki mózgowe. Strach i oddanie woli Bożej.

4 kwietnia

Tomasz w śpiączce farmakologicznej, podpięty do urządzeń podtrzymujących życie, zmasakrowana głowa jest zabandażowana, więc nie straszy, ale sina twarz, opuchnięte, ciemne oczodoły dają wyobrażenie o tym, co się dzieje. Mija trzeci, decydujący dzień. 45-letni mężczyzna, wysportowany, dobrze się odżywiający, z silnym sercem, nieobciążony żadnymi chorobami, ale czy organizm sobie poradzi? Lekarze nie dają wielkich nadziei.

15 kwietnia

Walka trwa. Tomasz nadal w śpiączce. Każdego dnia przyjeżdżają do niego żona i córka. Mówią, głaszczą, trzymają za rękę, masują stopy i żarliwie się modlą, wierzą w cud. Ewa ma za miesiąc maturę, ale właśnie stanęła przed prawdziwym egzaminem dojrzałości. Zdaje go celująco.

24 kwietnia

Pięciogodzinna operacja. Neurochirurdzy składają zdruzgotane kości zatoki czołowej i skroni. Przed zabiegiem tomografia pokazuje, że krwawki się wchłonęły i nie ma obrzęku mózgu. To dobra wiadomość. Operacja przebiega bez komplikacji. Tomek pozostaje w śpiączce.

9 maja

Mija prawie czterdzieści dni. Dni walki o życie. Dni nadziei i nieustającej modlitwy. Tomasz zostaje wybudzony ze śpiączki. Jest! Kontaktuje. To przełom.

11 maja

Zaczyna pisać i z wysiłkiem próbuje mówić. Jest w tym stwierdzeniu duża dawka przesady, ale podtrzymywana ręka stawia literę. Litery! Koślawym pismem drukuje: Kocham. Płyną łzy...

12 maja

45. urodziny Tomka. Nie tak wyobrażał je sobie przed rokiem, przed dwoma miesiącami. Ale najważniejsze, że jest, żyje. Nawet zjada kawałek tortu. Są życzenia, pełne wiary, że wróci do sprawności. Przyjmuje je skinieniem głowy. Na razie tylko tyle może.

30 maja

Przed tygodniem Tomasz trafił z oddziału neurologii w krakowskim szpitalu przy ul. Kopernika do limanowskiego ośrodka RehStab na Oddział Rehabilitacji Neurologicznej. Jest bardzo wychudzony, leży, ma problemy z pamięcią krótkotrwałą. Zaczyna się żmudna, ciężka praca powracania do sprawności. Cały czas towarzyszy mu żona Agnieszka i córki Ewa, Dominika i Madzia. Pełne pozytywnej energii, roześmiane, promieniujące optymizmem. Przywożą zupki, musy owocowe, serki, soczki. Karmią, za-

bawiają, opowiadają, mobilizują, przekazują pozdrowienia, które płyną lawinowo od znajomych, przyjaciół i tych, którzy po prostu wzruszeni historią Tomasza z serca dobrze mu życzą. Przy takiej opiece nie ma wyjścia! Trzeba się zbierać do życia!

9 lipca

100 dni od wypadku, 100 dni poza domem i... pierwsza przepustka! Wyjazd do Nowego Sącza. Radość ogromna! Tomasz rozpoznaje miejsce. Rozpoznaje na zdjęciach rodzinę i znajomych. Zmęczony wrażeniami

Miesiąc od rekonstrukcji czaszki. Na wizycie kontrolnej profesor jest zaskoczony. Tomek wchodzi do gabinetu na własnych nogach! Wszystko świetnie się goi. Pozostał jeszcze tylko niewielki ubytek w okolicy skroni.

zasypia, a żona spogląda na niego z nieskrywaną czułością jak na małego chłopca, swojego Tomka sprzed lat.

20 lipca

Konsultacje w Katowicach u profesora Adama Maciejewskiego. Tomek ma przecież „dziurę w głowie” – brakuje sporego fragmentu czaszki. Zapada decyzja o rekonstrukcji i to już we wrześniu. W drodze powrotnej Tomasz w karetce z niepokojem zerka na sprzęt stojący nad jego głową. – *Jak mi spadnie na głowę, to mnie zabije* – mówi pół żartem pół serio.

7 września

Dziś miała się odbyć operacja w Katowicach. Ale firma, która przygotowała implant nie zdążyła. Przesunięcie o tydzień. Nerwy. Napięcie. Niepewność. Czy wszystko pójdzie dobrze? Tomek zostaje jeszcze w Limanowej, może dokończyć rehabilitację. Chodzi z pomocą wysokiego kija, układa kostkę Rubika, czyta, rozwiązuje krzyżówki i kłóci się... Ale te ostrzejsze wymiany zdań cieszą wszystkich.

13 września

Tomek opuszcza limanowski oddział rehabilitacyjny RehStab. Płyną łzy. To były cztery miesiące ogromnego wysiłku, ale też niezwykłego postępu. Gdy trafił na oddział, chyba niewielu wierzyło, że opuści go na własnych nogach. Dzień pełen emocji. Przejazd do Katowic. Jutro operacja.

14 września

Trudny czas, stres, kolejny zabieg chirurgiczny. Operacja rekonstrukcji czaszki. Na szczęście bez komplikacji. Implant wykonany za pomocą technologii druku 3D pasuje idealnie. Wystarczyło skóry na głowie, nie trzeba będzie operować po raz kolejny.

16 września

Tomek wraca do domu. Po operacji zostały tylko plastry i kilka szwów. Głowa naprawiona! Znowu ma normalną, pełną twarz. Ubytek w czaszce zabezpieczony. Miejsce dla mózgu zrobione. Jest szansa na szybszą regenerację.

28 września

20-lecie małżeństwa Tomka i Agnieszki. Tomek milion razy powtarza żonie: – Kocham Cię, chciałbym mocniej, ale nie wiem, jak to zrobić. Dzieci robią rodzicom cudowną niespodziankę – pamiątkowy album ze zdjęciami wspólnych chwil, a rodzina dba by ten dzień był niezapomniany. Pięć ostatnich miesięcy pokazało, że miłość potrafi zdziałać cuda. Potrafi przywrócić do życia i postawić na nogi. Bardziej kochać chyba nie można...

15 października

Miesiąc od rekonstrukcji czaszki. Na wizycie kontrolnej profesor jest zaskoczony. Tomek wchodzi do gabinetu na własnych nogach! Wszystko świetnie się goi. Pozostał jeszcze tylko niewielki ubytek w okolicy skroni. Jeśli za pół roku okaże się, że jest nadal widoczny, zostanie uzupełniony tkanką tłuszczową. Rehabilitacja potrafi zdziałać to, co wydawało się niemożliwe. Niespełna sześć miesięcy od wypadku Tomek może samodzielnie się umyć, pójść do toalety, pomagać w pracach domowych. Dziś chrzciny

małej Anielki. Tomek zostaje ojcem chrzestnym dziewczynki. Jeśli prawdą jest, że po chrzestnych „dziedziczy się” cechy, Anielka będzie... mocarna.

22 października

W XV Biegu Bejorów w Rytrze dla Tomka biegnie prawie pół tysiąca osób – to nowy rekord. Wszyscy poruszeni siłą woli Tomka, solidarnie, chcą dorzucić grosz na jego rehabilitację. Na mecie jest Tomek z Agnieszką i ich cudowny wspólny taniec. Tomek naprawdę tańczył! To był taniec miłości do Agnieszki i radości. Bo przecież bieg w Rytrze to tylko jedna z akcji. Koncertów, zawodów sportowych, aukcji, z których dochód przeznaczony był na wsparcie rehabilitacji Tomka, było mnóstwo. Tak mnóstwo jak dobrych ludzi wokół.

18 marca

Tomek nabiera ciała, waży już 88 kg, przybywa mu siły. Walczy

z epilepsją pourazową, ale cały czas wytrwale ćwiczy. Może już przejść spacerem prawie pięć kilometrów. Chętnie współpracuje z rehabilitantami. Jest samodzielny, ale jeszcze dużo przed nim. Jego pamięć nadal płata figle, psycholog pracuje nad uporządkowaniem przeszłości i zapamiętywaniem teraźniejszości. To mozolnie stawiane małe kroczki naprzód. Doping i optymizm w tej walce nie gaśnie. Najważniejsze, że ma przy sobie kochane, cudowne kobiety swojego życia, wspaniałą rodzinę i szerokie grono przyjaciół o wielkich sercach. Oni dodają mu siły na każdy kolejny dzień.

Postscriptum

Tomasz Brzeski: – *To był rok „zwycięski z Bogiem”.*

Agnieszka: – *To szczególny czas, który mimo wszystko był bardzo szczęśliwy. Czas wyjątkowy, w którym przeszliśmy wiele prób, lecz*

również doświadczaliśmy miłości rodziny i przyjaciół, którzy mocno nas wspierali. Poznaliśmy wielu wspaniałych ludzi, którzy bezinteresownie pomagali i kibicowali w tej walce. Nauczyliśmy się cieszyć każdym dniem spędzonym razem, każdą najmniejszą rzeczą. To rok przepełniony wiarą, nadzieją i miłością.

Dominika: – *To był niepowtarzalny czas, w którym wiele się wydarzyło.*

Ewa: – *To był początek nowego życia, nowych wyzwań i doświadczeń. 365 dni, z których każdy był wyjątkowy i wiele mnie nauczył. To był rok pod hasłem „nie ma rzeczy niemożliwych”, rok miłości, rok łez szczęścia i smutku, rok nadziei. Rok czyli 365 dni, w których nauczyłam się doceniać to co mam, a każdy dzień z uśmiechem zaczynać słowami „Boże, dzięki Ci za kolejny dzień życia”.*

DTS nr 12-14 (385-387) 29.03.2018

R E K L A M A

SEZAM

Powiedz Tak!

www.jubilersezam.pl

NOWY SĄCZ: Auchan, Europa II,
Sandeja, Trzy Korony
STARY SĄCZ: ul. Rynek 10

W tym teście zmieniliśmy tylko 13 liter

Mówcie nam po imieniu: jesteśmy DE-TE-ES!

Najprościej byłoby zacząć banalnym zdaniem: „Jak ten czas leci”. Sami jednak przyznacie, że to chyba nieodpowiednie zdanie, przy tak poważnej okazji. No, ale jak zacząć inaczej? Ledwie był 30 września 2010 roku i cieszyliśmy się wydaniem pierwszego numeru „Dobrego Tygodnika Sądeckiego”, a właśnie wydaliśmy 308. numer gazety. Jak ten czas leci! Wtedy czuliśmy się jak bohaterowie, choć nasza robota pewnie nawet obok prawdziwego bohaterstwa nie stała. Ale dumni to jednak jesteśmy i jako specjalnie nie zamierzamy dzisiaj tego ukrywać.

Zacznijmy więc od dumy. Dumą chcemy się podzielić, bo w pierwszej kolejności dumni jesteśmy nie z siebie, ale z Was. Tak, tak, to o Was i do Was piszemy teraz te słowa. Dumni jesteśmy z naszych Czytelników i Reklamodawców, choć kolejność wymienianych w tym zdaniu mogłaby być równie dobrze odwrotna. Wszyscy jesteście dla nas ważni – Czytelnicy, bo tak dobrze zareagowali na medialny produkt, po który w wielu miejscach ustawiają się kolejki w czwartkowe poranki. Dzisiaj w kolejce ustawiają się nie klienci do producenta, ale producenci do klienta. U nas odwrotnie, trochę jak za PRL-u – kolejka stoi za towarem, który właśnie przywieźli. W Nowym Sączu jeszcze tylko do lekarzy i pod redakcją na Żywieckiej ustawiają się kolejki. Kto wcześniej wstaje, niech wpadnie, pstryknie sobie fotę, wrzuci na Facebooka, znajomi się będą dziwić. Z kolei z Reklamodawców jesteśmy dumni, bo nam zaufali uznając, że łamy DTS są dobrym miejscem na promocje ich produktów i usług. Zaryzykowaliśmy, zaproponowaliśmy pewną formę medialnego eksperymentu i to się przyjęło.

Słowo o Czytelnikach. Trochę ich poznaliśmy przez tych sześć lat. Wie-

my, że są ciekawi świata, wymagający, poszukujący nieco ambitniejszych treści niż tylko proste: pani zabiła pana i samochód, który przestawił drzewo. Dzisiaj o takie treści w mediach najprościej, wszystko zaś musi być podlane ostro-kwaśnym sosem sensacji i to – podobno – wystarcza, by znudzeni odbiorcy przez piętna-

Nasi Czytelnicy są nieco inni. Nie piszemy, że lepsi. Po prostu są inni, coś innego ich w życiu interesuje, a dobre historie, które przydarzają się bliźnim, nie zaburzają im dobrego samopoczucia.

ście sekund utrzymali uwagę na takim newsie. Ludzie to lubią, bo ponoć miło jest czytać, że innym jest gorzej niż nam i mają większe kłopoty niż nasze. Ot, taka forma terapii. Nasi Czytelnicy są nieco inni. Nie piszemy, że lepsi. Po prostu są inni, coś innego ich w życiu interesuje, a dobre historie, które przydarzają się bliźnim, nie zaburzają im dobrego samopoczucia. Nam też nie, więc chętnie piszemy, że

ktoś czegoś dokonał, nie nabijając sobie przy tym guza. A Wy nas czytacie.

A czytacie nas chętnie. Sześć lat temu w najśmielszych snach nie marzyliśmy o tym, że będzie Was tak wielu. Przede wszystkim – zazwyczaj to nakład 15 tys. egzemplarzy – czytacie nas w wersji tradycyjnej, papierowej, bo taką bardzo lubicie. Wiadomo, prawdziwa gazeta to papier i wbrew apokaliptycznym wizjom, to się jeszcze przez jakiś czas nie zmieni. Ale lubicie też nowoczesne nośniki treści, a nasza gazeta chętnie jest „kartkowana” w wersji elektronicznej. Na samej tylko platformie ISSUU od września 2013 r. pobrały DTS 1 313 534 osoby, czyli średnio, co tydzień daje to kolejnych niemal dziewięć tysięcy Czytelników, a za pośrednictwem Facebooka każdy numer czyta dalsze cztery tysiące osób tygodniowo. Daje nam to potężny kapitał czytelniczego zaufania, bez wątpienia największy w regionie i trudny do przebicia, szczególnie, kiedy spojrzeć na raporty sprzedażowe płatnych gazet codziennych. Kto ciekaw, odsyłamy do lektury takich zestawień, my ich tutaj nie cytujemy, bo koncentrowanie się na cudzej kłęsce nie przynosi nam satysfakcji.

My udostępniamy nasze treści bezpłatnie. Bieżące i archiwalne. Taką przyjęliśmy strategię i ona się sprawdza. Tak pewnie musi być w czasach, kiedy odbiorca przyzwyczaił się, że tak wiele materiałów dziennikarskich dostępnych jest

w internecie bezpłatnie. Szczególnie jednak naszą formułę dostępności i jej skuteczność cenią Reklamodawcy. Na nich możemy liczyć od dawna, bardzo wielu wraca do nas regularnie od lat ze swoimi kampaniami. Szczególnie polubiliście – Szanowni Reklamodawcy – dodatki i wydania tematyczne, drukowane nierzadko w nakładzie 30 tys. egzemplarzy i kolportowane w całej Małopolsce. Uznajemy to za nasz wspólny sukces – redakcji DTS oraz tych wszystkich, którzy nasze łamy przy takich oka-

i światowym zasięgu. Potrafią one docenić rodzime wydawnictwo, które odważyło się konkurować z zagranicznymi koncernami o niewyobrażalnie większym kapitale i możliwościach. Polskie i sądeckie przedsiębiorstwa w swojej działalności stają przed identycznymi wyzwaniami jak my, choć oczywiście w zupełnie innej skali. To ważne, że decydenci i przedsiębiorcy nie porzeczają na sloganach typu „Kupuję polskie produkty”, „Wspieram rodzime przedsiębiorstwa”, tylko re-

świadczonej przez naszą firmę z zakresu szeroko pojętego marketingu, promocji, działalności wydawniczej i sprzedażowej.

A przecież „Dobrego Tygodnika Sądeckiego” miało nie być. Czasami jeszcze ktoś pyta, skąd wziął się taki nietypowy tytuł gazety, a inni złośliwie uśmiechają się pod nosem „a niby dlaczego on taki dobry, ten tygodnik?”. Otóż tytuł powstał przypadkiem, oczywiście jeśli ktoś w przypadki wierzy, bo my akurat nie wierzymy. Kiedy sześć lat temu byliśmy gotowi do wydania pierwszego numeru „Tygodnika Sądeckiego”, kiedy wszystko było już dopięte na ostatni guzik, z sądu przyszła spóźniająca się informacja, że... gazety o tytule „Tygodnik Sądecki” wydawać nam nie wolno, bo taki jest już przez kogoś zastrzeżony. Chwilowa panika, a zaraz potem nasz grafik przytomnie jednym kliknięciem w klawiaturę komputera przerobił gotową już makietę gazety na „Dobry Tygodnik Sądecki”. Najprościej i najszybciej było przeorganizować wszystko dodając małą literkę „d” w winiecie. Takiego tytułu nikt w sądzie nie zastrzegł, a DOBRY, bo wydawany przez powstałe wcześniej Wydawnictwo DOBRE. Dzisiaj zresztą niemal wszyscy mówią o nas w skrócie i „po imieniu” czyli DETE-ES. I tak to się zaczęło, a potem była cała masa przygód (bo robienie gazety to jedna wielka przygoda), czasami potencjalnie niebezpiecznych i kosztownych. Jak z pewną panią, która żądała od nas w sądzie... miliona złotych zadośćuczynienia, za to, że podobno naraziliśmy na szwank jej dobre imię. Na szczęście sąd w pierwszej kolejności zajął się dokonaniem naszej bohaterki, która sama swoje dobre imię gdzieś zapodziała, skazał ją prawomocnym wyrokiem, a nami i żądanym milionem już się nie zajmował. I w ten oto sposób zastały nas szóste urodziny, z okazji których, naszym Czytelnikom i Reklamodawcom życzymy wszystkiego dobrego.

DTS nr 39 (308) 29.09.2016

My udostępniamy nasze treści bezpłatnie. Bieżące i archiwalne. Taką przyjęliśmy strategię i ona się sprawdza. Tak pewnie musi być w czasach, kiedy odbiorca przyzwyczaił się, że tak wiele materiałów dziennikarskich dostępnych jest w internecie bezpłatnie. Szczególnie jednak naszą formułę dostępności i jej skuteczność cenią Reklamodawcy

zjach traktują, jako dobre miejsce promowania własnych treści. Firmy oraz instytucje powierzające nam swoje reklamy podkreślają, że to nie tylko nakład tygodnika i satysfakcjonujący stopień dotarcia do odbiorcy, ale również wysoki poziom publikowanych przez nas materiałów zachęcają ich do skorzystania z naszej oferty. Co ciekawe, w tzw. środowisku funkcjonuje opinia, iż reklama u nas do tanich nie należy, widać jednak bardzo wielu przedsiębiorców uznaje za bardzo atrakcyjną relację jakości do ceny i wybiera właśnie nas, choć pewnie wieszanie ulotki na jakimś płocie byłoby dużo tańsze.

„Dobry Tygodnik Sądecki” jest wydawany przez spółkę z polskim kapitałem. Dla wielu (w tym dla nas przede wszystkim) to bardzo ważne w czasach, kiedy większość mediów – ale głównie gazet – należy do zagranicznych grup, w większości niemieckich. W dużej mierze zawdzięczamy to miejscu, w którym przyszło nam tworzyć naszą gazetę. Działamy przecież w regionie słynącym z wielkich firm o europejskim

alizują to w swojej działalności. Przy okazji naszych urodzin chcemy sądeckim przedsiębiorcom – tym bardzo dużym i tym jednoosobowym firmom – powiedzieć bardzo wyraźnie: Dziękujemy za Wasze zaufanie! Jesteście najlepszym miernikiem naszej jakości. Przecież żaden biznesmen nie wydawałby w głupi sposób swoich pieniędzy, na które musiał wcześniej ciężko zapracować.

Oczywiście każda firma to ludzie i tak jest również w przypadku DTS. Rok temu przy okazji piątych urodzin opublikowaliśmy listę osób, które w różny sposób przyczyniły się do powstania i funkcjonowania naszego Wydawnictwa. Już wówczas było to ponad sto osób, a przez miniony rok ta lista znacząco się wydłużyła. Mamy niezwykle szczęście do ludzi: ambitnych, pracowitych, oddanych, kreatywnych, podchodzących do swojej pracy z pasją. Na co dzień (a może raczej co tydzień) tego nie widać, ale Wydawnictwo Dobre to nie tylko „Dobry Tygodnik Sądecki” i portal informacyjny dts24.pl, ale również cała masa usług



XXII JESIENNY FESTIWAL TEATRALNY

1-16 października 2018

ORGANIZATORZY:



Honorowy patronat:

RYSZARD NOWAK
Prezydent Miasta Nowego Sącza

SPONSOR PLATYNOWY



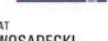
SPONSORZY STRATEGICZNI



COBEX



SPONSORZY ZŁOCI



SPONSORZY SREBRNI



SPONSORZY BRĄZOWI



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Projekt realizowany przy wsparciu finansowym
Województwa Małopolskiego
MAŁOPOLSKA

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY WSPIERAJĄCY





Jacek Turek ze swoją książką pod mostem Jana Stacha FOT. Z ARCHIWUM JACKA TURKA

Opowieść wielkanocna dobra na każdy dzień

0 człowieku, który górę przenosił

Most miał przybliżyć Jana Stacha do wsi. Zaprowadził go do historii. Właśnie ukazała się o nim książka autorstwa Jacka Turka. Stach był rolnikiem, ale został budowniczym wznosząc samotnie kamienny most. Turek jest budowniczym, ale został literatem, opisując niezwykle dzieło swojego sąsiada. Jan Stach dzwigający ciężkie kamienie wydawał się ludziami mitycznym Syzyfem, a okazał się człowiekiem ewangelicznej wiary, która – dosłownie – góry przenosi.

1.

Dokonania Jana Stacha były głośne na początku lat 70. ubiegłego wieku, kiedy własnoręcznie budował kamienny most. Jak przekonuje Jacek Turek w swojej książce – największy most na świecie wzniesiony przez jednego człowieka. Wysoki na 13 metrów, 20 metrów długi i ponad 7 metrów szeroki. Ponad 40 lat temu powstał nawet film dokumentalny Jerzego Jaraczewskiego „Most Jana Stacha”, opowiadający o nadludzkim wysiłku chłopca spod Nowego

Chciałem pokazać ludziom, że upór, samozaparcie i ciężka praca zawsze prowadzą do celu i przynoszą efekty – przekonuje Jacek Turek.

Sącza. Na mocno już wytartej celuloidowej czarno-białej kliszy widać dzwigającego wielkie kamienie szczupłego mężczyznę. Kamienne

bloki taszczy na rołkach własnej roboty albo na zbitych z desek platformach ciągniętych przez krowy. Stach wygląda na tym filmie jak samotny budowniczy egipskich piramid. Ciosa młotkiem kamień i przenosi z miejsca na miejsce. W kadrze filmu przewija się jeden człowiek, dzień i noc samotnie wznoszący wielką budowlę.

2.

Najpierw, jeszcze w latach 40. XX wieku, kiedy powstawało Jezioro Rożnowskie pozalewano kilka dawnych dróg w okolicy Znamierowic. W 1968 r. sąsiad Jana Stacha zaorał miedzę, likwidując jedyny przejazd, jaki ten miał do głównej drogi. W krytycznym momencie żona sąsiada miała się położyć przed furmanką Stacha wiozącego pomidory na targ. Więcej tą drogą nie pojechał. Warzywa i owoce na sprzedaż przewoził mu łódką przez jezioro życzliwy człowiek.

– *Chłop się nie wadził z sąsiadem – wspominają w filmie znajomi Stacha. – Zawziął się. Dzień i noc przez trzy lata budował most, żeby się dostać na świat. Gdyby to padło na innego, to by się zaczął w krzakach z kółkiem, albo do sądu poszedł. Ale nie Stach. On budował zimą, lato, choć ludzie się z niego śmiali, że prędzej zdechnie, niż most wybuduje. Czasami wyglądał bardziej jak zwierzę niż człowiek, cały oblepiony cementem i błotem.*

To relacje świadków wydarzeń sprzed ponad 40 lat.

3.

Ale Jan Stach jednak przeprawę wybudował. Skończył w 1971 r. Most stoi do dziś, służąc m.in. wczasowiczom dojeżdżającym do swoich letnich domków nad jeziorem. A podobno nie dało się nic wybudować w tym jarze nad potokiem głębokim na 25 metrów. Rada Gromadzka z Łososiny Dolnej wysłała tu nawet inżynierów, którzy spojrzeli w przepaść i uznali, że w tym miejscu, żadna budowla powstać nie ma szans. Ale powstała i ma się całkiem nieźle. Mostu nie nadwyreżyła nawet powódź w 1999 r., kiedy wezbrana woda wypełniła niemal całe, wysokie na trzy metry kolebkowe sklepienie

pod mostem. Stach nie miał w budowlance żadnego doświadczenia, ale jego most wytrzymał.

4.

Jacek Turek na co dzień pracuje w sądeckiej firmie Fakro, na Wydziale Blacharni. Nie miał żadnego doświadczenia w pisaniu, ale uznał, że w wolnych chwilach, opisze – jak zawarł w tytule – historię prawdziwą Jana Stacha. Dlaczego?

Jan Stach przeprawę skończył w 1971 r. Most stoi do dziś, służąc m.in. wczasowiczom dojeżdżającym do swoich letnich domków nad jeziorem.

A podobno nie dało się nic wybudować w tym jarze nad potokiem głębokim na 25 metrów.

– *Chciałem pokazać ludziom, że upór, samozaparcie i ciężka praca zawsze prowadzą do celu i przynoszą efekty – przekonuje Jacek Turek. – No i jeszcze miłość, bo żona wspierała go miłością. A jak jest wsparcie drugiej osoby, to cuda można zdziałać.*

5.

A upór w Janie Stachu musiał być niehumaniczny, skoro nawet w grudniu, po dwóch świątecznych dniach, wstał o wpół do trzeciej w nocy, by w świetle latarki przywiązanej do drzewa rozkuwać młotem skałę. Wcześniej jednak musiał sobie to miejsce odśnieżyć, a śniegu tej zimy napadało, bagatela – 70 cm. Kilka linijek dalej pisze Turek, że Stach w zasadzie nigdy nie przerywał swojej pracy: „Dla Jana jest to zwykły dzień pracy. Jak większość sąsiadów, przywitał Nowy Rok na dworze. Tyle tylko, że sąsiedzi trzymali w ręce szampana, a Jan trzymał młot”.

6.

Jacek Turek przekonuje w swojej książce, że Jan Stach był postacią nie-

zwykłą. I trudno się z Turkiem nie zgodzić, choć pewnie wielu uzna, że w realiach dzisiejszego świata mógłby uchodzić za dziwaka. Dlaczego? Dzięki wybudowanemu nadludzkim wysiłkiem mostowi w tym rejonie jeziora pojawiły się domki letniskowe. Aby do nich dojechać letnicy płacili gospodarzom, przez których posesje musieli przejeżdżać. Stach przez swój most pozwolił przejeżdżać bezpłatnie. Nie przyjął też od państwa emerytury, należnej mu za pracę w gospodarstwie. Uważał, że ziemia ma go wyżywić. I żywiła. Mimo wielu lat bardzo ciężkiej pracy, a w czasie wojny wywózki do Niemiec, Jan Stach cieszył się do późnej starości dobrym zdrowiem. Zmarł w 2011 r., w wieku 92 lat.

7.

40 lat po wybudowaniu mostu, na pozostawionym obok – prawdopodobnie przypadkiem – wielkim głazie, wmurowana została pamiątkowa tablica. Ma przypominać przechodniom, że Jan Stach, rolnik ze Znamierowic, własnoręcznie zbudował największy kamiennym most. Dziś nosi on jego imię.

Jacek Turek, oprócz napisania książki, jeszcze w inny sposób uczcił pamięć sąsiada, którego podziwiał. Most wymagał remontu. Stanisław Golonka wójt gminy Łososina Dolna zaproponował Turkowi podpisanie umowy na wyremontowanie mostu. Młody budowlaniec zgodził się, ale pod jednym warunkiem – zrobi to bezpłatnie. Gmina tylko pokryje koszt materiałów.

8.

(...) Most wyremontowałem z ojcem Michałem – pisze w książce Jacek Turek. – Ogromny kamień musieliśmy przesunąć w stronę wyrwy, aby go później tam zamurować. Nie było przy tym dużo pracy, ale po paru godzinach czułem się dostatecznie zmęczony, a mam nieco ponad trzydzieści lat. I wtedy pomyślałem, ile ten człowiek potrafił w sobie siły mieć. Dzięki Bogu i na pewno przy pomocy Jana udaje nam się most wyremontować (...)

amplifon

Aparaty słuchowe



**ODDZIAŁ
W NOWYM SĄCZU**

**UL. GRODZKA 5,
33-300 NOWY SĄCZ**

TEL. 784-416-334

**GABINET AMPLIFON W NOWYM
SĄCZU WYRÓŻNIONY W 2016
ROKU MIĘDZYNARODOWĄ
NAGRODĄ CHARLES HOLLAND
AWARD PRZYZNAWANĄ RAZ DO
ROKU PODCZAS UROCZYTEJ
GALI W MEDIOLANIE
NAJLEPSZYM SPECJALISTOM
W ZAKRESIE AUDIOLOGII
I PROTETYKI SŁUCHU.**

JESTEŚMY SPECJALISTAMI W SWOJEJ DZIEDZINIE

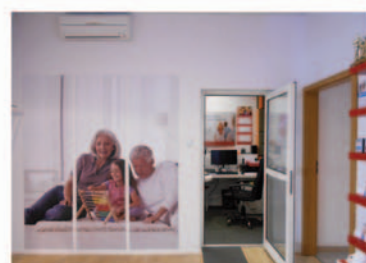
Historia Amplifon sięga lat 50. XX wieku. Od 1950 roku Amplifon pomaga ludziom z ubytkiem słuchu odkryć na nowo co oznacza żyć pełnią życia. Wtedy to w Mediolanie inżynier A. Charles Holland założył firmę specjalizującą się w doborze pomocy słuchowych dla osób niedosłyszących. W 2012 roku pojawiliśmy się w Polsce otwierając pierwsze gabinety. Amplifon posiada obecnie 60 gabinetów na terenie całej Polski, a na świecie 3800 oddziałów w 22 krajach.

W gabinecie spotkacie się Państwo z wieloletnim doświadczeniem, profesjonalną obsługą, życzliwością, indywidualnym podejściem i pełnym zaangażowaniem.

- Robimy wszystko by pacjenci nie trzymali aparatów w szufladzie, tylko by je nosili i korzystali z pełni ich możliwości. Klienci bardzo chętnie przychodzą na wizyty kontrolne i polecają usługi naszego gabinetu. Często wdzięczność i zadowolenie wyrażają na kartach Księgi Pamiątkowej. Zapraszamy serdecznie do naszego Oddziału! Czekamy z uśmiechem i otwartym sercem!

Zespół Gabinetu Amplifon w Nowym Sączu.

Oddział znajduje się w przeszklonym budynku przy ul. Grodzkiej 5 obok apteki pod „7” z czerwonej cegły oraz 100 metrów od Pasażu Grodzkiego. Koło gabinetu jeździ autobus nr 10, dojazd możliwy również autobusami nr 3, 5, 13, 14, 17, 23, 24, 41, 42 do przystanku Aleje Batorego.



Złożyłem dokumenty na prawo, ale wybrałem drogę na lewo

Rozmowa z ks. **Stanisławem Majchrem**, ojcem jezuitą

– Ojcze, czy miałeś przez swoich pięćdziesiąt lat kapłaństwa takie chwile, że chciałeś powiedzieć, „ja już dłużej nie chcę być księdzem!”?

– Nie znam takiego uczucia, bo to byłoby niezgodne z moim charakterem. A ten charakter – pewnie niektórym znany – kiedy napotyka trudności, to stara się poradzić sobie z nimi, a nie uciekać i chować się przed problemami. Tak więc momentów zwątpienia nie było, za to było parę chwil satysfakcji i radości. Przez 50 lat kapłaństwa i 60 lat życia w zakonie, nigdy nie chciałem powiedzieć, że mam dosyć.

– A kiedy patrzysz, Ojcze, na te pół wieku, które za Tobą, to jaka pierwsza myśl przychodzi Ci do głowy?

– Pewnie już to gdzieś mówiłem, ale powtórzę, bo mogę o tym mówić zawsze. W kapłaństwie najwspanialsza jest przygoda obcowania z drugim człowiekiem. Bliźni, który ma różną ofiarę życiową, jest dla księdza ubogaceniem i darem. Oczywiście odpowiedzialne spotkanie z drugim człowiekiem jest bardzo trudnym zadaniem, ale wyjątkowo mocno nas wzbogaca. Nie będę się rozwodził, iż generalnie życie kapłańskie do łatwych nie należy, ale satysfakcja może być wielka.

– Opowiadałeś kiedyś w jakimś gronie Ojcze, że to Twoja mama ofiarowała Ci Boga i do stanu kapłańskiego.

– Na zawsze zapamiętałem pewną rozmowę z mamą... Byłem świeżo wyświęconym księdzem, a ona od 20

już lat chora, niemal nie wstawała z łóżka. I pamiętam jak dziś jej słowa: „Nigdy ci nie mówiłam, że miało cię nie być, bo twój ojciec nie chciał żebyś cię urodziła”. Rodzice budowali wtedy na wschodzie ogromnym wyśiłkiem dom. Ojciec dla zasilenia rodzinnego budżetu dwa razy wyjeżdżał do Ameryki, a tu wypadek

W kapłaństwie najwspanialsza jest przygoda obcowania z drugim człowiekiem. Bliźni, który ma różną ofiarę życiową, jest dla księdza ubogaceniem i darem.

i w rodzinie Majchrów, ma się pojawić czwarte dziecko. Mama mówiła mi wtedy po latach: „Twój ojciec nie chciał, żebym cię urodziła, więc próbowałam nosić ciężary, skakać z wysokości...” I kiedy mówiła mi o tym, to przyszło mi do głowy, że mama to był jednak uparty charakter – szła do lekarza, po drodze przeżywała dramat katolicki, ale jakoś nie doszła na tak zwany zabieg. Ale nie dlatego nie doszła, że nie była wojującą feministką, tylko dlatego, że brała odpowiedzialność za poczęte życie. Zapamiętałem głośne westchnienie, które wyrwało jej się z piersi, kiedy mówiła o tym synowi, ledwie opierzonemu księdzu, siedzącemu obok jej łóżka. Zawracając spod tego gabinetu lekarskiego i niedosłego zabiegu miała powiedzieć: „Panie Boże

obojętnie, co będę cierpieć ze strony mojego męża, ja to dziecko urodzę i ofiaruję je Tobie”. A ja słuchając tego po latach, już jako ksiądz pomyślałem, że przecież mnie nie pytała o zgodę, moje upodobania, ani o życiowe zamiary.

– Rodzice byli religijni?

– Tak, bo to była podstawa u ludzi przedwojennych. Mama całe lata chorowała, więc kapłan przychodził do domu z Panem Jezusem z parafii jezuickiej w Kłodzku. Mama żyła swoją pobożnością, modliła się i wierzyła też jakiś wpływ na mnie, najmłodszego z czwórki rodzeństwa. Byłem ministrantem, więc mówiła: pamiętaj, żebyś był zawsze w porządku przy ołtarzu. Była zatroskana i zwracała uwagę na moją postawę. Tata był tradycyjnie religijny – niedzielna msza święta i spowiedź w określonym czasie.

– Jak rodzice zareagowali, kiedy powiedziałeś im Ojcze, że chcesz zostać zakonnikiem?

– Tato w ogóle nie zareagował, bo generalnie nie ujawniał swoich emocji. Natomiast mama – pewnie trochę powodowana swoją chorobą – mówiła, żebym raczej pomyślał o diecezjalnym seminarium. Dla mnie to był Wrocław, ledwie 100 km, więc pewnie częściej byłbym w domu. No i może też wiązałyby się z tym jakieś pieniądze, co nie było wówczas dla rodziny bez znaczenia. Mieszkaliśmy w Kłodzku, a cały nasz dobytek w czasie wojny został na wschodzie, bo trzeba było uciekać w zasadzie



tak, jak staliśmy, więc rodzice zabrali tylko to, co się dało, w tym czwórkę dzieci. Rodzice być może się domyślali, jaki będzie mój życiowy wybór, bo przez lata służyłem do mszy świętej. I choć w liceum składałem dokumenty na prawo do Wrocławia, to wybrałem drogę na lewo – do jezuitów. A były to czasy głębokiego socjalizmu, przed rokiem 1956.

– A dlaczego chciałeś Ojciec zostać właśnie jezuitą?

– Nie potrafię tego zdefiniować. Natomiast w żartach czasami odpowiadam, że jako ministranci – ja od klasy piątej do jedenastej – na plebanii mieliśmy swoją salkę, a na podwórku boiska do kosza i siatki. Bardzo mi to imponowało, jako młodemu chłopcu i może dlatego tak wybrałem. Ale to żart. Zadecydowało pewnie przebywanie z jezuitką

Rodzice budowali wtedy na wschodzie ogromnym wysiłkiem dom. Ojciec dla zasilenia rodzinnego budżetu dwa razy wyjeżdżał do Ameryki, a tu wypadek i w rodzinie Majchrów, ma się pojawić czwarte dziecko.

wspólnotą od najmłodszych lat. A mamie namawiającej mnie na seminarium diecezjalne tłumaczyłem, że w domu i tak będę często, a pieniądze – choć ważne – to nie są przecież najważniejsze. Wybieram życie we wspólnocie zakonnej, bo łatwiej jest się pogodzić, kiedy się ludzie pokłócą z powodu różnicy charakterów.

– Już 50 lat temu mówiłeś, że pieniądze nie są najważniejsze, ale potem – dla Ciebie Ojciec – były zupełnie nieważne, bo, co miałeś, to rozdawałeś, głównie więźniom.

– Tak się jakoś składa, że żyję z prezentów i jest mi z tego powodu bardzo miło. Nie mam wielkich potrzeb, więc nie oczekuję wiele. Wśród gości naszego domu rekolekcyjnego w Zakopanem nie brakuje osób chcą-

cych w różnej formie wspomóc osadzonych w więzieniach. Czasami są to pieniądze ofiarowane przez jakieś panie do mojej dyspozycji na potrzeby osadzonych, a czasami jest to pomoc w innej, bardzo różnej formie. Kiedyś pewien więzień – dodajmy, że niewierzący – zapragnął otrzymywać „Gościa Niedzielnego” i ktoś mu opłacił prenumeratę gazety na cały rok. Są różne formy okazania swojej wrażliwości.

– Ojcie, dlaczego właśnie więzienie od dziesięciu lat stało się Twoim głównym miejscem pracy duszpasterskiej?

– Widocznie Pan Bóg miał taki zamiar i posłużył się w tym celu Małgorzatą Wróbel – zwaną „Wawczynią” – dyrektorką Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego w Mszanie Dolnej, mającą w takiej pracy spore już doświadczenie. Zналиśmy się, kiedy jeszcze była nastolatką i ze Starego Sącza przyjeżdżała na tzw. młodzieżową mszę świętą do kościoła kolejowego w Nowym Sączu. I choć

Czekając po spotkaniu na wyjście, zauważyłem, że na uboczu stoi młody więzień. Zapytałem jak ma na imię i dlaczego jest taki smutny. „Mam na imię Rafał, a jakby ksiądz miał 25 lat, to ksiądz też byłby smutny”. Dopiero potem wytłumaczono mi, że 25 lat to jego wyrok za morderstwo. Ta sytuacja mnie zmroziła.

– Wybrałeś Ojcie pracę w więzieniu, choć od początku miałeś świadomość, że w swojej pracy duszpasterskiej trafiasz tu na najtrudniejszego – przepraszam za określenie – „klienta”. Gdybyś posługiwał w szpitalu, domu dziecka czy hospicjum, Twój podopieczni byłiby dużo łatwiejsi w pracy.

– Prawdopodobnie by tak było. Znałem nieco pracę z chorymi, kiedy jako jezuicki student filozofii chodziłem w Krakowie do zakładu dla nieuleczalnie chorych przy ul. Helców, albo na Kopernika służyłem do mszy świętej mojemu współbratu, ojcu profesorowi Husowi. Spotykałem się tam z różnymi sytuacjami,

że najbardziej brakuje im tego, aby inni widzieli w nich człowieka.

– Twoja pierwsza książka składająca się ze świadectw osadzonych spotkała się z ogromnym zainteresowaniem, odbiła się głośnie echem, rozeszła w całym nakładzie i potrzebny był dodruk. Jakbyś zarekomendował swoją drugą książkę składającą się ze świadectw i życiowych historii więźniów?

– Po pierwszej książce poruszyły mnie opinie czytelników, jakie do mnie docierały. Część z nich zamieszczam na początku drugiej książki, bo one dużo mówią o odbiorze tej lektury. Większości czytelników temat więzienia i ludzi osadzonych tam na długie lata nie jest znany. Wielu uważa, że osadzeni mają tam lepiej niż na wolności – jedzenie, łóżko, jakieś rozrywki. To chyba niesprawiedliwa opinia. Przez te historie chciałem pokazać i podkreślić działanie Bożego miłosierdzia, Bożej łaski i troski, jaką drogą kary więzienia dociera do człowieka, aby miał szansę rozwoju. W książce jest m.in. historia pokazująca, jak człowiek bez wykształcenia odnajduje Boga za kratami i pisze piękne zdanie: „Moja wiara była cienka jak nitka”. Gdy będziemy czytać w książce jego korespondencję ze mną, to zauważamy, że Bóg szuka człowieka, posługując się drugim człowiekiem. Może to być wolontariusz, nie tylko ksiądz.

– Nie frustruje Cię to Ojcie, że wielu tak często wraca za kraty?

– Trzeba to przyjąć do wiadomości, nie ma wyjścia. Chciałoby się, żeby oni tam nie wracali, a tu znamienna jest wypowiedź Jacka Szymańskiego, który w książce opisuje, że na wolności, w Krakowie, co dzień biegał do kościoła, a później robił te wszystkie rzeczy, które zaprowadziły go ponownie za kraty, gdzie musi spędzić czas do 2020 r. Mówi on, że nie daje sobie rady z nałogiem kradzieży. Jacek przekazuje nam informację, co się dzieje z osadzonym po wyjściu, że on ponownie wraca za kraty. Wielu po prostu nie radzi sobie na wolności.

Wizyta w więzieniu, to właśnie jest to spotkanie z drugim człowiekiem w pracy duszpasterskiej. Chrystus daje takie pragnienie spotkania się z drugim człowiekiem i to jest dla mnie twórcze. Spotykałem ludzi, ale znałem tylko ich twarze, nie znałem nazwisk, paragrafów, ani historii życia. Dopiero po jakimś czasie zacząłem niektórych poznawać bliżej.

tłumaczem, że mam już i tak sporo zajęć wynikających z mojego jezuickiego dzieła, namówiła mnie na wizytę w więzieniu z grupą wolontariuszy. To pierwsze spotkanie bardzo mnie poruszyło. To było niezwykle dla mnie. Wizyta w więzieniu, to właśnie jest to spotkanie z drugim człowiekiem w pracy duszpasterskiej. Chrystus daje takie pragnienie spotkania się z drugim człowiekiem i to jest dla mnie twórcze. Spotykałem ludzi, ale znałem tylko ich twarze, nie znałem nazwisk, paragrafów ani historii życia. Dopiero po jakimś czasie zacząłem niektórych poznawać bliżej. Wspominałem w mojej pierwszej więziennej książce o takim momencie:

zmarłym udzielałem warunkowego rozgrzeszenia, namaszczałem śmiertelnie chorych. Pamiętam kobietę, która zmarła na chwilę przed moim przybyciem – miała na imię Nadziejka... Nic jednak nie wywarło na mnie takiego wrażenia, jak więzienie i praca z osadzonymi.

– Ojcie, dlaczego używasz określenia „osadzeni”, a nigdy „więźniowie”?

– Dlatego, że określenie „więźniów” kojarzy się wyłącznie negatywnie. A osadzony, to dla mnie człowiek, który gdzieś się w życiu pogubił i został tylko na jakiś czas ograniczony w swojej godności. Mówię tak z szacunku do człowieczeństwa. Dlatego osadzony, ponieważ niektórzy z nich mówili,



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Lualeni podczas nurkowania w Zanzibarze

Brzmi jak bajka, ale to prawdziwa historia

Lualeni to imię dziewczyny i słonia

Od niedawna figuruje w Biurze Rekordów, jako najmłodsza Polka, która wspięła się na Kilimandżaro. Ma jedenaście lat, ale odwagi i determinacji może pozazdrościć jej niejeden dorosły. Lualeni Elektra Mozdyniewicz mieszka w Zagorzynie (gmina Łącko) i ma już za sobą kurs nurkowania, skok ze spadochronu oraz podróże do ponad dwudziestu krajów.

Lua, bo tak mówią na nią znajomi i rodzina, pasję do podróży wyssała z mlekiem matki. Pierwszą zagraniczną wycieczkę odbyła już w wieku czterech miesięcy. Mama zabrała ją wtedy do Egiptu i wbrew pozorom, pani Elizie udało się zwiedzić z małą córeczką bardzo dużo.

Obecnie ogromną pasją Lualeni są wycieczki górskie. Sporo czasu, zarówno w lecie, jak i w zimie spędza w Tatrach. W wieku sześć lat udało się jej zdobyć

Rysy, a potem całą Orlą Perć i inne polskie szczyty. Dziewczynka była już także na masywie Mont Blanc w Alpach i na Górze Waszyngtona w USA, a zimą – czyli wtedy, gdy trasa jest trudniejsza – weszła na górę Fuji w Japonii. Podczas wyprawy do Afryki udało się jej wejść na Kilimandżaro, dzięki czemu została wpisana do Biura Rekordów, jako najmłodsza Polka, która zdobyła tę górę.

Dziewczynka dokonała niezwykłego osiągnięcia, mając dokładnie 10 lat i sześć miesięcy. Szczyt Uhuru, na który wspięła się Lualeni, ma wysokość 5895 metrów n. p. m. Warto dodać, że Lua dostała się tam, korzystając z trudniejszej trasy – Drogi Machame Route zwanej „Whisky Route”. Wszystko zostało oczywiście odpowiednio udokumentowane. Wiek Lualeni i fakt dotarcia na szczyt 24 stycznia 2017 r. został potwierdzony przez naczelnika Parku Narodowego Kilimandżaro, a także dy-

rektora generalnego Zarządu Parków Narodowych w Tanzanii.

– *W zasadzie nie było żadnych specjalnych przygotowań. Może przez to, że Lualeni jest osobą ruchliwą i uprawiającą różne sporty, więc fizycznie była przygotowana* – zdradza Eliza Mozdyniewicz, mama 11-latk. – *Jeśli chodzi o przygotowania finansowe, to trwały u niej od zawsze. „Świnę skarbonkę” napelniała całe swoje życie* – śmieje się kobieta.

Prawdopodobnie także wcześniej zdobywane przez Lualeni szczyty, można uznać za rekordowe osiągnięcia, jednak aby to udowodnić trzeba sporych środków finansowych. Żarówno mama, jak i córka uznały, że korzystniejsze będzie jednak gromadzenie pieniędzy na kolejną wyprawę.

Lua kocha podróże. Na razie udało się jej odwiedzić około dwudziestu państw, ale marzy o zwiedzeniu wszystkich krajów świata. Najczęściej podróżują z mamą i tatą – nie lubią zorganizowanych wycieczek, które narzucają sporo ograniczeń i są też droższe. 11-lotka wszędzie radzi sobie doskonale, nie boi się zapytać o drogę, choćby w obcym kraju, a na drugim końcu świata potrafi w momencie znaleźć towarzystwo do zabawy.

Podróże nie są jednak jedyną pasją Lualeni. Dziewczynka uwielbia też sport. Chętnie jeździ na rowerze i rolkach, a w zimie na nartach i łyżwach. Przez kilka lat trenowała karate, ale z braku czasu musiała zrezygnować. Nie strasze jej też wszelkie sporty ekstremalne. Na co dzień jeździ na motocrossie. Posiada też międzynarodowy certyfikat nurka PADI. Licencję udało się jej zrobić w Zanzibarze, a na egzaminach radziła sobie lepiej niż wielu dorosłych. Z kolei prezentem na dziesiąte urodziny Lualeni był skok ze spadochronem z czterech tysięcy metrów. – To uczucie jest nie do opisanie. W ogóle się nie bałam – zdradza 11-lotka. Dziewczynka chciała się też od razu zapisać na kurs skoczka, jednak ograniczenia wiekowe i wzrostowe jej na to na razie nie pozwalają, tak jak i na wymarzoną motolotnię. Lua próbowała swoich sił także w kitesurfingu, ale i tu mimo opanowania techniki, niestety wzrost i waga nie pozwoliły jej na uprawianie sportu w pełni.

– *Lualeni bardzo lubi także wszystko, co jest związane z muzyką: taniec, śpiew, wyjazdy na koncerty duże i małe. W szkole muzycznej I stopnia gra na fortepianie i perkusji. Tańczy w zespole regionalnym. Uczęszcza na zajęcia teatralne* – wymienia Eliza Mozdyniewicz.

W domu Lua też potrafi znaleźć sobie ciekawe zajęcia, lubi pracować w ogrodzie, gotować i piec.

Kiedy zapytać Lualeni o jej największe marzenie, to wyznaje, że bardzo chciałaby mieć swojego konia. Uwielbia jazdę konną i wszelkie zwierzęta.

– *Jeszcze nie wiem, kim chciałabym być, jak dorosnę, ale byłoby super, gdyby to było związane ze zwierzętami* – zdradza Lua.

Jej najlepszym przyjacielem jest 70 kilogramowy pies Angus – dog niemiecki.

Jeszcze większym marzeniem Lualeni, bardziej ambitnym i mniej osiągalnym ze względów finansowych, jest Korona Ziemi, czyli zdobycie najwyższych szczytów

wszystkich kontynentów. Mama jednak wciąż powtarza dziewczynce, że trzeba wierzyć w swoje marzenia i walczyć o ich spełnienie. Zwłaszcza, że po konkretnym przygotowaniu i z predyspozycjami córki warto byłoby spróbować.

Z grona rówieśników Lualeni wyróżnia się nie tylko poprzez niezwykle zainteresowania i osiągnięcia – także jej imię jest bardzo nietypowe. Dziewczynka otrzymała je po małym słoniątku z Kenii. Jego mamę zabili kłusownicy, a zwierzę cudem zdołało ocaleć. Imię osieroconego słonia tak utkwiło w pamięci pani Elizy, że ciągle pojawiało się w jej głowie, kiedy przyszedł czas wyboru imienia dla dziecka. Kobieta w tamtym momencie nawet nie pamiętała, gdzie je słyszała po raz pierwszy. – *Imię Lualeni wydawało mi się takie bardzo kobiece, więc postanowiłam je dać córce, a na drugie, dla równowagi, dostała silne imię Elektra* – wyjaśnia Eliza Mozdyniewicz.

– *Wszyscy są bardzo zdziwieni, kiedy się przedstawiam. Pytają skąd takie imię, albo na przykład czy to jest mój pseudonim i czy urodziłam się w Polsce* – mówi Lualeni.

– *Lua była kiedyś na Spotkaniu z Filmem Górskim w Zakopanem, a że kolekcjonuje autografy swoich idoli, poprosiła o autograf Krzysztofa Wielickiego* – opowiada pani Eliza. – *Gdy usłyszał jej imię, zaczął mówić i wpisywać dedykację po angielsku. Także po angielsku zapytał*

Lua kocha podróże. Na razie udało się jej odwiedzić około dwudziestu państw, ale marzy o zwiedzeniu wszystkich krajów świata. Najczęściej podróżują z mamą i tatą – nie lubią zorganizowanych wycieczek.

Lualeni, skąd przyjechała, a Lua: „I’am from Zagorzyn”. Odpowiedź bardzo go zdziwiła, a Lua dodała po polsku „niedaleko Zakopanem” – śmieje się kobieta.

Kiedy Lualeni dowiedziała się, skąd pochodzi jej imię, zamarzyła, by pojechać do Afryki i poznać osieroconego słonia. Uznała, że nie bez powodu dzieli z nim imię i postanowiła działać w Kenii jako wolontariusz. Z powodu wieku oraz braku kenijskiego obywatelstwa nie będzie to możliwe. Dziewczynka jednak nie zraziła się i znalazła inną drogę pomocy zwierzętom: swoją afrykańską wyprawę opisuje w książce, a ewentualny dochód ze sprzedaży chciałaby przeznaczyć na rzecz osieroconych słoniątek.

Lualeni Elektra Mozdyniewicz mimo tak wielu zainteresowań świetnie radzi sobie w szkole i udaje się jej pogodzić pasje z codziennymi obowiązkami. Uparcie dąży do spełniania swoich marzeń, w czym zawsze wspierają ją rodzice i rodzina. – *Prędzej chyba można wymienić to, czego by nie chciała zrobić niż to, czego chce spróbować. Ograniczenia ma tylko ze względu na wiek, wolny czas i finanse* – podsumowuje pani Eliza.

Opowieść, której finał już znamy

Na polskiej piłce nie można zarobić

Rozmowa z **Antonim Bugajskim**, dziennikarzem „Przeglądu Sportowego”, piłkarskim ekspertem

– Sandecja w Ekstraklasie, czyli beniaminek w czystej postaci, który jeszcze nigdy nie był w tym miejscu. Sensacja na skalę kraju?

– Osobiście nie wierzyłem, że Sandecja awansuje. Myślałem, że to będzie taki stały fragment gry, czyli drużyna wyrywa się z peletonu, harcuje, ale na koniec – jak zwykle – brakuje jej sił na skuteczny finisz. Tak

było przez wiele lat z Termalicą. Zanim awansowała, wielokrotnie się parzyła, dramatycznie w końcówkach traciła przewagę. Wydawało się nawet, że to trochę jest wykalkulowane, że ten awans się nie opłaca. I podobnie wydawało mi się w przypadku Sandecji – poharcują, ale jak przyjdzie decydująca rozgrywka, to ustąpią pola innym. W sposób wyrachowany usta-

pią, bo najprostsze pytanie brzmi: Po co im awans?

– No więc po co im awans?

– Właśnie! Kibice uznają takie pytanie nie na miejscu, bo kibice zawsze mają duży ładunek entuzjazmu i optymizmu. Nieważne, czy to się dzieje w Nowy Sączu w Warszawie czy w Limanowej. Dla kibiców spra-



wa jest oczywista. Pytanie: „Po co ten awans”? muszą sobie natomiast postawić ci, którzy wykładają pieniądze na piłkę. Bo czasami awans to początek poważnych problemów. Oczywiście jest chwała, splendor, budowanie pozytywnej legendy... Ale to trwa kilka tygodni, a potem przychodzi szara rzeczywistość, kiedy trzeba się zmierzyć z tymi wszystkimi wyzwaniem stawianymi przede wszystkim przez Komisję Licencyjną. No więc nie tylko finanse, które są absolutnie ważne, ale też infrastruktura. I Sandecja to właśnie przerabia na własnej skórze, bo w momencie, kiedy chciałoby się pokazać własnej publiczności w meczach z najlepszymi w Polsce, to proponuje się im wyjazd do Niecieczy. To nie jest fajne dla kibiców, którzy szybko się przekonają, że w tej wersji jest to wyrób czekoladopodobny. Owszem, niby Ekstraklasa jest, ale na każdy mecz trzeba gdzieś tam jeździć. Oczywiście ważne są deklaracje właścicieli, że powstanie nowy stadion, bo to sygnał, że jest jakiś cel przed tą drużyną, a nie perspektywa spadku po przezimowaniu w Niecieczy. Tak być nie może. To nie może być epizod, ale trwałe wejście na piłkarskie salony. Do tego potrzebne są inwestycje.

– A do inwestycji potrzebne są pieniądze.

– I one w Ekstraklasie są. Pomijam fakt, że z tej pozycji łatwiej o umowy sponsorskie, ale przede wszystkim za prawa telewizyjne klub otrzyma na „dzień dobry” – bez szczegółowych obliczeń – 6–8 mln zł. Im wyższe miejsce w tabeli, tym większe pieniądze i mówimy tu o kwotach, jakich Sandecja nigdy jeszcze nie miała do dyspozycji.

– W ogólnopolskich mediach pojawiały się opinie: po co Ekstraklasa w Nowych Sączach, Niecieczach...

– Zdecydowanie bym to oddzielił. Termalica to jednak fanaberia milionera, zabawka. Ale nie tylko zabawka, bo to również element promocji własnej marki itd. Nieciecza to osobna kategoria, zjawisko, którym się zainteresowały media zachodnie. Nowy Sącz natomiast bardziej przy-

pomina sytuację z Grodziskiem Wielkopolskim, choć od tamtego jest większy i o nieporównywalnym potencjale. Pamiętam, jak właściciel Groclinu, Zbigniew Drzymyła, na początku naszego wieku dostał się na piłkarskie salony, zdobył wicemistrzostwo Polski i zagrał w pucharach europejskich całkiem niezłe mecze z Manchesterem City i Herthą Berlin. Potem przyznał jednak, że taka formuła klubu się wyczerpała, bo przez kilka lat na swojej skórze przetestował, że w mieście poniżej stu tysięcy mieszkańców Ekstraklasa nie ma sensu. Powiedział, że to jest wieczna udręka, nieustanne poszukiwanie źródeł finansowania, choć akurat prywatnemu inwestorowi było łatwiej, bo wydawał własne pieniądze.

– No więc Nowy Sącz nie ma tych stu tysięcy mieszkańców...

– Statystycznie nie ma, ale Nowy Sącz jest postrzegany w Polsce jako miasto wielkich szans, wielkich możliwości i poważnych biznesmenów. W końcu to miasto milionerów! No więc gdyby Sandecja została potraktowana przez tych wszystkich wpływowych sądeckan jako wspólne dobro i wspólny interes, to Ekstrakla-

To nie jest fajne dla kibiców, którzy szybko się przekonają, że w tej wersji jest to wyrób czekoladopodobny. Owszem, niby Ekstraklasa jest, ale na każdy mecz trzeba gdzieś tam jeździć.

sa ma sens. W innym wypadku nie będzie prostym zadaniem utrzymać Sandecję na przyzwoitym, ligowym poziomie. To się nie udało w Grodzisku, Wodzisławiu, Pniewach, Wronkach – to wszystko już było w naszej piłce. Wronki są zresztą świetnym przykładem, gdzie Rutkowski – właściciel Amicy – w pewnym momencie doszedł do wniosku, że to nie ma sensu i przeniósł swój piłkarski interes do Lecha Poznań. Wszyscy poważni ludzie, którzy podejmowali takie

próby, uznawali w pewnym momencie, że w tej wersji to nie ma sensu.

– A w Nowym Sączu to ma sens?

– Ma sens pod warunkiem, że to będzie wspólne dobro. To nie może być tak, że miasto będzie utrzymywać klub. To będzie rujnujące dla budżetu miasta, tak jak jest rujnujące dla Zabrza i Chorzowa – miast o wiele większych i z większym potencjałem. To byłoby drenowanie miejskiej kasy, które będzie działało wszystkim na nerwy, a satysfakcji z tego będzie niewiele. Może naiwnie, ale wyobrażam sobie, że są tutaj potrzebne inwestycje ludzi związanych z miastem, odwołanie się do lokalnego patriotyzmu i społeczna odpowiedzialność biznesu – jak mawia profesor Janusz Filipiak.

– Kolejki chętnych sponsorów chyba jednak nie widać.

– Jeszcze raz powtórzę za profesorem Filipiakiem: Tylko człowiek naiwny może sądzić, że na polskiej piłce nożnej można zarobić. To nie jest tak, że ktoś robi interes, inwestując w polski futbol. To się nie udaje! To są wieczne wydatki, a zapłatą jest wyłącznie satysfakcja sportowa i ewentualnie wyzwiska kibiców. To nie jest tak, że Robert Lewandowski rodzi się w każdym klubie i potem można go sprzedać za np. 50 milionów euro.

– Wróćmy do budżetu Sandecji

– w I lidze to było 2,5 mln zł, a prezes Danek przyznał, że poza księgową nikt z otoczenia nie pracuje na etacie. Ostatnia taka amatorska organizacja kontra Legia Warszawa z budżetem 100 mln zł...

– Sprostuję: Legia po grze w Lidze Mistrzów dysponuje obecnie budżetem 240 mln zł. Ten klub finansowo odjechał konkurencji. Ale wróćmy na ziemię. Żeby żyć w Ekstraklasie na przyzwoitym poziomie, trzeba mieć budżet w wysokości około 18 mln zł. Dla przykładu Śląsk Wrocław dysponuje budżetem na poziomie 25 mln, ale Wisła Płock wystarcza 12 mln, ale to już jest absolutne minimum. Policzmy więc: jeśli Sandecja będzie miała nadal zabezpieczone te 2,5 mln plus 7 mln z praw telewizyjnych, to będzie potrzebowała jeszcze co najmniej 5 mln od sponsorów,

żeby przyzwoicie funkcjonować. Sandecja będzie miała jeszcze jeden problem, bo miasto oprócz dotychczasowej dotacji będzie musiało znaleźć środki na budowę stadionu, czyli realne wydatki na klub w budżecie miejskim będą bardzo poważne. I to może się okazać bardzo kontrowersyjne na każdym etapie. Dużo zależy będzie od tego, jak prezydent sprędał będzie ideę budowy stadionu, że ma on służyć ludziom, a nie tylko meczom piłkarskim. Przyzwolenie społeczne na budowę stadionu jest absolutnie kluczowe – jak w Tychach albo Lublinie. Najgorzej, gdyby Sandecja grała słabo w Niecieczy, zaczęła tracić punkty, to będzie narastać frustracja, a jednocześnie będzie trwała duża inwestycja pod nazwą „budowa stadionu”, która będzie pochłaniać dziesiątki milionów złotych. To może okazać się trudne dla przeciętnego sandeczanina, który będzie sobie zadawał pytanie: Po co?

– A jak Sandecja zagra w Ekstraklasie? Skład na dziś znamy.

– Takim składem raczej zagrać nie może, z naciskiem na „raczej”. Po między I ligą a Ekstraklasą nie ma przepaści i to pokazały Wigry Suwałki, które doszły do półfinału Pucharu Polski i zagrały tam dwa bardzo dobre mecze z Arką Gdynia. Awans Sandecji – według mnie – jest przypadkiem, który jest zresztą esencją piłki nożnej. W Ekstraklasie na przypadek zdawać się nie można, więc wzmocnienia są konieczne. Porównałbym jednak Sandecję do Termaliki, bo to zbliżony potencjał sportowy. Nieciecza przez pierwsze dwa miesiące w Ekstraklasie miała poważne problemy, przegrywała wszystko, jakby nie pasowała do tego towarzystwa. Żeby na starcie nie tracić tego dystansu warto ten doświadczony skład trochę uzupełnić. To przecież nie jest drużyna, która będzie się potykać o własne nogi, a choćby tylko

nazwiska Małkowski czy Korzym coś znaczą w skali kraju. Na pewno przydałby się transfer, który dla całej piłkarskiej Polski będzie sygnałem – jesteśmy gotowi do walki, meldu-

Nie może być tak, że miasto będzie utrzymywać klub. To będzie rujnujące dla budżetu miasta, tak jak jest rujnujące dla Zabrze i Chorzowa – miast o wiele większych i z większym potencjałem.

jemy się wśród najlepszych! To również skuteczny element gry psychologicznej, która jest tu bardzo istotna.

DTS nr 21 (342) 1.06.2017

R E K L A M A



ZASMAKUJ W UROKACH ŻYCIA



SALA BALOWA

Elegancka przestrzeń na imprezy okolicznościowe. Profesjonalny zespół organizuje Twoje najpiękniejsze wesele. Wysmakowane menu, stylowe wnętrza oraz malownicze otoczenie stworzą niezapomnianą atmosferę.



KLUB RYTRO RETRO

Sala oferująca profesjonalne szkolenia oraz rozrywkę w swobodnej atmosferze. Idealne miejsce na kameralne przyjęcie, w klimacie starej fotografii i filmu.



RESTAURACJA

Innowacyjne, autorskie menu inspirowane polską kuchnią międzywojenną. Autentyczne smaki oparte na regionalnych produktach. Rodzinny obiad, kawa i deser z przyjaciółmi, romantyczna kolacja – tu życie nabiera smaku!



ALTANA

A latem, Lachowskie Proziaki, kufel zimnego piwa, ręcznie wyrabiane starszadeckie lody i relaks nad brzegiem Popradu.

Willa Poprad Rytyro 3 6, 33-343 Rytyro. t: 501 513 400,
e: biuro@willapoprad.pl, fb: Willa Poprad, www.willapoprad.pl



/willapoprad



/willa_poprad



225 lat UZDROWISKA KRYNICA-ŻEGIESTÓW S.A.

Uzdrowisko Krynica-Żegiestów S.A.
Zakład Produkcji Wód Mineralnych
ul. Nowotarskiego 9/4, 33-380 Krynica-Zdrój
telefon: +48-471-22-23, fax: +48-18-477-74-30
email: kryniczanka@kryniczanka.pl



Kryniczanka Naturalna Woda Mineralna

Działa korzystnie na procesy trawienne,
gospodarkę wodną i mineralną organizmu.
Wzmacnia układ kostny, zapobiega osteoporozie,
wpływa na prawidłową krzepliwość krwi.



Słotwinka Woda Lecznicza

Szczególnie zalecana w przewlekłych
nieżytach przewodu pokarmowego,
nerwicach, stanach stresowych
i chorobach neurologicznych



Jan Woda Lecznicza

Bardzo moczopędna, idealna w leczeniu
kamicy nerkowej. Stosowana również
w leczeniu innych schorzeń nerek i dróg
moczowych oraz miażdżycy i cukrzycy
(w połączeniu z wodą Zuber) gdyż
obniża poziom cholesterolu we krwi



Zuber Woda Lecznicza

Unikalna w skali europejskiej mineralna
woda lecznicza o bardzo wysokiej
zawartości minerałów. Niezastąpiona
w leczeniu choroby wrzodowej żołądka
oraz dwunastnicy. Leczy wątrobę i drogi
żółciowe, zwalcza nadkwasotę, skutecznie
obniża podwyższony poziom cukru i cholesterolu
we krwi. Łagodzi przykre objawy nadużycia alkoholu.



Opowieść o długim i pięknym życiu

Teatr jest nieuleczalną chorobą

Najtrudniejsze dla kobiety jest, jak kończy trzydzieści lat, bo wtedy wie, że opuszcza młodość – mawia wielka gwiazda polskiego kina, dama filmu i teatru, nasz „skarb narodowy”. W tym roku Danuta Szaflarska kończy 100 lat.

Wokół Danuty Szaflarskiej narosło mnóstwo legend. Nie jest nawet pewne, kiedy się dokładnie urodziła. Wiadomo, że 100 lat temu, wiadomo, że w lutym, ale którego?

– Czy urodziłam się 20 czy 6 lutego? To bez znaczenia – śmiała się w kinie Iluzjon na spotkaniu zorganizowanym z okazji jej 95. urodzin. Jedna z owych legend głosi, że gdy Danusia przyszła na świat, jej ojciec, góral i nauczyciel szkoły w Kosarzyskach, tak się cieszył, że dwa tygodnie balował z sąsiadami. I to podobno dlatego w końcu nie mógł sobie przypomnieć, którego dnia jego córka się urodziła.

Legandy krążyły też o niej, gdy dorosła. Kiedy z Jerzym Duszyńskim zagrała w „Zakazanych piosenkach” (1946) i „Skarbie” (1948), oboje z dnia na dzień stali się wielkimi gwiazdami, a widzowie uznali, że są parą także w życiu prywatnym. Nie przyjmowali do wiadomości, że Duszyński był mężem Hanki Bielickiej, a Szaflarska – żoną muzyka Jana Ekiera. – Po premierze „Zakazanych piosenek” zaczęło się szaleństwo. Ludzie podchodzili na ulicach i chcieli z nami rozmawiać. A dziewczyny po prostu rzucały się na Jurka. Nawet ja musiałam zastrzec numer telefonu, bo wciąż dzwoniły podlotki z pytaniem: „Jurek jest?”. Myślały, że jestem jego żoną. Pewnego razu nawet zadzwoniło kilka pensjonarek: „Dowiedziałyśmy się,



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

że on jest z Hanką Bielicką. Że to ona zabrała pani Jurka. My ją załatwiemy...” – wspominała Danuta Szaflarska w 2013 r. wywiadzie dla „Filmu”.

Jej pierwsze małżeństwo szybko się rozpadło, drugie – ze spikerem radiowym Januszem Kilańskim – także zakończyło się rozwodem.



Danuta Szaflarska i Jerzy Leśniak

– Zawód aktorski zagraża trwałości małżeństwa – powiedziała kiedyś.

Nie zawsze chciała być aktorką. Najpierw myślała o medycynie, potem studiowała w szkole handlowej w Krakowie. Porzuciła naukę, gdy zachorowała na tyfus i ledwie uszła z życiem. Dopiero kilka lat później, za namową kolegów, zdecydowała się na aktorstwo. Danuta Szaflarska z rozbawieniem wspomina swój egzamin do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej – jak mówi, był wielką kompromitacją.

– Przed komisją płynnie powiedziałam tylko o swoich chorobach – śmiała się w wywiadzie dla „Twojego Stylu” w 2010 r.

Ale umiała też doskonale recytować „Janka Muzykanta” i dzięki temu zasiadający w komisji Aleksander Zelwerowicz dostrzegł jej talent. Egzaminatorzy dali Danucie jeszcze jedną szansę – miała przeczytać „Pięćdziesiąt lat teatru” Michała Orlicza.

– Siedziałam w bibliotece całymi dniami, przychodzę na poprawkę i widzę jeszcze dwie osoby w kolejce: Hankę Bielicką i Jurka Duszyńskiego. Wchodzimy, a komisja oznajmia: „Przyjmujemy was, poprawkę bę-

dziecie zdawać na półroczu”. Nigdy jej nie zdawaliśmy. Okazało się, że dostałam się jednym głosem Zelwerowicza, wszyscy byli przeciw – opowiadała „Zwierzadłu” w 2009 r.

Tuż po studiach, w 1939 r., wyjechała do Wilna, gdzie zaczęła występować w Teatrze na Pohulance.

– Przed wyjazdem Jadwiga Turowicz, opiekunka naszego roku, ostrzegала mnie: „Boję się o ciebie. Jesteś wrażli-

Nie zawsze chciała być aktorką. Najpierw myślała o medycynie, potem studiowała w szkole handlowej w Krakowie. Porzuciła naukę, gdy zachorowała na tyfus i ledwie uszła z życiem

wa, łatwo płaczesz i denerwujesz się. Pamiętaj, że musisz mieć kły i pazury. Inaczej zginiesz” – opowiadała w wywiadzie dla „Teatru” w 2014 r. Nie zginęła: w Wilnie w ciągu dwóch lat zagrała prawie 20 ról. Szczególnie wspomina jeden spektakl – „Szczęśli-

we dni”: – 17 września graliśmy wśród dobiegających nas z zewnątrz odgłosów salw armatnich, strzelaniny. Stałam na scenie i słyszałam trzaski kolejnych foteli opuszczanych przez widzów. Ludzie uciekali w popłochu z teatru przed końcem przedstawienia. Ponieważ trzon zespołu skończył szkołę aktorską Aleksandra Zelwerowicza, dlatego bez względu na okoliczności nie przerywaliśmy grania. Do końca przedstawienia na widowni dotrwały tylko trzy osoby. Jedną z nich, o czym dowiedziałam się po latach, był Czesław Wołłejko.

Po wojnie przez rok występowała w Starym Teatrze w Krakowie. I chociaż była już kobietą po trzydziestce, żoną i matką, grywała... podlotki.

– Tuż po wojnie w Starym Teatrze w Krakowie miałam rolę 14-letniej dziewczynki w sztuce „Teoria Einsteina” – mówiła w wywiadzie dla „Filmu”. – Któregoś razu za kulisy wszedł znany wówczas krytyk Julek Kydryński, pogłaskał mnie po głowie i zapytał: „Jak ci się, dziecko, podoba w teatrze?”. Odpowiedziałam: „Bardzo, proszę pana”, i ładnie dygnęłam. Na drugi dzień przyszedł mnie przeproszać. (...) Ale na tym nie koniec. W Starym Teatrze szła sztuka dla dzieci „Beksa”. Główną rolę grała dziewięcioletnia dziewczynka. Zdarzyło się kiedyś tak, że nagle trzeba było zrobić za nią zastępstwo i dyrektor zlecił mi jej rolę z dnia na dzień. Kiedy wchodziłam w kostiumie scenicznym między dzieci, jeden urwis podstawił mi nogę. Uśmiechnął się i spytał: „Ty dzisiaj grasz?”. Dał się nabrać.

Właśnie na deskach Starego Teatru, w amerykańskiej farsie „Roxy”, wypatrzyli ją twórcy „Zakazanych piosenek”, pierwszej powojennej produkcji fabularnej.

– Film zobaczyłam dopiero na premierze. Pierwszy raz widziałam się na ekranie. To było ogromne przeżycie – wspominała artystka. – Najbardziej cieszyliśmy się z Jurkiem [Duszyńskim – przyp. red.], że wreszcie będzie można się najeść do syta. Takie były czasy. Pierwszego dnia próbnych zdjęć dostałam jajecznicę ze skwarkami. Nie zapomnę tego smaku i mojego szczęścia. Za ten film otrzymaliśmy bardzo małe wynagro-

dzenia. Starczyło jednak na przeżycie. Po „Skarbie”, za który dostałam okragły milion, mogłam już ubrać całą rodzinę, bo po powstaniu nikt nic nie miał. Była straszna bieda. W filmie graliśmy w swoich prywatnych ubraniach. Później mi wypominano, że specjalnie chodzę w tej samej sukience, żeby się popisywać. A ja zwyczajnie nie miałam w czym chodzić.

Po rolach w „Zakazanych piosenkach” i „Skarbie” kochali ją widzowie, ale nie dziennikarze: – Prasa krytykowała mnie niemiłosiernie, że udaję amerykańskie amantki. „Skarb” zjechali straszliwie. „Kto to widział, żeby robić takie głupie filmy, kiedy Polska się odbudowuje”. Minęły dwa lata, Stalin obejrzał i powiedział: „Takie filmy trzeba nagrywać”. Wtedy dopiero zaczęło się odkręcanie kota ogonem – wspominała w jednym z wywiadów.

Mimo sukcesu jej dwóch pierwszych filmów, nie dostawała wielu kolejnych propozycji.

– Myśmy się tak bardzo wbili w głowy publiczności jako para amantów, że po upaństwowieniu kinematografii nie było dla nas miejsca w filmach o tematyce robotniczo-chłopskiej. Pamiętam, że Jerzy Zarzycki zaproponował mi w swoim filmie główną rolę: robotnicy stachanówki. Przyjechałam na próbne zdjęcia, ubrali mnie w te kufajki, weszłam na halę zdjęciową, a cała ekipa dostała ataku śmiechu. Nie nadawałam się – opowiadała „Filmowi”.

I chociaż na następne nagrody filmowe po „Skarbie” musiała poczekać ponad 40 lat, do Złotych Lwów na Festiwalu w Gdyni za „Diabły, Diabły” (1991) Doroty Kędzierzawskiej, wciąż pojawiała się na ekranie w mniejszych rolach. Zagrała m.in. włoską cyrkówkę w „Dziś w nocy umrze miasto” (1961), matkę w „Ludziach z pociągu” (1961), Stanisławę w „Głosie z tamtego świata” (1962). Szczególnie cenila sobie te epizody.

– Bardzo je lubię, bo w paru zdaniach trzeba pokazać całego człowieka – tłumaczyła. – Na ekranie istniałam tylko na początku kariery, a potem dopiero dzięki Dorocie i Filipowi Zylberowi. Dostałam od niego wspaniałą rolę w moim ukochanym filmie „Pożegnanie z Marią” (1993,

także nagrodzoną Złotymi Lwami – przyp. red.).

Nic więc dziwnego, że Danuta Szaflarska jest bardziej związana z teatrem niż filmem. W latach 40. aktorka grała jeszcze w łódzkim Teatrze Kameralnym, a w 1949 r. przeprowadziła się do Warszawy. Tam występowała w Teatrze Współczesnym, Narodowym i, aż do emerytury 1985 r., w Dramatycznym. Potem, gościnnie, pojawiała się – i do dziś pojawia – na deskach wielu warszawskich teatrów. Jeszcze tej zimy można ją oglądać m.in. w spektaklu „Daily Soup” w Teatrze Narodowym i w „Drugiej kobiecie” na deskach TR Warszawa, z którym związana jest od kilku lat.

– Najbardziej lubię grać stare wiedźmy – twierdzi „najbardziej zapracowana emerytka świata”, jak mówią o niej przyjaciele. I dodaje, że wcielać się w nie może m.in. dzięki Dorocie Kędzierzawskiej. – Kilkanaście lat temu dostałam scenariusz filmu „Diabły, diabły” i list, w którym pani Dorota pisała, że napisała rolę specjalnie z myślą o mnie. Rolę Wiedźmy. Tak mnie zobaczyła. W kolejnym naszym wspólnym filmie zagrałam Jędzę. W „Pora umierać” na szczęście grałam Anielę, ale moja postać też nie ma łatwego charakteru – opowiadała ze śmiechem na jednym z poświęconych sobie spotkań. W kolejnym filmie Kędzierzawskiej, dokumentalnym „Innym świecie”, Danuta Szaflarska ze swadą przez 97 minut opowiada o sobie i swoim fascynującym życiu.

– Nakręcili ze mną aż 15 godzin materiału. Tylko Dorota mogła mnie przekonać, że to nie będzie okropność. Ale podobno daje się oglądać, co mnie bardzo dziwi. Przed zdjęciami byłam naprawdę przerażona. Kto wytrzyma półtorej godziny gadaniny jakiejś staruszki? W ogóle ludziom myślą się staruszki. Zdarzało się, że podchodzili do mnie z tomikami Wisławy Szymborskiej, prosząc o dedykację. Aż miło było być mylonym – śmiała się aktorka w wywiadzie dla „Filmu”.

Wciąż żywotna, energiczna zjednuje sobie ludzi życzliwością, poczuciem humoru i autoironią. Mieszkanka warszawskiej Starówki zaczyna dzień od gimnastyki, potem

przegląda informacje ze świata, a wieczorami gra w teatrze. Erwin Axer mówił o niej: – Szaflarska jest kamertonem pozwalającym ocenić

Któregoś razu za kulisy wszedł znany wówczas krytyk Julek Kydryński, pogłaskał mnie po głowie i zapytał: „Jak ci się, dziecko, podoba w teatrze?”. Odpowiedziałam: „Bardzo, proszę pana”, i ładnie dygnęłam. Na drugi dzień przyszedł mnie przeproszać.

czystość gry całej orkiestry. Danusia bardziej niż teatr kocha prawdziwe życie poza sceną. Zawsze była towarzyską, gadatliwą otoczona męskim podziwem.

A ona wciąż, jak mówi, jest bardzo ciekawa życia.

– Sporo z niego czerpię potem do swojej pracy – zdobyte doświadczenia pomagają mi w tworzeniu roli. Kiedyś jeździłam na nartach, żeglowałam, uprawiałam górską wspinaczkę. Próbowalam wszystkiego, co się dało. Szkoda życia. Trzeba próbować. A teatr? Jest chorobą nieuleczalną. On jest jak narkotyk – wyznała rok temu „Dziennikowi Polskiemu”.

Dzięki czemu zachowuje tak świetną formę?

– Nigdy nie zastanawiałam się nad receptą na życie. 20 lat paliłam papierosa, w naszym zawodzie nie da się prowadzić zdrowego trybu życia. Trzeba znajdować radości w życiu. Młodzi mogą np. zakochać się co chwila w kim innym – mówiła na spotkaniu z okazji swoich 95. urodzin. – A, i dużo tańczyć! Uwielbiałam chodzić na tańce. Mówią, że trudno o uśmiech w dzisiejszych czasach. A ja pytam: dlaczego? A mało to pięknych rzeczy można robić? Przecież można podróżować, uprawiać sport, czytać mądre książki, oglądać wspaniałe przedstawienia. Nie wolno tylko popadać we frustrację, gdy coś nie wychodzi.

Rozmowa o tym, co nieuniknione

Czająca się obecność śmierci

Rozmowa z pisarzem
Andrzejem Stasiukiem

– Mówi Pan o sobie, że jest człowiekiem starym. To prowokacja?

– Jestem człowiekiem starym, pięćdziesiątka to nie dwudziestka – nie można tak szaleć jak kiedyś, tak rozmawiać świata. A z drugiej strony wcale nie czuję się stary – ogień jeszcze nie zgasł. Właściwie starość jest w porządku, gdy się człowiek na nią godzi i dobrze wykorzystuje. Na przykład od paru lat nie śpiam tak jak dawniej. Kiedyś mogłem spać 12 godzin, teraz wstaję o 6. i oglądam cudowne poranki. Mam mniej czasu w życiu, ale więcej czasu w ciągu doby. Sześć godzin snu, a reszta to czas na patrzenie, pisanie, na życie, na wszystko. To nie jest złe pomyślane.

– Mnóstwo czasu zostaje na życie..., a myśli Pan też o śmierci?

– Jasne, codziennie myślę o śmierci.

– Pytam o to, bo współczesność kreuje wizerunek człowieka zawsze młodego, sprawnego i wydawałoby się nieśmiertelnego.

– Ja nie jestem współczesnym człowiekiem. Jest stonkowo mało godności we współczesnym człowieku, który próbuje udawać, że śmierci nie ma, a kiedy ona przychodzi okazuje się, że jest wobec niej bezradny albo jest nią ogłuszony. Myślę o śmierci, to naturalne sprawa. Ona przyjdzie, tego jednego można być pewnym. Tak..., myślę o śmierci. Coraz częściej na pogrzeby chodzę i to nie przypadkowych ludzi, ale przyjaciół, znajomych. Coraz częściej ta myśl się odzywa.

– Mówi Pan o tym bardzo spokojnie.

– Mam się popłakać? Wypić duszkiem Jacka Danielsa? Moja mama ma 76 lat, zaczyna chorować. Kiedy ją odwiedzam, robi fajne rzeczy – na przykład niczym figlar – na dziewczynka przymierza czarną suknię, pokazuje strój do trumny i mówi, żebyśmy niczego nie kupowali, bo wszystko jest przygotowane. Potrafi w taki ludowy, sarmacki sposób żartować ze śmierci, godzić się z nią, wiedząc, że w skali ludzkiego życia, to już niedługo. Trzeba czasami brać przykład z rodziców.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

– Dla współczesnego człowieka, jak Pan napisał, śmierć jest trwogą, spada przez przypadek i bez sensu.

– Śmierć jest trwogą, ale dla współczesnego człowieka większą, bo przestał rozumieć jej sens. Jeszcze nasze babki ten sens pojmowały, godziły się z umieraniem. Nam to odebrano. Byłem przy śmierci swojej babki. Umierała w wiejskim domu, z całym obrządkiem czuwających ciotek, z porannym wejściem cioci i jej słowami: „Już nie ma babci”. Miałem wtedy z osiem lat. Nie zdziwiłem się, że umarła. To jest rzeczywiście to, co współczesność nam zabiera.

– Tu w Beskidach, Gorlicach, Limanowej, Nowym Sączu inaczej podchodzi się do śmierci niż w innych częściach świata?

– Nie mam bladego pojęcia, nie studiowałem, jaki ma stosunek świat do śmierci. Czasami widuję za granicą pogrzeb. Wygląda... surrealistycznie. Mam okolice pełne

cmentarzy – łemkowskich i z pierwszej wojny światowej. 1 i 2 listopada je odwiedzam...

– Zapala Pan znicze, wymawia imię, bo dopóki ktoś wymawia imię, ten człowiek żyje?

– Tylko tyle można zrobić, zapalić świeczkę, odczytać imiona, stopnie wojskowe, w końcu po to są te cmentarze, żeby robić taki swoisty apel poległych.

– Smutne. Zostały tylko imiona, które nam nic nie mówią, choć dla tych ludzi ich życie było wszystkim, stanowiło sto procent.

– Nie mogli żyć wiecznie. Cesarz niemiecki wysyłając do walki swoich opornych żołnierzy, krzychał: „Co psy, chcecie żyć wiecznie?”. Śmierć to śmierć. Wizyta na cmentarzu zawsze pobudza do myślenia. Odczytywane imiona skłaniają do refleksji, można sobie tamten świat wyobrazić, przez to nasz świat staje się większy. Można sobie dopowiadać historie tych wszystkich Petrów, Karelów, Gottliebów – skąd przyszli, po co przyszli, jak ginęli i po co zginęli. Można docenić to, że teraz mamy tak dobrze, a może właśnie mamy gorzej, bo nie umiera się za idee.

– No tak, w końcu kiedyś powiedział Pan, że „facet powinien być śmiertelny...”.

– Śmierć przystoi facetowi, kobieta powinna być piękna i wieczna...

– To chyba kolejny nasz współczesny mit.

– Nie chodzi mi nawet o, nazwijmy to, współczesną nieśmiertelność kosmetyczną. Facet bardziej się zużywa niż kobieta. Nie wiem, ale... nie chciałbym swojej żony oglądać martwej. Chyba wolalbym wcześniej umrzeć. Ale z drugiej strony to potworny dramat, bo wiem, że wtedy ona by cierpiała. Co zrobić? Żadne wyjście nie jest dobre...

– Podobno wybrał Pan nawet miejsce, gdzie chce być pochowany – w Wołowcu, pod starymi drzewami.

– Nasz wiejski cmentarz w Wołowcu jest naprawdę piękny – cudny pejzaż, cisza, pasące się sarny. Nie ma co wierzyć przeciwko śmierci, ona przyjdzie, trzeba ją tylko jakoś fajnie przywitać, a wcześniej jej dojmującą, czującą się obecność wykorzystać.

DTS nr 5 (5) 28.10.2010

Andrzej Stasiuk – pisarz, felietonista. Urodził się w 1960 r. w Warszawie, mieszka w Wołowcu w gminie Sękowa. Laureat Literackiej Nagrody Nike (2005 r.) za „Jadąc do Babadag”. Autor książek m.in. „Mury Hebronu”, „Opowieści galicyjskie”, „Dukla”, „Fado”, „Taksim”.

R E K L A M A

POBYTY WELLNESS I TERMALNE w hotelach SOREA na Słowacji

Wysokie Tatry | Niskie Tatry | Spisz | Bratysława



Świętuj razem z nami!

- Turystyka piesza i rowerowa, nordic walking w pięknej okolicy
- Wellness URANIA
- Relaks w Szczyrbskim Pleso
- Program cynamonowy i słoneczny pakiet
- SENIOR FIT pobyty 55 +
- Rozrywka dla dzieci i relaks dla rodziców
- Mini / Maxi / Vital Spisz
- Historyczny weekend Regia

tel. +421 2 5542 2332, marketing@sorea.sk, obchod@sorea.sk,
f /SOREA.dovolenka.na.Slovensku, www.sorea.sk





FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

0 dwóch braciach, co rozstawili miasto

Koralowie pochodzą z Kosarzysk-Bukowca. W czasie okupacji niemieckiej rodzice działali w konspiracji: ojciec Michał (1908–1965), sklepikarz w Piwnicznej i pilarz w gospodarstwie leśnym, ps. „Kum” (inwalida wojenny postrzelony przez Niemców podczas zasadzki), matka Maria, z domu Jarzębak (1914–1999), ps. „Kuma” (jeździła konno i polowała), prowadzili „melinę” dla posłańców i łączników uchodzących przez granicę na Węgry, zapewniając im schronienie i żywność. Po wojnie przeprowadzili się do Nowego Sącza. Najstarszy syn, Władysław, został nauczycielem; Jan – cukiernikiem, Marian i Józef poszli w jego ślady. Przez lata budowali lodowe imperium i markę rozpoznawalną nie tylko w kraju. Dzisiaj zostali docenieni przez Nowy Sącz, za to, że swoim sukcesem potrafili się dzielić z innymi.

Lody z wózka i motocykla

Zaczynali od małej, rzemieślniczej produkcji lodów, która w PRL była jedną z nielicznych oaz prywatnego biznesu. Marian miał 27 lat, Józef – 24. Wcześniej praktykowali u brata, Jana, który od 1968 r. prowadził przy ul. Sobieskiego mającą do dziś wiernych klientów cukiernię „Bajka”. Sprzedawali lody na wózkach i motocyklach na ulicach Nowego Sącza, w parkach

i nad brzegiem Kamienicy. Za Koralami biegały chmary dzieciaków z oczami pożądliwie wbitymi w okrągłą pokrywę, która unosiła się, gdy z gromady wylaniał się klient. W 1979 r. wynajęli pomieszczenia u rodziny Hańskich przy rynku w Limanowej. Zakładowi nadali imię „Kubuś”. Ciężko pracowali, nosząc konwie z mlekiem (pamiątką po latach okazały się dolegliwości kręgosłupa), ręcznie

kręcąc lody i rozwożąc je po okolicznych sklepikach i odpustach. Najpierw na rowerze, a potem białym „maluchem”, w którym przednie siedzenie pasażera było wyjęte, żeby zrobić miejsce na wielki termos. Potem był większy zakład z lodami „piccolo” przy ul. Marka. W 1991 r. postanowili odkupić od miasta zniszczony magazyn przy ul. Fabrycznej w Sowlinach. Zaciągnęli kredyt – 2,8 mln marek – i sprowadzili włoską maszynę do lodów, z której gotowy, zapakowany produkt wyskakiwał w ułamku sekundy.

Praca jest nałogiem, pieniądze nie

W 1994 r. przejęli Zakłady Mięsne Igloopol w Nowym Sączu w tzw. starej rzeźni u zbiegu tras wylotowych do Limanowej i Krakowa za ówczesne 4 mld zł. W zmodernizowanym, a praktycznie zbudowanym od pod-

staw obiekcie, lodowe imperium ma teraz swoją kwaterę główną. Pracowali od świtu do nocy, jeździli po całej Polsce (rekord: 70 tys. km rocznie), życie podporządkowując w całości firmie, wyszukiwaniu nowinek technologicznych, doskonaleniu organizacji pracy.

– *Przez 10 lat nie mogłem skończyć budowy domu, bo wszelkie zyski inwestowałem* – opowiada Józef Koral. – *Jeździłem motocyklem WSK lub „maluchem”, choć było mnie już stać na mercedesa. Razem z bratem stroniemy od reklamy, publicznego błyszczenia. Gdy uczestniczymy w rozmaitych akcjach charytatywnych, zastrzegamy sobie anonimowość. Zarabianie pieniędzy nie jest naszym nałogiem, natomiast praca jest takim nałogiem, który sprawia nam prawdziwą przyjemność.*

Znakomicie wyczuli popyt na lody, kierując je w pierwszej kolejności do małych sklepów, wiejskich i osiedlowych. Postawili na własną sieć dystrybucji i hurtowni. Nowoczesne centrum produkcji urządzili w Rzeszowie, gdzie w sezonie pracuje ponad tysiąc osób. Firma „Koral”, rodzima, nie oddała polskiego rynku – jak stało się to np. w bankowości czy prasie – zagranicznym koncernom. Sprostala w walce konkurencyjnej zachodnim potentatom, mimo podjętych przez nich liczonych w miliony dolarów inwestycji. Tak silna pozycja rodzimych producentów nie jest typowa dla współczesnego kapitalizmu w Polsce, ale – jak widać – jest regułą na Sądectwie, co potwierdzają światowe kariery innych sądeckich „tygrysów”: Konspolu, Fakro, Wiśniowskiego, a wcześniej Optimusa. Udowadniają oni, że można na peryferiach kraju, z daleka od metropolii, zbudować prężne przedsiębiorstwo, zawojować krajowe i zagraniczne rynki. No i podatki płacić w Nowym Sączu.

Zawsze jest pora na lody Koral

Kluczem do podwalin lodowego imperium nie stały się miliardowe kredyty, wyjątkowy spryt, dostęp do tajemnic finansowych czy dobre układy towarzyskie w biznesie, ale po prostu wieloletnia, mordercza praca. Rozpoznawanie gustów i potrzeb klientów, modyfikacja produk-

cji w zależności od zmieniającej się szybko rzeczywistości. Budowanie firmy od podstaw, na solidnym fundamencie, z najlepszymi fachowcami, wśród których „brylantem” był przez wiele lat Bogdan Workiewicz (obecnie już na emeryturze), w PRL jeden z zastępców Edwarda Brzostowskiego, twórcy dębickiego Igłopolu, największej firmy rolno-spożywczej w ówczesnej Polsce. Już w latach 90. ubiegłego wieku Koralowie docenili siłę reklamy, przede wszystkim na billboardach i w telewizji. Najpierw sponsorowali prognozy pogody po głównym wydaniu telewizyjnych „Wiadomości”. Kilkumiesięczna akcja, wraz z kampanią wspomagającą, kosztowała w 1998 r. 15 mln zł. To był strzał w dziesiątkę: po trzech miesiącach ofensywy z zawołaniem „Zawsze jest pora na lody Koral” sprzedaż wzrosła

w losowaniu superatrakcyjnych nagród, m.in. samochodów osobowych, ufundowanych przez prezesów. Nagrodę główną – walizkę ze 100 tysiącami złotych – przy wielkich emocjach losowała sama Maryla Rodowicz. Ta pokaźna gotówka przypadła jednemu z dealerów z Mielna, który w momencie ogłoszenia tej wiadomości podskoczył ze szczęścia pod sufit i nosił Marylę na rękach po całej sali.

Rolls-Royce i karetki pogotowia

Dzięki Koralom Nowy Sącz zyskał miano lodowej stolicy Polski. Po latach bracia dorobili się bajecznej fortuny, której unaocznieniem są krążące po sądeckich ulicach ich luksusowe rolls-royce’y (3 mln zł za egzemplarz), a wcześniej maybachy i lamborghini murciélago, jakimi jeżdżą szajki z Bliskiego Wschodu,

Kluczem do podwalin lodowego imperium nie stały się miliardowe kredyty, wyjątkowy spryt, dostęp do tajemnic finansowych czy dobre układy towarzyskie w biznesie, ale po prostu wieloletnia, mordercza praca. Rozpoznawanie gustów i potrzeb klientów, modyfikacja produkcji w zależności od zmieniającej się szybko rzeczywistości.

o 60 procent! Potem skorzystali z usług Majki Jeżowskiej i Katarzyny Figury, która kusila i zachęcała do „lodowego szaleństwa”, a następnie Maryli Rodowicz, Daniela Olbrychskiego, Heleny Vondráčkové, raperów hip-hopowych, zespołu dziecięcego „Arka Noego”, idolki młodzieży Doroty Dody Rabczewskiej, tancerki i piosenkarki Nataszy Urbańskiej i modelki z Los Angeles Joanny Krupy. Szczególnie oszałamiający był „efekt Maryli”, piosenkarka trafia bowiem ze swoimi utworami do każdego pokolenia. Dziadkowie, przypominali sobie piosenkę „Zakopane, Zakopane”, a młodzież – obecne jej przeboje. Lody – reklamowane przez Marylę Rodowicz – okazały się klasycznym towarem międzypokoleniowym. Swego czasu Koralowie zaprosili do Muzyki 400 współpracowników związanych z firmą, którzy podczas uroczystego bankietu wzięli udział

królowa angielska i gwiazdy Hollywood, oraz okazałe rezydencje rodzinne: nad Kamienicą i na górze w Dąbrowie, z jedyną chyba w kraju podgrzewaną drogą, niewymagającą odśnieżania, a także ranczo, z kapliczką i stajnią dla koni nad Popradem. Rodzina Koralów, twórcy jednej z najbardziej rozpoznawalnych polskich marek, z rocznymi przychodami rzędu pół miliarda złotych, od wielu lat umieszczana jest w rankingach 100. najbogatszych Polaków „Wprost” i „Forbesa”. Prywatnie Koralowie są skromnymi ludźmi, stronią od rozgłosu i blasku jupiterów, trzymają się z daleka od polityki i dziennikarzy. W kontaktach międzyludzkich bezpośredni, życzliwi, dobroduszeni, w przyjaźniach lojalni. Mimo widocznych przejawów bogactwa, nie wzbudzają zazdrości czy zawiści. W firmie otaczają się fachowcami. Wychowali się w rejonie

sądeckiego Rynku, w religijnej rodzinie, można rzec, w cieniu bazyliki św. Małgorzaty. Raz w roku, tradycyjnie, zapraszają sąsiadów i kolegów z dawnych lat, nawet tych, którzy znaleźli się na marginesie społecznym, na biesiadę wspominkową. O wielu gestach dobroczynnych wiedzą tylko obdarowani. Kto bliżej poznał braci Koral, dostrzega w nich ludzi nietuzinkowych, szczerych i hojnych, lokalnych patriotów, mecenasów kultury. Sprowadzili do Nowego Sącza na swój koszt „Nieszpory Ludźmierskie”, corocznie wspierają materialnie Jesienny Festiwal Teatralny, Festiwal Biegowy, Święto Dzieci Gór, zespół „Sądeczoki”, liczne festyny charytatywne. W 2005 r. ufundowali za 2 mln zł pomnik Jana Pawła II na sądeckim rynku, dzieło rzeźbiarza prof. Czesława Dźwigaja i sąsiadującą z nim Fontannę Papieską. W kolejnych latach (2009, 2016) – dwie superkaretki dla sądeckiego pogotowia ratunkowego.

Ster firmy powoli przejmują dzieci Józefa: Monika, po mężu Urbańczyk (lat 34), Izabela (lat 37), Michał (lat 22), figurujący w Krajowym Rejestrze Sądowym, jako wspólnicy spółki. Decyzje może podejmować jednoosobowo każdy z braci, zaś córki mogą to robić we dwójkę. Michał

musi jeszcze trochę poczekać. Ale ma się od kogo uczyć i na kim wzorować. Ojciec i wuj nie powiedzieli ostatniego słowa, jeszcze nas w Nowym Sączu zaskoczą ciekawymi pomysłami i inicjatywami.

DTS nr 42 (311) 20.10.2016

Honory dla braci Koral. We wtorek, 19 października radni sądecy podczas nadzwyczajnej sesji jednogłośnie podjęli uchwałę o przyznaniu tytułu honorowego obywatela miasta Nowego Sącza braciom Józefowi i Marianowi Koralom w dowód uznania i wdzięczności za ich długoletnią działalność na rzecz społeczności sądeckiej, za dzielenie się z bliźnimi i tworzenie dobra w swoim środowisku. Prestiżowy tytuł przyznawany jest w Królewskim Grodzie od połowy XIX w. Otrzymali go m.in. Józef Piłsudski, Władysław Barbacki, ks. Jan Sygański, gen. Bronisław Pieracki, Roman Sichrawa. W dobie odrodzonego samorządu (III RP) honorowymi obywatelami Nowego Sącza zostali: biskup Józef Gucwa (1999); Irena Styczyńska (2001); Józef Bieniek (2002); ks. Stanisław Czachor (2005); Krzysztof Pawłowski (2006); Ryszard Kaczorowski (2007/2008); Lech Kaczyński (2009); Kazimierz Pazgan (2014) i Józef Oleksy (pośmiertnie, 2015). Z tytułem łączy się dyplom i statuetka (ręce okalające fotel z herbem miasta) wykonana przez Alfreda Kotkowskiego.

R E K L A M A

SOKOŁ

Małopolskie Centrum Kultury

TĘTNI KULTURĄ



ul. Długosza 3, 33-300 Nowy Sącz
tel. 18 448 26 10 | kontakt@mcksokol.pl
www.mcksokol.pl | fb.com/mcksokol


MAŁOPOLSKA

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Opowieść o małolacie z innej epoki

Ulotki schowane pod kożuchem

1.

Był 22 lutego 1982 r. Poniedziałek. Krzysztof Węglowski-Król o godz. 14.05 wsiadł do autobusu linii nr 7 pod dworcem PKP w Nowym Sączu. W dni, kiedy popołudniami miał szkołę, wychodził wcześniej z pracy w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego. Na chwilę jechał do domu, zjadał w pośpiechu obiad i gnał do Technikum Samochodowego. 22 lutego ani nie zjadł obiadu, ani nie dotarł do szkoły. Następnego domowy obiad zje prawie półtora roku później. Do szkoły wróci jesienią 1983 r. Nieco wcześniej do pracy w ZNTK.

2.

Jak zawsze wysiadł z „siódemki” na przystanku przy Paderewskiego. Do domu na ul. Naściszowskiej miał jakieś dwieście metrów. Beżowa wołga stała pod sklepem Kwarcianowej. Niczego nie podejrzewał, przecież mówiło się, żeby uważać na czarne wołgi. Wysiadło ich czterech. Nawet nie było sensu się szarpać. Posadzili go z tyłu pomiędzy dwoma największymi esbekami. Przejechali obok rodzinnego domu, gdzie mama czekała z obiadem. Od tego momentu był najmłodszym aresztowanym działaczem sądeckiej „Solidarności”. Miał 20 lat.

3.

W uzasadnieniu o tymczasowym aresztowaniu czyjaś ręka wystukała na maszynie, na niemal przeźroczystym papierze:

„Krzysztof Bogdan Węglowski-Król podejrzany jest o to, że w okresie od 13 grudnia 1981 r. tj.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

– Byłem małolatem, kawalerem, nie czułem strachu, raczej adrenalinę, kiedy pod kożuchem przenosiłem te ulotki na zakład – wspomina trzydzieści lat później Krzysztof Węglowski-Król

od wprowadzenia stanu wojennego do 22 lutego 1982 r. w Nowym Sączu, będąc członkiem NSZZ „Solidarność”, nie zaniechał działalności w Związku, którego działalność została zawieszona, przez to, że przynosił na teren ZNTK w Nowym Sączu ulotki związkowe, które przechowywał w miejscu swego zamieszkania, co najmniej od 30 stycznia 1982 r. zawierające fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny lub rozruchy (...) które następnie były rozpowszechniane wśród załogi zakładów”.

Postanowienie podpisał wiceprokurator Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Krakowie pplk mgr Czesław Kłonica.

4.

Prawdziwe w tym piśmie wojskowego prokuratora było tylko to, że przynosił związkowe ulotki do ZNTK. Nie żałuje. Uważał, że to jego obowiązek. Do „Solidarności” zapisał się spontanicznie po którymś z wieców na zakładzie. Miał przekonanie, że trzeba coś zrobić, jakoś wyrazić swój sprzeciw.

– Byłem małolatem, kawalerem, nie czułem strachu, raczej adrenalinę, kiedy pod kożuchem przenosiłem te ulotki na zakład – wspomina trzydzieści lat później Krzysztof Węglowski-Król.

Należać do związku, a prowadzić aktywną działalność, to dwie różne sprawy. To drugie wiązało się z ogromnym ryzykiem. Szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy kierownictwo związku było internowane.

5.

W swojej grupie znał ledwie kilka osób. Tak było bezpieczniej w razie wpadki. O działalności rozmawiał tylko z najbliższym kolegą Zbyszekiem Leśniakiem. Od Tadeusza Piaseckiego, który miał dostęp do maszyny do pisania odbierał matryce z gotową treścią ulotek. Na chórze bazyliki organista Kazimierz Plewa miał powieńczyć. Węglowski, jako pilny chórzysta, powieńczył na nim wielokrotnie nuty. W stanie wojennym powieńczył „Wiadomości Nowosądeckie”. Część roznosił po mieście, część zabierał do ZNTK. Zostawiał pod przykrywą w hali pieców. Po zakładzie kolportował je ktoś inny.

6.

Swoje akta z IPN przeglądał dwa lata temu. Bez wchodzenia w szczegóły. Nie chciał poznawać nazwisk ludzi, którzy na niego donosili. To by mogło bardzo zboleć, gdyby znalazł tam ówczesnych kolegów. Służba Bezpieczeństwa nadała mu kryptonim „Samochodzik”. Fajnie, bo zawsze lubił majstrować przy autach. Do dzisiaj pracuje, jako nauczyciel zawodu w Technikum Samochodowym.

Kiedy 22 lutego 1982 r. wsadzano go do wołgi bezpieki, był trochę zdziwiony, że wiedzieli o nim. Po latach okazało się, że wiedzieli o nim, że wiedzieli nawet, o której przerywał pracę w hali nr 19, żeby pójść do ubikacji, albo porozmawiać z kolegami. Wiedzieli wszystko. Każdy jego krok był opisany.

7.

Na Szwedzkiej bicia nie było. Na milicyjnym dołku było raczej dręczenie. Mówili mu, że nigdy już stąd nie wyjdzie, że nie zobaczy już rodzi-

ców, że inni zatrzymani powiedzieli o nim już wszystko. Z rodzicami zobaczył się dopiero w maju na rozprawie w Krakowie. Wcześniej nie było żadnych widzeń, ani kontaktu. Tylko grypsy podawane przez klawisza, który znał się z ojcem. Najczęściej wrzucał kartkę do butów, bo na noc trzeba je było wystawić przed celę. W bucie też znajdował odpowiedzi z domu. W domu nikt nie wiedział o działalności związkowej Krzyśka. Wiedzieli tylko, że wieczorami chodzi na próby chóru.

Po zatrzymaniu Krzyśka rodzice byli szybsi niż SB. Natychmiast przeszukali cały dom. Kiedy przyszła bezpieka żadnych ulotek już nie było. Tylko jakaś resztką została pod dywanem. Dało się ją wyczuć pod butami, ale bratowa Marysia zorientowała się i do końca rewizji stała bez ruchu w tym jednym miejscu.

8.

Na wyrok w Krakowie czekał spokojnie. No może z tyłu głowy tłukł się niepokój, kiedy dochodziły wieści, że niektórzy działacze dostawali nawet po 10 lat. Na Montelupich można było głównie patrzeć w deski pryczy nad głową, gdzie czyjaś ręka wydrapała cyrylicą niezrozumiałe zdanie i datę jeszcze w czasach zaborów. Blendy w oknach odkrywały tylko kawałek nieba, a spacerownik na dachu, był tak osiatkowany, jakby ktoś miał śmigłowcem odbijać związkowców z Nowego Sącza.

Krzysztof Węglowski-Król dostał najwyższy wyrok – cztery lata. „Trudno, trzeba będzie to jakoś przeżyć”. Z jego grupy takie same wyroki usłyszeli jeszcze Józef Jarecki i Tadeusz Piasecki. Trochę niższe – Zbigniew Leśniak, Krzysztof Witowski, Mieczysław Górski, Tadeusz Nitka i Tadeusz Zengel.

9.

Wyszedł 26 maja 1983 r. W czwartek. Z więzienia w Hrubieszowie wracali do Nowego Sącza pociągiem. Dalej z dworca tą samą „siódmką”, którą jechał 22 lutego 1982 r. Wysiadł na Paderewskiego, przeszedł obok sklepu Kwarcianowej. W tym miejscu ostatni raz był wolny. Przed domem

ojciec z bratem Dziunkiem akurat stawiali plot.

W ZNTK nikt nie czekał z otwartymi ramionami. Związkowców po wyrokach przywracano do pracy, ale na najgorszych stanowiskach. Węglowski trafił do obsługi wanień z sodą kaustyczną, gdzie czyściło się ze smarów podwozia lokomotyw. Potem – w ramach awansu – przeszedł do montażu chłodziw. Też paskudna robota.

10.

Po ponad roku spędzonym w Hrubieszowie, nawet kąpanie w sodzie wózków jezdnych było niezłym zajęciem. Z okna hrubieszowskiego kryminału widzieli granice z ZSRR – most zwodzony, a za nim transportery opancerzone. Kiedy rano wstawali, sprawdzali czy jeszcze są w Polsce, czy już w ZSRR. Ale transportery ciągle stały za mostem.

Kiedy sytuacja w kraju uspokajała się, władze więzienne pozwalały wychodzić z cel na ping-ponga, albo na lekcje angielskiego, które prowadził późniejszy minister i prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki. Kiedy za murem robiło się nerwowo, pozostało lepienie z chleba pamiątkowych więziennych pieczątek.

11.

Ostatniego czerwca 1992 r. przyszło pismo. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w wyniku rewizji nadzwyczajnej zmienił wyrok sprzed 10 lat uniewinniając całą sądecką ósemkę działaczy.

Krzysztof Węglowski-Król nie wrócił już do działalności związkowej. Nie zaangażował się w działalność polityczną. Po wyjściu z więzienia chciał nadrobić życiowe plany przerwane przez aresztowanie i wyrok. Wrócił do szkoły, by skończyć technikum samochodowe. Musiał się też sprężyć z budową domu. Niebawem miały stracić ważność wszystkie zezwolenia budowlane, które uzyskał jeszcze przed zatrzymaniem. Trzeba się było spieszyć do normalnego życia.



SĄDECKIE WODOCIĄGI[®]

- 100 tys. odbiorców wody
- 100 tys. użytkowników kanalizacji
- Trzy stacje uzdatniania wody
- Zaawansowana technologicznie oczyszczalnia ścieków
- Ciągły monitoring sieci oraz parametrów wody



Nowe usługi dla Klientów:

- E-BOK
- E-FAKTURA
- E-PŁATNOŚCI
- Powiadomienia SMS



<https://ebok.swns.pl>

Sąddeckie Wodociągi
Spółka z o.o.
ul. Wincentego Pola 22
33-300 Nowy Sącz
www.swns.pl

Opowieść, która wyciska łzy

Rok choroby męża, był najlepszym w naszym życiu

Rozmowa z **Mariolą Pawlak**

– Jak to jest, kiedy na Twoich oczach umiera ukochany mężczyzna, a Ty nic nie możesz zrobić, nie możesz mu pomóc?

– Wiadomość o chorobie spadła na nas dosyć nieoczekiwanie, bo Zygmunt nigdy nie chorował, nic mu nie dolegało i nie należał do ludzi, którzy muszą się regularnie badać. Czerstwy, młody facet – 53 lata, mężczyzna w tzw. sile wieku – z licencją pilota szybowcowego, wysportowany, bo dzieci mobilizowały nas do wszelkiej aktywności. W wolnych chwilach pracujący rekreacyjnie jako rolnik w naszym gospodarstwie.

– Pracujesz na co dzień z ludźmi chorymi, nie wiedziałaś, że złe wiadomości przychodzą zwykle niespodziewanie?

– Wiem. One są zwykle tak zaskakujące, że powalają z nóg. To był strzał z boku, tym mocniejszy, że trafił w człowieka zapracowanego i zaangażowanego wśród bieżących spraw.

– Mąż wrócił od lekarza i powiedział: mam raka?

– Było trochę inaczej. Dostałam telefon, że muszę szybko wrócić do domu, bo Zygmunt źle się czuje. W szpitalu w Krynicy zrobiono mu badania, a USG brzucha nie pozostawiało wątpliwości. Lekarz powiedział: „Pan ma bardzo dużego guza na nerce”. Tak się zaczęła nasza droga przez chorobę. W Mielcu wycięto mu guza, ale szczegółowe badanie, tzw. PET, wykazało, że rozsiew nowotworu jest bardzo obfity. Od razu stało się jasne, że zo- stało nam bardzo niewiele wspólnego czasu.



FOT. Z ARCH. M. PAWLAK

– Co to znaczy dla śmiertelnie chorego człowieka „niewiele czasu”?

– Lekarze mówili o kilku tygodniach, ale mąż, od momentu diagnozy, żył z chorobą rok i trzy miesiące.

– Pierwsza reakcja, kiedy słyszy się wyrok śmierci, odroczone na kilka tygodni?

– Pierwsze jest zawsze przerażenie. Ale zaraz potem przychodzi moment otrzeźwienia, konieczności działania, no i przede wszystkim

myśl, że może właśnie nam się uda. Bo czasami ludziom się udaje. Dowiedzieliśmy się, że w leczeniu raka nerki specjalizuje się Szpital Rydygiera w Krakowie i tam mąż był prowadzony. Udało się na pewien okres ustabilizować chorobę przez leki celowane. Ale było też jasne, że poza tymi lekami nic więcej nie możemy zrobić, bo choroba była bardzo zaawansowana. Rak do pewnego momentu w zasadzie nie daje objawów, aż do czasu, kiedy zaatakują narządy miękkie,

istotne dla życiowych procesów: nerki, wątroba, płuca...

– Popadliście w zwątpienie?

– Odpowiem tak. Jakiś czas temu pojawił się w naszym życiu duchowny, jezuita ojciec Mirosław Jajko. I kiedy dowiedział się o tej chorobie, częściej z nami był i dużo rozmawialiśmy. Dzięki mądrym duchowemu wsparciu przeprowadził nas przez tę chorobę. To ważne, kiedy otrzymuje się takie wsparcie, bo osoby wierzące mogą w trudnych momentach stracić nie tylko nadzieję, ale niekiedy i wiarę. Myśmy ani przez moment jej nie stracili. Byliśmy dobrze usposobieni do życia i gotowi przyjąć wszystko, co ono nam niesie.

– To duchowo, a medycznie?

– W pewnym momencie lekarz prowadzący przyznał, że medycyna nic więcej nie może już zrobić. Na moje pytanie, A co ja mogę zrobić, odpowiedział: „Być z mężem”. I tak zrobiłam. Zaczęliśmy poświęcać więcej czasu sobie i dzieciom. I ten rok – ostatni rok życia Zygmunta – to był najpiękniejszy rok naszego trzydziestoletniego małżeństwa. Wiedzieliśmy, że mamy mało czasu. Może nie rzucaliśmy się sobie na szyję, ale byliśmy ze sobą w taki naturalny, spokojny sposób, w jaki powinno żyć małżeństwo na co dzień.

– Choroba zdominowała Wasz dzień powszedni? Dominowała w rozmowach, w nadopiekuńczości: nie rób tego, bo jesteś chory...

– Nigdy tak nie było, choroba była jakby obok. Zygmunt niemal cały czas pracował, był sprawny fizycznie i intelektualnie, prowadził samochód. Wykonywał wszystkie zadania, które należały do niego do tej pory i myślę, że to mu bardzo pomogło w przejściu tego trudnego czasu. Zygmunt przez całe życie był dzielny i odważny. I taki też był w chorobie.

– Jak się żyje pod presją szybko uciekającego czasu, ze świadomością, że na horyzoncie widać kres? Zrywasz się rano i panikujesz, bo bliski jest koniec?

– Myślę, że to bardzo indywidualna sprawa każdego chorego. Zyg-

munt był człowiekiem, który nigdy nie panikował. Był bardzo pogodny i wstając rano, nie odczuwałam, że żyje pod presją choroby. On nie czekał na koniec. Po prostu podejmował swoje obowiązki, jakby tej śmiertelnej choroby z nim nie było. Nie zachowywał się tak, jakby koniec mógł jutro nastąpić. Miał plany, odległy horyzont, raczej rozpoczynał, a nie zamykał w pośpiechu już rozpoczętych działań. Miał świadomość, że to może w każdej chwili nastąpić, ale nie chciał prowokować choroby, żeby się to stało dziś czy jutro.

– Jest coś takiego jak porządkowanie spraw: w tej teczce jest to, a inne dokumenty w tej szufladzie?

– Nie było takiej potrzeby. Myśmy byli udanym małżeństwem, razem pracowaliśmy i nawet jeśli prowadził oddzielną firmę i sprawy społeczne, to nie było tak, że ja nie wiem, co robi mój mąż. O wszystkim mnie informował: kochanie wyjeżdżam na chwilę...

– Mówiliście do siebie „kochanie”?

– Rzadko, nie przesadnie. Mój mąż był oszczędny w...

–...środkach wyrazu?

– Właśnie. Pewnie jak większość mężczyzn. Ale nie kaktus. Poza tym zawsze dało się odczuć, że on ciepło o mnie myśli. Kiedy mówił o mnie – niekoniecznie nawet w mojej obecności – odczuwało się, że jest między nami ta magia i chemia, która nie wygasa przez trzydzieści lat. Przypominała mi się zabawna historia. Zygmunt miał do odebrania jakąś budowę w Wałczu i zapytał, czy bym z nim nie pojechała, bo na dłuższej trasie cierpła mu noga – zaatakowane już były kości. I pojechałam z nim na trzy dni, a był to... nasz pierwszy wspólny wyjazd bez dzieci, czyli od 28 lat, kiedy się urodziło najstarsze z piątki naszych dzieci. To było niesamowite i takie inne. Pierwszy raz nie musieliśmy skupiać uwagi wyłącznie na dzieciach – nie rób tego, idź tam, zrób tamto... To był czas wyłącznie dla nas. Pojechaliliśmy do Inowrocławia, Torunia, Częstochowy, Krakowa. Może to śmiesznie zabrzmiało, ale był czas na spacer, pójście na lody. Nawet kwiaty od męża

dostałam, a w Ciechocinku poszliśmy na dancing!

– I mówiliście sobie, że to Wasz ostatni taniec?

– Zwariowałeś? Temat choroby i śmierci nie był obecny w naszym życiu. Może to nawet w Ciechocinku planowaliśmy, że na wakacje pojedziemy do Włoch. Na te wakacje, które dopiero przyjdą. Ale mąż zmarł w grudniu.

– Żyliście z chorobą męża nie uważając jej?

– Na tyle, na ile było można, staraliśmy się dać chorobie do zrozumienia, że ją ignorujemy. Ani razu nie rozmawialiśmy, że coś w naszym wspólnym życiu jest ostatnie. Mieliśmy plany, byliśmy pełni nadziei i wierzyliśmy, że wydarzy się cud, który pozwoli chorobę pokonać.

– I były takie momenty, kiedy wyglądało, że stanie się cud?

– Tak, to było w czerwcu ubiegłego roku. W wynikach badań było niemal zupełnie czysto. Czyli, że leki zadziałały, spowodowały zahamowanie choroby. Była nadzieja, że wszystko będzie się cofać.

– Euforia?

– Raczej dystans i olbrzymia nadzieja. Nie skakaliśmy pod sufit, ale dostaliśmy olbrzymi zastrzyk optymizmu, zapału, nowej energii. Nawet zaczęliśmy snuć długoterminowe plany inwestycyjne, choć zwykle planowaliśmy nie dalej niż na rok. Przełom nastąpił w listopadzie. Zygmunt złamał nogę, która nie chciała się zrastać i wtedy stało się jasne, że coś jest nie w porządku. Okazało się, że po chwilowej poprawie choroba wróciła do stanu pierwotnego. Może lek przestał działać, może organizm się na niego uodpornił?

– To był trudny moment?

– Przełomowy. Po raz pierwszy pojawiły się słowa „co by było gdyby...?”. Zygmunt nigdy nie powiedział „gdybym umarł”. Mówił raczej: „gdyby się coś popieprzyło”. No więc gdyby coś się popieprzyło, to dacie sobie radę. Starsze dzieci są samodzielne, młodsze radzą sobie w szko-

le, firmę przejmie Piotrek – generalnie rozdzielił nam zadania i naszkicował scenariusz życia na najbliższe pięć lat. Nic dziwnego – zawsze był motorem napędowym rodziny, wytyczał plany, które myśmy realizowali. Ale nie dlatego, że musieliśmy, tylko dlatego, że one były fajne. On je układał pod nas, a w realizacji był wymagający, konkretny i konsekwentny do bólu. No więc to, co nam zaproponował jako ostatni wariant, też jest fajne i da się zrealizować.

– Realizujcie ostatnią wolę Twojego męża, jego testament?

– Ani przez moment nie nazwałam tego testamentem. Ale opowiem coś innego. Zaraz po pogrzebie – którego rozmiary przekroczyły nasze najśmielsze wyobrażenia, bo musiała przyjechać policja, żeby kierować ruchem na ul. Nawojowskiej – wiele osób opowiadało mi, że śnił im się Zygmunt. A mnie się nie śnił i czułam się jakaś odrzucona i nawet miałam żal: to ja ci poświęciłam duży kawałek swojego życia, zdrowie, energię, a ty mnie nie chcesz odwiedzić w snach? Byłam rozżalona. I przyszedł sylwester, trzy tygodnie po pogrzebie. Siedzieliśmy całą rodziną w domu, a po fajerwerkach położyłam się do łóżka. Nie wiem, czy spałam, ale poczułam, jak biała chmura podąża w moim kierunku. Nie było to straszne, raczej przypominało bajkowego duszka Kacperka. Poczułam, że to jest Zygmunt. Nie napawało mnie to lękiem, było bardzo miłe. I ta chmura objęła mnie, otuliła całą, a ogromne napięcie, jakie towarzyszyło mi od pogrzebu, opuściło mnie. Poczułam absolutny spokój i odprężenie, takie jak w chwilach, kiedy Zygmunt mówił: „Nie martw się, bo kto da radę, jak nie my?” Obudziłam się wypoczęta jak nigdy wcześniej.

– I to wszystko bez tabletek?

– Przez cały trudny okres choroby i umierania mojego męża nie potrzebowałam tabletek uspokajających. To dzięki niesamowitej opiece duchowej wspomnianego już ojca jezuity Mirosława Jajko. Wszystkie obrzędy poprzedzające pogrzeb zawsze kojarzyły mi się z czymś bardzo smutnym i przygnębiającym. Nie wiem

dłaczego. Skoro jako katolicy wierzymy, że właśnie skończyła się ciężka ziemską wędrówka i przeszedł do lepszego świata, to skąd ten ogromny smutek?

– Chcesz powiedzieć, że zorganizowałaś mężowi wesoły pogrzeb?

– Sam się zorganizował. Oczywiście nie był radosny, ale na pewno nie miał atmosfery przytłaczającej smutkiem, jaka zwykle na pogrzebach bywa. Tutaj było inaczej. Nie chcę powiedzieć, żeśmy tańczyli, ale dzięki niezwyklej osobowości księdza Mirka już podczas różańca w domu czuło się spokój i ciepło zamiast przygnębienia. Spotkanie na wspólnej modlitwie sprawiło, że poczuliśmy się odprężeni i spokojniejsi, mimo trudnej psychicznej sytuacji. Poczuliśmy się bliżej siebie. Dzień później była msza w naszym domu, podczas której każdy – a przyszło mnóstwo ludzi – mógł coś powiedzieć o Zygmuncie. Ale nie były to patetyczne mowy ku czci, tylko nasze bardzo osobiste rozmowy o zmarłym i słowa kierowane do niego. Pogrzeb też był wyjątkowy. Te tłumy i 210 intencji mszalnych uzmysłowiły mi, jak ciepło i serdecznie Zygmunt był odbierany przez ludzi, którzy swoją liczną obecnością chcieli mu okazać szacunek i podziękowania za to, jaki był za życia.

– Jak się pożegnałaś z mężem?

– Nie było ostatniej rozmowy. Ostatnie trzy doby spędziłam w szpitalu. W nocy z niedzieli na poniedziałek stan się bardzo pogorszył i była konieczna operacja. Sam podpisał zgodę, a ja mu powiedziałam tylko: „Kochanie, będę tu czekać na ciebie, aż wrócisz z operacji”. I tak się stało. Spałam na krzesłach pod gabinetem ordynatora chirurgii. Była 3:30 w nocy, więc nikogo nie gorszyłam. Kiedy go przywieźli, był zmęczony narkozą, ale otworzył oczy, kiedy mówiłam mu, że wszystko się udało i teraz będzie już tylko dobrze. Odpowiedział: „Super” i spokojnie spał. Kiedy spojrzalam na zegarek, okazało się, że pora odwiedzić dzieci do szkoły. Uznałam, że skoro się tak ładnie wybudził i uśmiechnął, to znaczy, iż będzie dobrze. Wzięłam go za rękę, które miał

w gipsie od samoistnych złamań, i chwilę potem pojechałam do domu. Ledwie tam weszłam, dostałam telefon ze szpitala, że muszę wracać. Kiedy dojechałam, Zygmunt już nie żył. Bardzo się bałam tego momentu. Wiedziałam, że on nastąpi, a ja sobie psychicznie nie dam z tym rady. Ten trudny moment został mi oszczędzony, a dzieci – zamiast jak co dzień zawieźć do szkoły – zawiozłam do szpitala. Zygmunt już nie żył. Pożegnaliśmy się, tak jak umieliśmy, przytulając się wszyscy.

– Co wtedy pomyślałaś?

– Że jestem bardzo wdzięczna Bogu i losowi za ten nasz ostatni rok. Z jego perspektywy rozumiem fragment modlitwy „Od naglej, niespodziewanej śmierci, zachowaj nas Panie”. Myśmy obydwójce wiedzieli, że musimy się rozstać. Mieliśmy czas, żeby bez słów i patetycznych gestów powiedzieć sobie tak wiele. Przez całe życie wiedziałam i czułam się przy nim bezpieczna i kochana, a w tym ostatnim roku nie musiał mi nawet tego mówić. Po prostu byliśmy razem. Może poświęcaliśmy sobie trochę więcej czasu, może zwolniliśmy trochę w pracy. I chociaż przez ten rok nie padło coś w stylu „jestem ci wdzięczny/wdzięczna za całe życie”, po prostu wiedzieliśmy o tym i byliśmy razem.

– Pół roku później...

– To jest trudne poukładać sobie życie od nowa. Nie wiesz, ile drobnych rzeczy wiąże się z osobą, która odeszła. Nagle nie wiesz, gdzie leżą klucze do regulacji pieca, bo nigdy nikt poza tą osobą tego nie robił. Takich rzeczy są setki. Istnieje tysiące drobiazgów, za które jeszcze bardziej kochasz tę osobę, bo wcześniej tego wszystkiego nie musiałam wiedzieć. Bo to po prostu było zrobione. Pół roku po śmierci Zygmunta mogę powiedzieć, że kocham go jeszcze bardziej za to, że nie zostawił po sobie życiowego bałaganu, że wszystko miał uporządkowane. Ile razy idę na cmentarz, tyle razy myślę, że dopiero teraz chciałabym mu powiedzieć, jak bardzo go kocham.



Trzy Korony

- 120 SKLEPÓW
- MIEJSCE SPOTKAŃ
- RESTAURACJE
- ZAKUPY
- KINO
- ROZRYWKA
- SPORT



Galeria Trzy Korony
ul. Lwowska 80, 33-300 Nowy Sącz
galeriatrzykorony.com.pl

Skrócony poradnik dobrego biznesu

Na styku epok

Rozmowa z **Kazimierzem Pazganem**, prezesem Konspol Holding

– Panie prezesie, czy mógłby Pan...

– Przepraszam, możemy choć na chwilę odwrócić sytuację i czy to ja mógłbym zacząć od zadania pytania?

– Proszę pytać.

– Dlaczego wydawca książki, fundacja Pomyśl o Przyszłości jest przekonana, że znam sekret dobrego biznesu?

– Jest Pan najdłużej działającym na rynku sądeckim przedsiębiorcą, od 40 lat prowadzi Pan własną działalność gospodarczą, zbudował Pan wielką firmę odnoszącą sukcesy w Polsce i za granicą. Kto więc lepiej miałby znać ten sekret?

– Ale dzisiaj to ja miałem zadawać pytania. Żartuję... No dobrze, powiem tak: proszę mi uwierzyć, że nie trzymam w sejfie tajemnej receptury na sukces w biznesie, której strzegę przed światem jak oka w głowie, bo każdy, kto wejdzie w jej posiadanie i zastosuje w praktyce mój przepis, szybko i bezboleśnie osiągnie sukces. Nic bardziej mylnego. I to jest już część odpowiedzi na nasze pytanie. Ale tylko jej część, bo sam chętnie przy tej okazji, poszukam odpowiedzi na pytanie: czy istnieje uniwersalna recepta na sukces biznesowy? Powiedzmy, że ów sekret, to zespół indywidualnych cech, którymi musi się charakteryzować każdy przedsiębiorca. Albo je masz i twoje szanse na skuteczne działanie w biznesie są spore, albo nie masz takich cech i wiadomo, że będzie ci znacznie trudniej. Nie ma jednego modelu pozwalającego w cudowny sposób osiągnąć sukces, jako przedsiębiorca. Są oczywiście uniwersalne wzory ekonomiczne podpowiadające, według jakich reguł finansowych prowadzić

przedsiębiorstwo, by odniosło powodzenie. Tego uczą na studiach z zarządzania i ekonomii. To oczywiście szalenie ważne, by wiedzieć, jakie prawidła rządzą gospodarką, wolnym rynkiem i każdym przedsiębiorstwem, ale czy wyuczenie się tych zasad jest gwarancją osiągnięcia sukcesu? No i znowu odwróciliśmy rolę, to ja pytam.

– Kiedy ponad czterdzieści lat temu uruchamiał Pan swój pierwszy biznesowy pomysł, nie miał Pan w szufladzie dyplomu studiów ekonomicznych, a zarządzania przedsiębiorstwami nikt w Polsce nie uczył. Chce Pan przez to powiedzieć, że taka wiedza nie jest do sukcesu konieczna?

– Absolutnie nic takiego nie powiedziałem i nigdy bym nie powiedział! Ale na moment jeszcze wróć do tego, o czym mówiliśmy przed chwilą. Przedsiębiorca to w pierwszej kolejności zespół cech charakteru. To już ustaliliśmy i to dyskusji nie podlega. Najlepiej jednak, jeśli te cechy charakteru uzupełnione są solidną wiedzą teoretyczną. Oczywiście ja jestem praktykiem i na własnej skórze uczyłem się biznesowego abecadła. Pamiętajmy jednak, że nauka „na własnej skórze” jest najbardziej bolesna. Nie chcę już wracać do czasów najdawniejszych, o których wielokrotnie opowiadałem, czyli kwaciarni, jaką prowadziłem z żoną na Dolnym Śląsku. Zresztą przykłady z okresu PRL-u nie są dzisiaj najlepsze, bo w tamtych czasach brakowało na rynku niemal wszystkiego i pewnie uruchomienie każdego biznesu musiało się skończyć sukcesem. Brzmi niewiarygodnie? Dla młodszych być może tak, ale ciągle bardzo wiele osób pamięta taką

sytuację z własnego doświadczenia. Problem w tym, że ówczesny system nie chciał się z tzw. prywaciarzami tym sukcesem dzielić, choć sam nie umiał z tej dziwacznej sytuacji skorzystać i wyciągnąć profitów ekonomicznych. Dzisiaj odwrotnie – każdy może próbować robić biznes, ale niewielu ma gwarancję powodzenia. Dlaczego?

– Bo nie każdy zna sekrety dobrego biznesu!

– No dobrze, ale ja nie znałem tego sekretu, a jednak do jakichś tam wyników doszedłem.

– Panie prezesie, bez fałszywej skromności! Każdy, kto zaczyna biznesową karierę, chciałby dojść do takich, jak Pan to powiedział, „jakichś tam wyników”. Jednak to Pan jest często przedstawiany, jako modelowy przykład skuteczności w biznesie.

– Często słyszę, że jestem „ikoną” sądeckiej czy nawet polskiej przedsiębiorczości. Jest to miłe, choć osobiście uważam, że najodpowiedniejszym miejscem dla ikon są świątynie albo muzea, a ja ciągle najlepiej się czuję we własnej firmie. Byłbym nieszczerzy, gdybym powiedział, że uznanie czy docenienie przez środowisko gospodarcze nie jest to dla mnie ważne. Jest ważne, ale z drugiej strony chyba jednak nie jestem typowym przykładem biznesowej kariery. Oczywiście miło mi słyszeć, kiedy jestem dziś nazywany prekursorem sądeckiego kapitalizmu czy ojcem sądeckiej przedsiębiorczości. Pewnie mniej przyjemne było doświadczenie samemu wszystkiego, czego można było zakosztować prowadząc biznes na styku historycznych epok: w Polsce socjalistycznej, mniej lub bardziej



FOT. ARCH. K. PAZGANA

oficjalnie zwalczającej prywatną przedsiębiorczość, i w Polsce czasów raczkującego wolnego rynku. A wykuwanie się gospodarki rynkowej w naszym kraju do szczególnie łatwych momentów nie należało. Swoją firmę budowałem w niesprzyjających takim przedsięwzięciom czasach, byłem jednym z pierwszych, którzy dopiero wydeptywali ścieżki wolnego rynku. Wiadomo, pierwsi mają najgorzej, bo muszą w dżungli wyrąbywać drogę dla innych. W pewnym okresie życia kosztowało mnie to zrujnowanie zdrowia i cztery zawały serca, więc

nie chciałbym powiedzieć, że jestem przykładem typowym. Te zawały zapisuję dziś po stronie kosztów prowadzenia firmy w skrajnie trudnych warunkach systemu politycznego, zwalczającego takich szaleńców jak ja. Pewnie do żadnego biznesu i własnej działalności gospodarczej nie da się podchodzić bez emocji, ale chyba lepiej, żeby tych złych emocji było jak najmniej. No więc, jeśli szukamy tego złotego środka, tego sekretu dobrego biznesu, to na pewno wymienilibym tu umiejętność zachowania pewnych proporcji w emocjach, jakimi obda-

rzamy nasze przedsięwzięcie. Łatwo powiedzieć...

– „Młody przyjacielu, jeśli chcesz osiągnąć biznesowy sukces, zachowaj zdrowy dystans, do tego, co robisz” – to pierwsze przykazanie sekretu dobrego biznesu?

– Ojej! Tym, którzy patrzą z boku na nasze poczynania, łatwo mówić „nie emocjonuj się tak bardzo, przecież będzie dobrze”. Jednak każdy, kto chociaż trochę próbował swoich sił w biznesie, wie, że do tych spraw nie da się podchodzić obojętnie. Jeśli

Często słyszę, że jestem „ikoną” sądeckiej czy nawet polskiej przedsiębiorczości. Jest to miłe, choć osobiście uważam, że najodpowiedniejszym miejscem dla ikon są świątynie albo muzea, a ja ciągle najlepiej się czuję we własnej firmie.

coś robisz na poważnie, zawsze angażujesz się całym sobą, żyjesz swoim przedsięwzięciem całą dobę, nigdy nie masz od niego urlopu albo chorobowego. Ci, którzy prowadzą własne firmy, dobrze wiedzą, co mam na myśli. I nie zrozumcie mnie źle, po prostu od tej pracy nigdy nie ma wolnego. Nawet, jeśli akurat leżysz na plaży albo chodzisz z plecakiem po górach.

– Brzmi dziwnie, żeby nie powiedzieć przewrotnie. Leży Pan sobie na plaży i męczy się tym leżeniem?

– Bzdura! Kiedy twoja praca jest twoją pasją, nigdy się nią nie męczysz! No więc z jednej strony odpowiedzialność za twój projekt biznesowy, za zatrudnionych ludzi nigdy nie zwalnia cię od myślenia o firmie, a z drugiej strony ta troska, konieczność nieustającego ulepszania tego, co zbudowałeś, nigdy cię nie męczy i nie jest utrapieniem. Dobremu gospodarzowi sprawia radość, kiedy widzi, że jego firma się rozwija, a pomysł okazał się dobry.



FOT. ARCH. K. PAZGANA

– Pomysł jest najważniejszy?

– Pomysł jest bardzo ważny. Ale jeszcze ważniejsza jest umiejętność korygowania własnych błędów, przyznawania się do nich przed samym sobą, a co za tym idzie nieustannego poprawiania pomysłu, który był na początku. Codziennie, na każdym etapie pracy, możemy coś ulepszać.

– W jakimś wywiadzie przed laty powiedział Pan, że najtrudniejszy jest pierwszy rok działalności. Ale jeszcze trudniejszy jest drugi rok, a trzeci jest jeszcze trudniejszy od dwóch poprzednich.

– Nie pamiętam, czy dokładnie tak powiedziałem, ale pewnie miałem na myśli fakt, że w biznesie nieustająco może nam towarzyszyć niepewność. I nic w tym złego, bo ona nie pozwala nam spocząć na laurach czy zachłysnąć się sukcesem. Tak więc, w prowadzeniu biznesu może towarzyszyć nam przekonanie, iż oto właśnie w tej chwili jesteśmy w najtrudniejszym momencie. No, bo nawet, jeśli modelowo rozwijamy firmę, to przecież osiągnięty sukces nie jest nam dany raz na zawsze. Mała firma zmagą się z różnymi problemami, ale wielka firma również nie jest wolna od kłopotów. Powiedział-

bym, że te zagrożenia rosną wraz z firmą. Czujny przedsiębiorca zdaje sobie z nich sprawę i już sama ta świadomość jest fragmentem sekretu dobrego biznesu.

– Ale tylko fragmentem...

– No tak, bo reszta to pomysł, konsekwencja, ciężka praca i odrobina szczęścia. Niekoniecznie w tej kolejności.

– Na początku powiedział Pan, że nie istnieje coś takiego jak sekret czy też recepta na udany biznes, a teraz Pan ten sekret zdradził.

– Na tej samej zasadzie mogę zdradzić kilka innych sekretów. Znam też sekret, jak zdobyć złoty medal mistrzostw świata w biegu na sto metrów.

– Jak go zdobyć?

– Trzeba przebiec sto metrów szybciej niż wszyscy inni zawodnicy na świecie. Proste?

– Proste. Kto więc zjadł już parówkę z Konspolu, może iść trenować biegi na sto metrów. Pan chyba jednak woli znacznie dłuższe dystanse. Firma Konpol – najstarsze prywatne przedsiębiorstwo Sądeckizny – zamiast cieszyć się stabilną sytuacją

i wypracowaną przez ponad 30 lat pozycją na rynku, nieustannie angażuje się w kolejne inwestycje. Potrzebny Panu nowy stres i kłopoty?

– To nie są żadne kłopoty! To jest właśnie to, co najbardziej lubię. Po prostu robimy kolejne milowe kroki naprzód, bo przecież, kto stoi w miejscu i zadowala się dotychczasowymi osiągnięciami, ten się cofa. Rozwój firmy od zawsze wpisany był w naszą strategię, dlatego teraz korzystając z naszych wieloletnich doświadczeń, z każdym dniem tworzymy nowy rozdział w historii naszego przedsiębiorstwa. Rozbudowujemy nasze moce produkcyjne w kraju, inwestujemy na Dalekim Wschodzie, bo jeśli tego wszystkiego nie zrobimy, to znaczy, że okopaliśmy się na dotychczas zdobytych pozycjach. Przecież nie zdradzę sekretu dobrego biznesu, jeśli powiem, że przegrywa ten, kto się zatrzymał w pół kroku.

– Niedawno odebrał Pan tytuł Honorowego Obywatela Nowego Sącza. To ważne wyróżnienie dla kogoś, kto w swoim życiu zebrał dziesiątki nagród i tytułów?

– Bardzo ważne, najważniejsze! Proszę zauważyć, że po raz pierwszy w historii tytułem tym uhonorowano przedsiębiorcę i to na dodatek w roku 25-lecia wolności Polski. Przyszedł moment, kiedy zauważamy, jako społeczeństwo, jak ważna jest dla nas gospodarka. Dla mnie ma to znaczenie szczególne. Powiem nawet, że odbierając ten tytuł, byłem szczerze wzruszony, czego pewnie nawet nie potrafiłem dobrze ukryć. Dlaczego? Bo był taki czas, kiedy w mediach próbowano mnie przedstawić jako wroga publicznego, tego, kto swoją działalnością chce rozwalić od środka system socjalistyczny. Proszę mi wierzyć, że to nie jest przyjemne, kiedy ludzie na twój widok przechodzą na drugą stronę ulicy, bo przyznawanie się do znajomości ze mną mogło być powodem kłopotów. Dlatego trzydzieści lat później wzruszyłem się, że w tym samym mieście uznano, iż jednak znajomość z Pażganem to honor.

Historia miłości, w którą trudno uwierzyć

I że cię nie opuszczę nawet po śmierci

Małżeństwo z 75-letnim stażem, o którym pisaliśmy w styczniu na łamach „Dobrego Tygodnika Sądeckiego”, wzbudziło ogromne zainteresowanie i zdobyło wielką sympatię naszych Czytelników. Taką piękną miłość, jaka była udziałem państwa Sułowiczów, chciałby przeżyć chyba każdy. Niestety jubilaci nie cieszyli się długo brylantowymi godami. Najpierw w marcu zmarła 98-letnia pani Anna. Niemal miesiąc później zmarł dwa lata młodszy pan Eugeniusz. Z tęsknoty za ukochaną żoną.

Kochany mężu, wróciłeś

Anna i Eugeniusz Sułowiczowie obchodzili w styczniu niezwykle jubileusz małżeński, brylantowe gody. Swoją rocznicę ślubu uczcili uroczystą mszą świętą w kościele parafialnym w Mogilnie. Prosta i poruszająca historia ich skromnego życia, a nade wszystko czulej zwyczajnej-niezwykłej miłości, urzekła tysiące naszych Czytelników.

Małżeństwo wychowało 5 dzieci, doczekało się 9 wnuków i 16 prawnuków.

– *W ich domu było zawsze rodzinie i ciepło. Bardzo się kochali. Pamiętam, jak dziadek wrócił ze szpitala, to babcia rzuciła mu się na szyję i powiedziała: Kochany mężu, nareszcie wróciłeś* – opowiada 12-letni wnuk Tobiasz Sułowicz.

Czule gesty

Państwo Sułowiczowie mieli swój codzienny rytuał, pani Anna przygotowywała mężowi śniadanie, później razem pili kawę i prowadzili długie rozmowy. Naszych Czytelników



ków wzruszyły codzienne czule gesty małżonków, jak choćby otulanie męża kocem, żeby nie zmarł wieczór.

– Odnosili się do siebie z czułością. Byli małżeństwem pogodnym i spokojnym. Wspierali się nawzajem w wielu sprawach. Kiedy za młodu wuj udzielał się społecznie, ciocia nie skarżyła się, że ma więcej obowiązków w domu czy na gospodarstwie, nigdy nie narzekała. Zawsze mówiła, że praca uszlachetnia. Kiedy jeździł na zebrania, ona czekała cierpliwie jak wróci i razem pracowali w polu. Wuj oczywiście pomagał jej jak mógł, później jak był mniej aktywny w gminie, starał się po równo dzielić z żoną obowiązki. Ciocia na przykład opiekowała się domowym ptactwem, on doił krowy. Przyjęli siebie takimi, jakimi byli i nie zauważali swoich wad. Troszkę się droczyli, ale nigdy się nie obrażali na siebie. Nie słyszałam, żeby kiedykolwiek podnieśli na siebie głos – wspomina bratanica państwa Sułowiczów, Halina Stojek.

Żyli w zgodzie

Państwo Sułowiczowie starali się nie tylko żyć w zgodzie ze sobą, ale również z sąsiadami. Eugeniusz Sułowicz jak przewodniczący Gromadzkiej Rady Programowej był bardzo oddany sprawom wioski. Jako radny był zaangażowany w wiele działań na rzecz rozwoju gminy. Miał również wkład w rozwój Gminnej Spółdzielni czy Banku Spółdzielczego. Za swoją działalność otrzymał wiele odznaczeń, m.in.: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi czy tytuł „Zasłużony dla gminy Korzenna”.

– To był naprawdę uczynny człowiek, dbał o naszą wioskę, każdemu

starał się pomagać. W ówczesnych czasach były bardzo trudne warunki mieszkaniowe. Pomógł nam w zdobyciu cegieł na budowę naszego domu, bo chciał, żeby choć jeden z nauczycieli na stałe zaaklimatyzował się w wiosce – wspomina była dyrektorka miejscowej szkoły Maria Gniadecka.

Modlili się i pracowali

Anna i Eugeniusz Sułowiczowie pobrali się w 1941 roku. Były to trudne wojenne czasy. Nie zrażali się ani okupacją, ani biedą. Robili swoje, pracowali na swoim siedmiohektar-

Jest takie powiedzenie: módl się i pracuj a będziesz zbawiony. To ich jednoczyło. Oni byli z innej gliny ulepieni. To, co ich łączyło, to przede wszystkim zgoda i szacunek, pielęgowali te piękne wartości do końca swoich dni.

rowym gospodarstwie i budowali dom. Mimo trudów życia, nie skarżyli się, tylko ze skromnością i niebywałą pokorą przyjmowali to, co im przynosił los.

– Jest takie powiedzenie: módl się i pracuj, a będziesz zbawiony. To ich jednoczyło – zauważa siostrzeniec Mieczysław Górka. – Pięknie kultywowali wartości swoich przodków. Najważniejsza była dla nich modlitwa, wieczorem wspólnie do niej klękali. Podkreślali, że wszystko zależy od Boga. Bardzo poważnie pod-

chodzili do przysięgi małżeńskiej, która mówi o miłości, wierności i uczciwości. Chcieli to wszystko do końca dotrzymać i dotrzymali. Doczekali się 75-lecia małżeństwa, co jest ewenementem nie tylko na skalę krajową, ale też światową.

Dla małżonków ważna była żywa wiara, dlatego największe zaufanie mieli do modlitwy.

– Oni byli z innej gliny ulepieni. To, co ich łączyło, to przede wszystkim zgoda i szacunek, pielęgowali te piękne wartości do końca swoich dni. Dziś taka miłość zdarza się bardzo rzadko – dodaje Halina Stojek. – Teraz świat bardzo pędzi, byle jaki kłopot i już się małżeństwo rozpada, a oni, jak pojawił się problem, to wspólnie klękali do modlitwy. To pomagało im w przezwyciężeniu wszelkich przeciwności losu.

Jedno bez drugiego żyć nie mogło

Halina Stojek podkreśla, że Anna Sułowicz wymodliła sobie tak spokojną i piękną śmierć. Rano, 5 marca, tradycyjnie zrobiła śniadanie, zaparzyła kawę, usiadła na krześle i zasnęła na wieki.

– Często modliła się do Matki Bożej. Kultywowała pierwsze soboty i właśnie w pierwszą sobotę miesiąca Matka Boża zabrała ją do siebie – wspomina. – Z kolei w poniedziałek po Niedzieli Miłosierdzia zmarł wuj. Bardzo przeżywał śmierć żony. Byli przecież tak blisko ze sobą. Jak odeszła, to... poszedł za nią. Jedno bez drugiego nie mogło zbyt długo funkcjonować, dlatego jak najszybciej chcieli się ze sobą spotkać po drugiej stronie życia...

DTS 16 (285) 21.04.2016



Wydawca: Wydawnictwo DOBRE sp. z o.o.
33-300 Nowy Sącz, ul. Żywiecka 25.
ISSN 2082-209X.

www.wydawnictwodobre.pl

Redakcja: „Dobry Tygodnik Sądecki”, www.dts24.pl,
tel. 18 544 64 41, redakcja@dts24.pl

Redaktor naczelny Wydawnictwa Dobre: Wojciech Molendowicz, w.molendowicz@dts24.pl

Z-ca redaktora naczelnego ds. tygodnika DTS: Jolanta Bugajska, j.bugajska@dts24.pl

Z-ca redaktora naczelnego ds. portalu dts24: Iwona Kamińska, i.kaminska@dts24.pl

Redaktor senior: Jerzy Wideł

Redaguje Zespół: Alicja Augustyn, Jacek Bugajski, Katarzyna Gajdosz-Krzak, Klaudia Kulak, Kinga Nikiel-Bielak, Krystyna Pasek, Natalia Sekuła, Remigiusz Szurek.

Tel. dziennikarzy dyżurujących: 508 657 107, 513 393 275, 516 169 871

Dyrektor Biura Reklam i Ogłoszeń: Katarzyna Magiera,
k.magiera@dts24.pl, tel. 530 032 633

Biuro Reklam i Ogłoszeń: Beata Ziemia, b.ziemia@dts24.pl, tel. 889 020 766;
Dorota Zajac-Legutko, d.zajac@dts24.pl, tel. 785 340 410.

Dyrektor Biura Wydawnictwa: Bożena Baran, b.baran@dts24.pl, tel. 530 878 909.

Dyrektor ds. kolportażu: Mateusz Węglowski-Król, tel. 665 270 230.

Skład: IPRESS STUDIO, Chelmiec, ul. Marcinkowska 7a, www.ipress.pro

Druk: Netrium sp. jawna, Nowy Sącz, ul. Naściszowska 63b, biuro@netrium.pl

Autorzy tekstów w tym wydaniu DTS: Anna Bugajska, Jolanta Bugajska, Monika Chrobak, Katarzyna Kachel, Iwona Kamińska, Jerzy Leśniak, Wojciech Molendowicz, Kinga Nikiel-Bielak, Kaja Olszewska, Jerzy Wideł.

3x3 mnożymy korzyści



RAL 7022



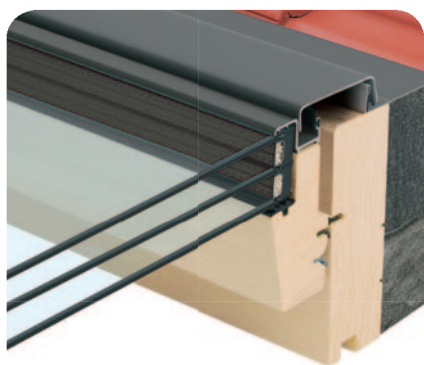
RAL 7016



RAL 9005



Energooszczędne okno trzyszybowe **FTP-V U5**



3 SZYBY

Trzyszybowe okno dachowe dające realne oszczędności na ogrzewaniu.

Współczynnik przenikania ciepła FTP-V U5, z kołnierzem Thermo; $U_w=0,86 \text{ W/m}^2\text{K}$.

3 KOLORY OBLACHOWANIA

Trzy nowoczesne kolory obłachowania do wyboru w standardowej cenie.

3 TECHNOLOGIE MALOWANIA DREWNA

Trzy technologie wykończenia drewnianych ram. Drewno malowane bezbarwnym lakierem akrylowym, białym lakierem akrylowym lub białym lakierem poliuretanowym. Okna dostępne w standardowej ofercie.

Więcej korzyści na www.fakro.pl

 **FAKRO**[®]

Jak zapoczątkowano w Kościele kult Miłosierdzia Bożego

Sądecki spowiednik św. Faustyny

Rozmowa z **Czesławem Bogdańskim**, sądeckim przedsiębiorcą, propagatorem kultu jezuity o. Józefa Andrasza

– Będziemy mieli pierwszego świętego z sądeckim rodowodem?

– Powoli! Nie możemy jeszcze tak powiedzieć, bo procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne są długie, wymagają cierpliwości oraz pokory. A pokora w takich sprawach jest sprawą fundamentalną. Cieszę się, że coraz więcej ludzi modli się prywatnie o świętość kapłanów, o łaski przez jego wstawiennictwo. Modlitwy te mają imprimatur Kurii w Tarnowie. Powiększa się grono osób konsekrowanych i świeckich wspomagających i propagujących osobę, posługę ojca Józefa Andrasza, Beatyfikacja, kanonizacja – ich orzeczenie, którego dokonuje papież, należy do Kościoła katolickiego. Ufam, że tak się stanie, ale proces beatyfikacyjny jeszcze się nie zaczął.

– Dlaczego właśnie ojciec Andrasz?

– Droga dojrzewania do takiej inicjatywy była długa i składała się z wielu etapów. Często w takich przypadkach uzasadniamy osobę kandydata na ołtarze argumentując: ze względu na heroiczność cnót. To bardzo ważne, po to jest proces. W tym konkretnym przypadku, jest równie ważne, że to spowiednik i kierownik duchowy siostry Faustyny, późniejszej świętej. Pod kierunkiem ojca Andrasza powstał słynący łaskami obraz Chrystusa Miłosiernego pędzla Adolfa Hyły, najbardziej znany dziś na świecie wizerunek Zbawiciela. To również dzięki sądeckiemu jezuitcie zapoczątkowany został w Kościele kult Miłosierdzia Bożego

(Łagiewniki 1943 r.). Józef Andrasz w końcu był autorem pierwszej – spisanej ręcznie – biografii siostry Faustyny. On wysłał po śmierci siostry Faustyny jej współsiostry zakonne do miejsc i osób, gdzie się wychowywała, pracowała z konkretnymi pytaniami. Wszystko zostało bardzo dobrze udokumentowane, całe zeznania rodzeństwa, matki, rodziny,

niczku zaś wielokrotnie pada nazwisko ojca Józefa Andrasza. Jak przez mgłę kojarzyłem, że ten kapłan związany był mocno z Nowym Sączem – urodził się w Wielopolu, ochrzczony był w Wielogłowach, a potem przez lata mieszkał tu z rodziną. Na tamtym etapie wiedziałem jeszcze tylko, że był spowiednikiem i kierownikiem duchowym św. Fau-

Był spowiednikiem i kierownikiem duchowym siostry Faustyny, późniejszej świętej. Pod kierunkiem o. Andrasza powstał słynący łaskami obraz Chrystusa Miłosiernego pędzla Adolfa Hyły, najbardziej znany dziś na świecie wizerunek Zbawiciela. To również dzięki sądeckiemu jezuitcie zapoczątkowany został w Kościele kult Miłosierdzia Bożego.

sąsiadów, kapłanów, sióstr zakonnych. Dzięki temu, mimo znanych trudności, siostra Faustyna mogła zostać świętą.

– Od Pana w Nowym Sączu rozpoznał się prywatny kult ojca Andrasza, szerzący się dzisiaj w całej Polsce i za granicą?

– To za duże słowa, jest ktoś nad nami, kto to inicjuje. Od lat organizujemy z żoną i dziećmi pielgrzymki do Medjugorie, a tam spotykaliśmy się z zachętą, orędziami, by modlić się za kapłanów. Zaczęliśmy się za nich modlić. Jakiś czas później kupiłem „Dzienniczek św. Faustyny” na audiobooku i słuchałem go w samochodzie. W dzien-

styny. Już to było dla mnie inspirujące i działało na wyobraźnię. Potem ze zdumieniem odkryłem, iż w „Dzienniczku św. Faustyny” sam Jezus wyowiada się o ks. Andraszu, że jest miły jego sercu, aby go słuchała, bo to on poprowadzi ją do świętości. Zaczął się mi jawić jako taki „wzorzec masy” – wzorzec posługi kapłańskiej.

– W wyobrażeniu przeciętnego katolika proces beatyfikacyjny czy kanonizacyjny wydaje się sprawą duchownych, a nawet samego papieża, który kogoś wynosi na ołtarze. Cóż więc – przepraszam za określenie – szeregowemu świeckiemu, do starań o uznanie kogoś błogosławionym albo świętym?



Józef Andrasz z matką i rodzeństwem

FOT. ARCH. STOWARZYSZENIA WIELOPOLE

– Też miałem kiedyś takie wyobrażenie, a jednak nic bardziej błędnego! Inicjatywa kultu powinna wychodzić właśnie od osób świeckich. Być może w powszechnej świadomości to nie funkcjonuje, ale taki impuls powinien być oddolny, pochodzić od wiernych Kościoła. To wiem teraz, do pewnego momentu również błędziłem w tych sprawach. Kilkukrotnie złapałem się na tym, że z pozycji roszczeniowej pytaliśmy m.in. jezuitów: Dlaczego nic się nie dzieje w sprawie beatyfikacji ojca Józefa Andrasza? To była niedobra postawa i musiałem sobie uświadomić, że sam nie przyłożyłem palca do tej pracy. Na moje pytanie, dlaczego nic się nie dzieje w tym kierunku, o. Józef Polak, proboszcz sądeckiej parafii Ducha Świętego, odpowiedział precyzyjnie: „Nie ma kultu”. Teraz jednak powiedziałbym raczej: Nie było kultu.

– Na czym polega praca, której efektem ma być beatyfikacja i kanonizacja kandydata na ołtarze?

– Zawsze najlepiej zacząć od modlitwy. W naszym przypadku to modlitwa „O świętość kapłaństwa i chwałę Bożego Miłosierdzia przez wstawiennictwo ojca Andrasza”. Modlitwa powstała jako owoc adoracji Jezusa Miłosiernego w męskim gronie. Było to podczas peregrinacji obrazu Jezusa Miłosiernego w Królowej Górnej. To był początek. Po pierwszych publikacjach w internecie odezwała się do mnie pani Elżbieta Andrasz z Olsztyna, propagatorka postaci o. Józefa na północy Polski. Jak się okazało, kuzyn naszego jezuity w latach 20. XX wieku z legionami Piłsudskiego w ramach krzewienia polskości trafił do Wilna, a po łagrach i wojnie rodzina osiadła w Giżycku. Kuzyn zmarł na emigracji.

– W nazwisku Andrasz słychać wyraźną nutę węgierską.

– Zgodna, bo rodzina Andraszków wywodzi się z Węgier. Józef urodził się

w Wielopolu, ale po wczesnej śmierci ojca, czyli kiedy jeszcze był ok. 10-letnim chłopcem, rodzina – a miał on dziesięcioro rodzeństwa – przeniosła się do Nowego Sącza. Tu się zaczęło kształtowanie jego osobowości i dorozewanie. Więcej można przeczytać w biografii o. Andrasza „Spowiednik św. Faustyny” pióra o. dr. Stanisława Cieślaka. Z ciekawostek zachowanych w rodzinie, można dopowiedzieć, że jako dziecko chodził na roraty do jezuickiego kościoła Ducha Świętego i podczas tych rorat pierwszy raz zobaczył w Nowym Sączu światło. Iluminacja zrobiła na małym Józefie ogromne wrażenie, a w rodzinie żartowano, że nie dla nabożnych śpiewów chodził Józek do kościoła, ale dla prądu elektrycznego. W naturalny sposób Józef Andrasz związał się z jezuitami. W Nowym Sączu skończył ich kolegium, tzw. niższe seminarium, a w wieku 15 lat wstąpił do nowicjatu zakonnego w Starej Wsi k. Brzozowa. W marcu 1919 r. został wy-

święcony, więc, jak łatwo policzyć dokładnie za trzy lata będziemy obchodzić 100. rocznicę święceń kapłańskich o. Józefa Andrasza. W tych dniach mija rocznica jego mszy św. prymicyjnej w kościele Ducha Świętego w Nowym Sączu.

– Do pracy duszpasterskiej trafił jednak w Krakowie.

– A dodać trzeba, że ojciec Andrasz był człowiekiem tytanicznej pracy. Tak wspomina go siostrzeniec – doktor Jerzy Rudziński: „Zawsze odwiedziny rodziny łączył z udziałem w kongresach, głoszeniem konferencji i innymi spotkaniami”. W krakowskim kolegium jezuickim przy ul. Kopernika zajmował się m.in. tłumaczeniem dzieł mistycznych, stąd potem z dużą sprawnością prowadził takie dusze mistyczne jak siostra Faustyna. Józef Andrasz był zresztą pierwszym kapłanem, który już w 1933 r. powiedział jej, że wszystko, co się dzieje w jej duszy, jest działaniem nadzwyczajnej łaski Bożej i nie wolno się jej od tego uchylać. Inni kapłani mieli z wizjami siostry Faustyny wyraźne problemy. Wystarczy wspomnieć, że kiedy Faustyna zaraz po ślubach wieczystych trafiła do Wilna, to jej drugi kierownik duchowy ks. Michał Sopoćko skierował ją do psychiatry, chciał się uchylić od spowiadania Faustyny i jej zgromadzenia. Nie zdradził nikomu powziętej decyzji. Sama Faustyna podeszła i powiedziała mu, że Panu Jezusowi nie podoba się to, co postanowił. Wtedy nastąpiła zmiana, spełnił oczekiwania Pana Jezusa. Wizyta u psychiatry – nie ma się co gorszyć z tego powodu – patrząc z perspektywy czasu pomogła procesowi Faustyny. Wykluczyła dywagacje o jej chorobie psychicznej. Ks. Sopoćko od dziesięciu lat jest już błogosławionym, ostatnio został patronem Białegostoku. Jego relikwie trafiły do 600 miejsc w świecie. Powstaje na Litwie pierwszy kościół pod jego wezwaniem. Gdzie my jesteśmy Sądeczanie z naszym ojcem Andraszem? Czekają nas wiele pracy. Nadzwyczajny Rok Miłosierdzia sprzyja ojcu Andraszowi. Ojcowie

jezuici końcem roku wydali kolejną pozycję książkową ojca Andrasza, wspomniany rękopis „Życiorys świętej Faustyny”. W księgarniach jezuickich w Nowym Sączu są darmowe blankiety „Margaretkowe”, można się w ten sposób modlić za jego wstawiennictwem. Głosi się konferencje o nim.

– Na jakim etapie znajdują się przygotowania do procesu beatyfikacyjnego sądeckiego jezuity?

– Jesienią odwiedził Nowy Sącz prowincjał o. Jakub Kołacz, rozmawialiśmy o sprawie. Już rok wcześniej pobłogosławił on naszym działaniom w Mystkowie, gdzie z inicjatywy ks. prałata Józefa Głowy powstał pomnik ojca Andrasza. Prowincjał podczas uroczystego nabożeństwa go poświęcił. Sprawie błogosławia nasi księża biskupi z Tarnowa. Padają często pytania do nas, co o tym sądzą ojcowie jezuici? Podczas spotkania prowincjał Jakub Kołacz powiedział: „Proszę wszystkim mówić, że jezuici są na tak!”. Podjął też działania, aby stać się powodem wszczęcia procesu beatyfikacyjnego. Będzie się to działo w Krakowie. Po zakończeniu procesu na szczeblu diecezjalnym, akta trafią do Watykanu.

– Józef Andrasz byłby pierwszym błogosławionym z sądeckim rodowodem?

– Według mnie tak. Ojciec Papczyński, który niebawem zostanie ogłoszony świętym, pochodził z Podegrodzia, św. Kinga z Węgier, a o. Andrasz urodził się nieopodal, dorastał i chodził do szkoły w Nowym Sączu, całą rodziną był związany z naszym miastem. Tutaj – według zapisków – przed cudownym obrazem Matki Bożej Pocieszenia otrzymał powołanie, tu miał prymicje. Wielopole, gdzie urodził się ojciec Andrasz, częściowo należy do parafii w Zabelczu, to tutaj rozgorzał jego kult. Ludzie są tam dumni ze swojego rodaka, dbają o rozwój kultu. Podobnie jest w Olszance, Mystkowie, Królowej Górnej. Ojciec Andrasz jest najczęściej – bo 59 razy – wymienianym kapłanem w „Dzienniczku św. Faustyny”, a bł. ks. Michał Sopoćko 36 razy. Nie chodzi o antagonyzowanie, nie na tym polega świętych

obcowanie – kto lepszy. Musimy zadać sobie pytanie – co ja mogę zrobić, aby ojciec Andrasz zyskał należyte miejsce w Kościele? Czasami wystarczy wsparcie modlitewne, zaproszenie prelegenta do parafii. Modlitwy przez jego wstawiennictwo, film o ojcu Andraszu dostępny jest na www.krolowagorna.pl w zakładce o. Andrasz. Warto przywoływać jego wstawiennictwo w sprawach trudnych. Nieoficjalnie mogę powiedzieć, że pomógł już kilku osobom. O uzyskanych łaskach proszę przesłać informację do parafii. Potrzebne to będzie w procesie beatyfikacyjnym.

– We wniosku procesu beatyfikacyjnego istnieje jakieś główne zdanie, najważniejsza myśl takiego uzasadnienia? Postulujemy, aby o. Józef Andrasz został błogosławionym, ponieważ...

– Ponieważ – ale mówię to jako osoba prywatna, nieuprawniona do jakichkolwiek orzeczeń – przez swoją posługę doprowadził do chwały ołtarzy św. Faustynę, błogosławioną Anielę Salawę, błogosławioną siostrę Klemensę Staszewską. Był również kierownikiem duchowym i spowiednikiem dla Pauli Zofii Tajber założycielki Zgromadzenia Najświętszej Duszy Chrystusa Pana oraz siostry Kaliksty Piekarczyk ZMBM, która ofiarowała się jako żagiew ofiar na uratowanie Krakowa w czasie II wojny światowej. Powodem zaś procesu beatyfikacyjnego, bo tak się to fachowo nazywa, będą jezuici.

– Pan nie może zostać powodem procesu beatyfikacyjnego?

– Nie, ja nie mogę pełnić takiej roli. Jestem jedynie skromnym propagatorem postaci i kultu świątobliwego jezuity o. Józefa Andrasza. Wiem z prasy, że do marszałka Małopolski trafił zaś wniosek pana Józefa Zygmunta i chelmieckich radnych, by rondo pod Rdziostowem na nowej obwodnicy Nowego Sącza nosiło imię o. Andrasza. Być może Nowy Sącz, na dobry początek, mógłby pomyśleć choćby o tablicy pamiątkowej na ścianie domu, w którym mieszkał o. Andrasz.

LUMARO

STOLARKA ALUMINIOWA I PCV

**NOWOCZESNY DESIGN
Z GWARANCJĄ NA LATA**

Podrzecze 157, 33-386 Podegrodzie

e-mail: oferty@lumaro.eu ■ tel.: +48 18 547 42 51 / +48 665 402 403

SALAMANDER
WINDOW & DOOR SYSTEMS

 **ALUPROF**
ALUMINIUM SYSTEMS

 **Roto**



FOT. Z ARCH. I. I J. ŚWICARZÓW

Do czytania nie tylko na szlaku

Jak Irena i Jacek znaleźli dom blisko nieba

Irenie i Jackowi Świczarzom prima aprilis kojarzy się z nowym domem. 1 kwietnia w 1986 r. wprowadzili się do harcerskiego schroniska Bene pod Turbaczem. 1 kwietnia 1993 r. powitali Halę Łabowską. Tego samego dnia w 2001 r. zostali gospodarzami Stacji Narciarskiej Wierchomla. 1 kwietnia 2003 r. był ich pierwszym dniem na Cyrli: 844 metry nad poziomem morza, 467 metrów nad poziomem Rytra, dwie i pół godziny piechotą z Hali Łabowskiej. W prima aprilis 2017 r. nadal tam byli. Zawsze już chyba będą.

– Przywiał nas tutaj halny wiatr, kobiece marzenia i męska determinacja – mówi Jacek. – Szukaliśmy swojej polany i w końcu znaleźliśmy. Sprzedaliśmy nasze miejskie mieszkania ryzykując bezdomność i kupiliśmy, opuszczone od pięciu lat gospodarstwo rolne.

Zanim jednak znaleźli polanę, znaleźli siebie. Jacek był mieszczuchem z Dolnego Śląska, zmęczonym miejskim gwarem. Ciągnęło go do lasu, więc wybrał stosowne studia – leśnictwo. Irena to Biała Góralka z pogranicza Beskidu i Gorce. Jako

dziewczę z warkoczami była głodna wiedzy i pracy, której ideą jest niesienie kaganka oświaty pod strzechy. Zdobyła wszystko, po co poszła na studia – została nauczycielką geografii, a później dyrektorką szkoły.

Między nimi zagrało

Gdy Jacek, będąc jeszcze na studiach, dowiedział się, że poszukiwany jest gospodarz chatki Poznańskiej Akademii Rolniczej, nie zastanawiał się długo nad decyzją o urlopie dziekańskim. Uciekł z miasta w Gorce. Irena trafiła do tej samej chatki wraz

ze swoimi uczniami. Był wieczór. Pełnia. Chatar Jacek nie mógł spać. Usiadł na progu chatki i grał na flecie. Nikt nie mógł spać, gdy tak grał. Podopieczni Ireny namówili ją, żeby poszła do muzykanta, bo inaczej grać nie przestanie... Tak zrobiła. No i między nimi też zagrało.

Irena śmieje się, że zagrało dlatego, że w chatce nie było prądu, a blask świec i ogniska, przy którym siedzieli do rana, jest łaskawy dla urody.

Bene czyli dobrze

Ciut później w Tatrach na Rusinowej Polanie zdecydowali, że będą wędrować przez życie razem. Akurat pojawiła się oferta poprowadzenia górskiej stancyi harcerskiej Bene, a Jacek chciał uciec przed wojskiem. Bene było idealne na ucieczkę i na początek wspólnej drogi. Na rozmowę w sprawie pracy pojechali prosto z Tatr.

– *Wyglądaliśmy jak para kloszardów* – uśmiecha się Jacek do tego wspomnienia.

Irena chyba uratowała kiepską sytuację wizerunkową. Zostawiając rekruterom swój numer telefonu, uprzedziła, że choć może nie wygląda na dyrektorkę, połączenie odbierze sekretarka kierowanej przez nią szkoły.

Bene oznacza: „dobrze”. Świca-rzowie spędzili tam siedem dobrych lat. Gospodarząc, mając czas dla siebie, spacerując po szlakach, ucząc się gór, które mieli tuż za progiem, i ucząc się ludzi. W Bene było wszystko, czego potrzeba do szczęścia.

– *Nawet telewizor na agregat, ale nigdy nie wystarczyło nam ropy, żeby obejrzeć film do końca* – śmieje się Jacek. Nie rozpaczali z tego powodu. Zawsze byli bardziej ciekawi świata, który jest poza telewizorem, i ludzi, którzy przychodzili pod gościnny dach Bene zachwycić się wszystkim tym, co wokół i co wewnątrz.

Przydałby się chociaż kot

Młodzież, którą gościli niegdyś w Bene, wyrosła na dorosłych ludzi. Dziś ci ludzie przyprowadzają swoje dzieciaki na Cyrle. Ale, ale... jeszcze nie pora na Cyrle.

Gdyby nie bieda, Irena i Jacek pewnie spędziliby w Gorcach więcej lat, ale z jednej pensji gospodarza chaty ciężko było się utrzymać. Irena postanowiła pojechać na jakiś czas do Norwegii, gdzie w jeden dzień można było zarobić tyle, ile w Polsce przez miesiąc.

Jackowi nie było lekko. Siłował się z dwiema myślami: o samotności i o tym, że nie chce być na utrzymaniu Ireny. Drugie zmartwienie zachował na później. Pierwszym podzielił się z Ireną, wzdychnąwszy, że przydałby się przynajmniej kot... Nic nie mówiąc, tuż przed wyjazdem zamówiła więc u góralki w Nowym Targu rude kociątko, które miało wkrótce przyjść na świat.

Poszli dalej po marzenia

Gdy wróciła, zastała zamówionego kota w Bene. Jak się okazało – Jacek natknął się na tę samą góralkę. Gdy okazało się, że rudzielca zarezerwowała dziewczyna z warkoczami, a mężczyzna wylegitymował się fotografią tej dziewczyny, kocur został wydany.

Jacek czekał z jeszcze jedną niespodzianką.

– *Bierzemy schronisko na Hali Łabowskiej* – zakomunikował. Z płaczem zamykali za sobą drzwi Bene, ale trzeba było iść dalej po marzenia...

Na Hali Łabowskiej było swojsko, pięknie i niełatwo. Poprzedni właściciel zrezygnował. Nie radził sobie. Było więc wyzwanie. Prąd tylko z agregatu, a woda od czasu do czasu. Kuchnia bez lodówki! A schronisko bez ludzi. Ludzie przechodzili obok, nie zaglądając. To było największe wyzwanie. Irena zabrała się za urządzenie ogrodu. Turyści chyba wiedzą, że ludzie, którzy lubią ogrody, zwykle też lubią ludzi. To pomogło. Zaczęli zaglądać. Schronisko wypiękniało, wypełniło się gwarem.

Uciekajcie, uciekajcie...

Pewnego dnia zdarzyło się coś, co zakłóciło bieg zdarzeń. Zaczęło straszyć.

– *Nie wiem, czy ta opowieść nadaje się do gazety* – śmieje się Jacek. Zapewniony, że „Dobry Tygodnik Sądecki” dobrze wie, że są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom, opowiada jak o czwar-

tej nad ranem obudził go niezwykle niepokój i głos dobiegający jakby spod ziemi: Uciekajcie! Irena też słyszała to samo. Za drugim razem głos powiedział szeptem: Uciekajcie. Był tuż obok nich. Gdy zaświecili światło, zobaczyli tylko kota z sierścią najeżoną strachem.

Jacek próbował przekonywać sam siebie i Irenę, że to było przywidzenie. Ale następnej nocy znów usłyszeli wezwanie do ucieczki. Nad ranem zadzwonili do znajomego Zbyszka, który działa w Towarzystwie Psychotronicznym. Przyjechał. Swoimi sposobami znalazł prawdopodobną przyczynę. W szufladzie biurka, pod stertą rachunków leżał nieśmiertelnik znaleziony w lesie. Gospodarze najwyczajniej w świecie zapomnieli o znalezisku, które wrzucili do szuflady. Blaszką miała wyryte cyrylicą imię, nazwisko i rok: 1915. Zbyszek poradził, żeby zakopać. Tak zrobili. Głos nie odezwał się więcej.

Szukali swojej polany

Przez osiem lat gospodarzyli na Łabowskiej. Praca dla PTTK pozwalała tylko na skromne wytrwanie od pierwszego do pierwszego, więc propozycja prezesa pobliskiej stacji narciarskiej, jaką otrzymali, skusiła ich do zejścia na dół. Pożegnali się z PTTK, ale nie wytrzymali długo w Wierchomli. Było tam zbyt tłoczno, zbyt dużo ludzkich kłótni w kolejce po karnety i zbyt na dole. W pewnej mądrej księdze napisano: Szukajcie, a znajdziecie. Irena i Jacek szukali swojej własnej polany. Znaleźli i kupili.

Najpierw Cyrle była dzikim polem namiotowym z cennikiem „co ła-ska”. Powoli, kosztem mnóstwa wyrzeczeń, stawała się wymarzoną domem. Dla Ireny, Jacka, psów, kotów i turystów. Gospodarze zamieszkali tutaj, gdy nie było jeszcze ani prysznic, ani WC, ani podłóg... Po roku Jacek doprowadził wodę, którą trzeba było ręcznie pompować.

Gościnne miejsce dla wszystkich

Odmienili stary dom nie do poznania. Dobudowali więcej niż dru-

gie tyle. Przed domem jest ogród pachnący latem ziołami, a dalej las, w którym rosną grzyby na najlepszą na świecie zupę borowikową. Między domem, ogrodem, a lasem plątają się psy i rude koty – potomkowie Kufla od góralki z Nowego Targu. Latają oswojone ptaki.

W domu jest duża kuchnia, w której można zamówić niepodrabialne naleśniki z bajerami, kielbasę po łabowsku i jagnięcinę, do której przekonał gospodarzy Roman Kłuska. Jest też stołówka, pokoje z łazienkami i podjazd dla turystów,

k którzy zamiast chodzić, jeżdżą na wózku. Bo Cyrła to gościnne miejsce dla wszystkich. A w starej części są dwa wyjątkowe pokoiki na poddaszu: Sikornik i Piekarnik. Ulubione miejsce dzieciaków i tych dorosłych, w których zostało dużo z dziecka...

Kochaj, a będziesz kochany

Jacek nauczył się dzięki Cyrli budować dom. Budować nastrój obydwój z Ireną umieli od dawna, od Bene. Już w pierwsze święta na Cyrli pojawili się ludzie poznani

w Gorcach. Dziś przychodzą z każdego zakątka świata. Niektórzy przyjeżdżają. Rowerami. Czasem terenówkami. Jeśli już tu raz trafią, wracają.

– *Ale mieliśmy weekend. Jak jeszcze Ty coś napiszesz, to się nie opędzimy* – śmieje się Jacek po primaaprilisowym weekendzie 2017.

Kochają to. Kochają ludzi. A ludzie odwzajemniają. Takie jest odwieczne prawo nieba i Ziemi: Kochaj, a będziesz kochany.

DTS nr 13 (334), 6.04.2017

R E K L A M A



NAJWIĘKSZY WYBÓR ALKOHOLI W MIEŚCIE

ZNAJDZIESZ NAS W NOWYM SĄCZU PRZY ULICY:

PADEREWSKIEGO 70 | TARNOWSKIEJ 180

Wywiad, od którego może ci polecieć ślinka

Zakop szynkę na 20 lat!

Rozmowa z **Anną Pietruszą** sekretarzem i **Jackiem Kościółkiem** prezesem Sądeckiej Kooperatywy Spożywczej



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

DTS: – Kooperatywa to rzadkie u nas słowo?

Jacek Kościółek: – Na Słowacji częściej używane, bo tam działają kooperatywy. To rodzaj spółdzielni.

– Sądecka Kooperatywa Spożywcza powinna się ze spółdzielniami, które pamiętamy z PRL-u?

JK: – Nasza kooperatywa to po prostu zrzeszenie, spotkania kilkudziesięciu osób, które mają jakiś

wspólny cel. A tym celem jest kwestia spożywcza.

– Spotykacie się bardziej biznesowo czy towarzyskie?

Anna Pietrusza: – Na tym etapie pół na pół. Celem naszych spotkań jest to, żeby ludzi, którzy są zainteresowani tematem zdrowej żywności i naturalnego sposobu funkcjonowania, poznawać z producentami najlepszej, naturalnej żywności.

– Każdy przekonuje, że jego żywność jest zdrowa, ale przekonajcie mnie Państwo, że Wasza żywność jest najzdrowsza.

JK: – Nasz żywność jest zdrowa, gwarantujemy to.

AP: – Jest to żywność, która pochodzi bezpośrednio od lokalnego producenta, nie tylko sądeckiego. To producent, rolnik, hodowca, który wyhodował swój produkt, sam go wytworzył. Do tych osób

chcemy na naszych spotkaniach kierować konsumenta, któremu zależy, żeby nabywany produkt był najwyższej jakości.

– Żywność wyprodukowana domowym sposobem jest zdrowsza i lepsza niż produkty np. z sieci handlowych?

JK: – Na pewno jest bez konserwantów, barwników i innych E-dodatków. Jeżeli już, to mamy konserwanty naturalne, syrop – cukier, który np. wyciągnął z sosny wszystko co najlepsze, a nie słodzik, który jest po to, żeby oszukać klienta, że jest smaczne i ładniej wygląda.

AP: – Jeśli to jest miód, to miód, który po trzech miesiącach zaczyna się krystalizować. A nie miód, który jest rozlany po sezonie od nowa do butelek z podgrzanej beczki, tracący wszystkie właściwości.

– Skąd się bierze potrzeba wytwarzania i poszukiwania przez klienta żywności bezpośrednio od producenta?

AP: – To chyba takie naturalne, to gdzieś w ludziach jest. Jako kooperatywa rozwijamy się i zyskujemy nowych sympatyków w zaskakującym tempie. Widzimy, że w Nowym Sączu i okolicach coraz bardziej obłożonych marketami i sieciówkami, ludzie intensywnie poszukują powrotu do naturalnego sposobu odżywiania się.

JK: – Pamiętam to jedzenie, które kiedyś było, w latach 70–80.

– Pamiętam Pan? Przecież wtedy narzekaliśmy, że w sklepach nie ma nic.

JK: – Nie narzekaliśmy, bo nie chodziliśmy do sklepu. Nie było po co. Może po cukier, którego i tak nie było, bo udzielano go na kartki. Ja pochodzę ze wsi, pewnie w mieście do tych problemów było inne podejście. My mieliśmy wszystko, bez nawozów i bez innych dodatków. Teraz zaczynam uważać, pewnie to też kwestia wieku, że te obecne produkty – chemiczne, sztuczne – mi nie smakują. Czasami prowadzę głodówki. Po nich nie da się zjeść czegoś chemicznego.

AP: – Organizm tego nie przyjmuje.

JK: – To kwestia przekroczenia jakiejś bariery. Wiadomo, że w danej

chwili trudno zrezygnować ze wszystkiego, ale zaczynamy małymi krokami. To tak jak z rzucaniem papierosów, rzucanie ad hoc zwykle się nie powiedzie, ale krok po kroku można dojść do celu.

– Kooperatywa działa lewie od roku.

JK: – W tamtym roku byliśmy na pierwszym Jarmarku Produktów Lokalnych.

– Przeczytałem gdzieś, że Pana pierwszą motywacją do działania były pobudki patriotyczne i czysto praktyczne.

JK: – Zauważyłem, że jest więcej osób, które myślą tak jak ja. Wszyskim mówiłem, że ja piekę sobie chleb na zakwasie, że robię głodówki, nie jem tego i tamtego...

– Czego Pan nie je?

JK: – Staram się w tej chwili nawet już nie jeść chleba, bo jest tam gluten. Ten chleb z naszego orkiszu to już zupełnie inny chleb, sto procent orkiszu, nie jak w sklepie, gdzie jest go 10–20 proc., no może 50, a reszta to pszenica.

Nie narzekaliśmy, bo nie chodziliśmy do sklepu. Nie było po co. Może po cukier, którego i tak nie było, bo udzielano go na kartki. Ja pochodzę ze wsi, pewnie w mieście do tych problemów było inne podejście. My mieliśmy wszystko, bez nawozów i bez innych dodatków.

– A Pani czego nie je?

AP: – Ja raczej jem wszystko, natomiast unikam produktów, które są naszpikowane niepotrzebną chemią i konserwantami. Mówiąc zaś o patriotyzmie, mieliśmy na myśli patriotyzm lokalny, bo korzystamy z produktów lokal-

nych, naszych. Nie rozumiem, dlaczego cukier musi do nas przyjechać czasami nawet z Afryki. A wędliny? Dziś bez problemu możemy zdobyć wędliny, które mają zupełnie inny skład chemiczny, są inaczej produkowane.

– Albo możemy je sami wyprodukować...

AP: – Możemy. Prowadzimy spotkania edukacyjne, wykłady, warsztaty, na których dzielimy się przepisami, wymieniamy się sadzonkami, wytwarzamy sobie sami różne rzeczy. Zaczęliśmy także serię spotkań o domowych kosmetykach. Na przykład niedawno robiliśmy domowe peelingi. Ostatnio mieliśmy spotkanie o pielęgnacji włosów domowymi sposobami. Po tym wykładzie panie przyniosły mi mydlnicę. Zawsze robiłam szampon z suszonej mydlnicy, teraz dostałam prawdziwą. Próbowaliśmy zrobić, żeby taki szampon bardziej się pienił. Jest to zabawa.

– Ten chleb leżący przed nami wygląda jak chleb i pewnie smakuje jak chleb. Na czym polega jego przewaga nad konkurentami z piekarni i marketu?

AP: – Jest z ziarna orkiszu, z ekologicznej hodowli od sprawdzonego rolnika.

– Każdy go może upiec w domu?

JK: – Każdy. Można tradycyjnie w piekarniku, ale ja mam automat, bo jestem leniwy. Pieczenie w nim chleba to pięć minut pracy. Mielę zboże, odważam wszystkie składniki, wrzucam, włączam automat i... rano budzi mnie zapach świeżego chleba.

AP: – Jedno z naszych spotkań poświęciliśmy pieczeniu chleba. Dwie godziny mówienia o ziarnach, mieleńniu i na koniec zjedliśmy świeżutki chlebek.

– A to z kolei wygląda jak jajka.

JK: – To są jajka, takie brudne jajka, właśnie dlatego są prawdziwe. Dzięki temu, że są naturalnie brudne, możemy je przechowywać bardzo długo. Jeśli włożylibyśmy je do pojemnika z solą, można je przechowywać nawet przez rok w piwnicy.

– A przewaga tych jajek nad sklepowymi?

JK: – Są naprawdę zdrowe, ze wszystkimi mikroelementami. To nie jest chów klatkowy, gdzie kury są wykorzystywane ponad miarę.

AP: – Szczepione, z hormonami, żeby jajka były większe. To nie są też jajka barwione.

– A tu szynka wyprodukowana w marcu...2015 roku.

AP: – Tak, świeżutka, jeszcze dojrzewa. Do tego tyndalizowana – wieprzowa, trzy razy pasteryzowana. Dzięki temu zabijamy wszystkie bakterie. Termin przydatności do spożycia – 20 lat.

– Tak sobie kładziemy na półkę w słoiku i trzymamy 20 lat?

JK: – Najlepiej by było zakopać w ziemi, ponieważ tam mamy stałą temperaturę 8 stopni, chyba że ma się piwniczkę, w której taka temperatura jest zachowana, to jak najbardziej.

– Wprosimy się za 20 lat na kromeczkę chleba orkiszowego z tą szynką.

AP: – Zapraszamy. Tyndalizowanie to zresztą doskonała metoda, żeby sobie przygotować jedzenie na wybieżki, na wyprawy żeglarskie, gdzie nie mamy lodówki.

– Sami możemy ją zrobić w domu?

AP: – Robimy sami w domu, pakujemy w plecak i możemy z nią wędrować przez dwa tygodnie.

– Może być ciężko, szczególnie jeśli weźmiemy jeszcze „słoninę konserwową”.

JK: – To nie jest tak, że jak konserwowa, to jest tam mnóstwo dodatków chemicznych. Konserwowa to znaczy, że postępuje się z nią jak z konserwą, czyli się ją pasteryzuje.

– Ta jest z marca 2016 r. Jaki ma termin przydatności do spożycia?

JK: – W związku z tym, że jej trzy razy nie pasteryzowałem, to tak 1,5 roku, bo to jest tłuszcz, a tłuszcz się nie psuje. Czasami na YouTube są takie ciekawostki – ktoś wykopuje z ziemi pojemnik ze smalcem z roku 1939 i ten smalec jest jadalny.

– Naprawdę miałby Pan odwagę spróbować 70-letniego smalcu?

JK: – Jeszcze takiego pojemnika nie odkryłem.

– Oskoła pochodzi z marca tego roku. Oskoła, czyli sok z brzozy.

JK: – Tak, nawierca się odpowiednio drzewko, żeby potem się ładnie zagoiło i zbiera się sok. Mam brzozę, którą co roku nawiercam.

Ja raczej jem wszystko, natomiast unikam produktów, które są naszpikowane niepotrzebną chemią i konserwantami. Mówiąc zaś o patriotyzmie, mieliśmy na myśli patriotyzm lokalny, bo korzystamy z produktów lokalnych, naszych. Nie rozumiem, dlaczego cudzokier musi do nas przyjechać czasami nawet z Afryki.

– Miodek mniszkowy...

AP: – Wybraliśmy się z członkami kooperatywy na spacer, nzebieraliśmy mniszek lekarski i każdy przygotował go według swojego uznania. Ten jest akurat z imbiru cytrynowym, zrobiony na prawdziwym miodzie, nie na cukrze. A tu najświeższy sok z kwiatów czarnego bzu. Wszyscy wiedzą, że to zastępuje syropy apteczne.

JK: – Z ciekawostek mamy też samopsę – „babcię” orkisz, prymitywną odmianę pszenicy, która była w użyciu już za czasów Chrystusa. Jeden z rolników będzie nam ją siał.

AP: – Ona zawiera o wiele mniejsze ilości glutenu niż w tradycyjnych mąkach.

– Gluten pojawił się nam kilka razy w rozmowie. Są opinie przekonujące, że przesadzamy, ostrzegając przed glutenem.

AP: – Problem z glutenem polega na tym, że jest go za dużo w produktach.

JK: – Jeden procent populacji w ogóle go nie toleruje. Obciążamy nim organizm, który musi przetworzyć go w coś, co się da usunąć. Nie, żeby przyswoić, ale żeby usunąć.

– Jak zostać członkiem Sądeckiej Kooperatywy Spożywczej? Każdy może?

JK: – Każdy. Zapraszamy w czwartki o godz. 18., można przyjść, posłuchać, zobaczyć co robimy.

AP: – Spotykamy się w różnych miejscach, ale naszą główną bazą jest Obłoczek Cafe w sądeckim rynku. Jest tam ogród, kawiarnia z ekologicznymi, zdrowymi produktami, ciastami, herbatami. Jest bawialnia dla dzieci. Tam Nowy Sącz żyje. Bardzo dużo inicjatyw powstaje w tym miejscu, są tam sale warsztatowe i wykładowe.

– Chcecie zdobyć serca i żołądki sądeczan?

AP: – Może aż tak daleko nie wybiegamy, chcemy jednak zachęcić do wspólnych działań.

– Sklepów sieciowych nie będziecie pikietować?

AP: – Absolutnie nie, jesteśmy pokojową organizacją.

JK: – Kto chce, może pójść do sklepu sieciowego. Kto chce, może przyjść do nas.

– Zakładam, że jednak 99 proc. naszych Czytelników korzysta z oferty sklepów sieciowych.

AP: – Są tam też produkty egzotyczne dla naszej kuchni i one są smaczne. Wiadomo, że są przewożone w takich, a nie innych warunkach, są konserwowane, ale nie zdobędziemy ich w inny sposób. Nie mówimy, żeby je zupełnie wyeliminować. Ale w tym obszarze, gdzie jesteśmy samowystarczalni i możemy z tych lepszych produktów korzystać, to korzystajmy. Rolnik jest tutaj obok, on to wszystko ma i w tradycyjnych, dobrych warunkach te rzeczy hoduje, sadzi, wytwarza. I musi sprzedać je do jakiejś sieci za jakieś smutne kwoty, które nie są docenieniem jego pracy i naturalności produktów.

OWOC ŁĄCKI

naturalnie.



Tłoczony bezpośrednio ze świeżych
owoców z naszych sadów

Monitorowanie jakości soku
na każdym etapie procesu produkcji

Wyrazisty smak i zapach

Naturalnie mętny

Bez koncentratu,
konserwantów i cukru



www.owoclacki.pl

O futbolu z zupełnie innej strony

Polska to są najlepiej zainwestowane pieniądze

Rozmowa z **Januszem Komurkiewiczem**, członkiem Zarządu Fakro

– Sponsor reprezentacji piłkarskiej jest usatysfakcjonowany? Kadra pojechała na Mistrzostwa Europy. To sukces, który wieńczy dzieło po latach chudych?

– Nigdy nie stawialiśmy takiego celu, że jesteśmy sponsorem reprezentacji i żądamy wygrania eliminacji. Awans do Euro czy na Mundial, to są jakby elementy dodatkowe. Najważniejsze jest to, że jesteśmy z reprezentacją, że nasze logo jest kojarzone z reprezentacją Polski w piłce nożnej. To jest dla nas priorytet. Natomiast zupełnie inaczej jest odbierany ten sponsoring i nasz związek z reprezentacją, kiedy jest sukces, niż wtedy, gdy tego sukcesu nie ma. A minione lata takie były. Długo czekaliśmy na sukcesy i teraz – można powiedzieć – spijamy śmietankę, a reprezentacja nam nagradza te lata, które przetrwaliśmy wspólnie.

– Przez te chude lata wypowiadał się Pan w podobnym tonie, z tym samym uśmiechem, jakby Pana nie martwiły wcześniejsze porażki.

– A to dlatego, że w marketingu sportowym trzeba mieć dużo cierpliwości i wynik tak naprawdę nie jest najważniejszy. Oczywiście w sporcie liczą się wyniki, każdy po to walczy, po to trenuje, po to wyciska z siebie litry potu, żeby osiągnąć sukces. My jednak mamy kilka celów do osiągnięcia. Najważniejszym jest skojarzenie z reprezentacją, czyli wspieranie się dwóch mocnych marek: marki Fakro i marki polskiej reprezentacji. Natomiast sukces jest czymś pięknym w sporcie, ale nie tylko sukces. Piękne jest to, że padają bramki w czasie ważnych meczy,

wtedy, gdy właśnie wyświetlana jest na bandach elektronicznych reklama Fakro. Tak było w meczu z Irlandią, kiedy padła bramka, która dawała nam awans do Mistrzostw Europy 2016. Dam jeszcze przykład ostatniego meczu – wspaniała bramka w meczu z Holandią, również z reklamą Fakro w tle. Czy to jest zrządzenie losu? Myślę, że to wynagrodzenie naszej cierpliwości za lata spędzone z reprezentacją.

– Który gol sprawił Panu większą radość?

– Jeden i drugi był czymś wyjątkowym i wspaniałym, bo jako sponsor bardzo przeżywamy sukcesy i porażki reprezentacji. Niemniej jako rasowy marketingowiec zdaję sobie sprawę, że bramka z Irlandią, która dała zwycięstwo i awans do mistrzostw, jest powtarzana nie tylko w polskiej telewizji, ale we wszystkich telewizjach Europy, a nawet świata. To jest taki bonus od losu, czy też od reprezentacji, który trudno wycenić, bo on przekłada się na wzrost rozpoznawalności marki Fakro, jest świetną promocją firmy.

– Czujecie, że jesteście kojarzeni z reprezentacją?

– Bardzo często. Po każdym meczu mamy mnóstwo gratulacji i ciepłych słów. Oczywiście padają też i gorzkie uwagi.

– Dlaczego jesteście ich adresatem? Przecież to nie Fakro gra na boisku.

– Fakro nie gra w piłkę, ale jesteśmy kojarzeni. Było wiele bardzo gorzkich sytuacji, kiedy kilka lat temu reprezentacja grała źle i po ka-

żdym przegranym meczu właśnie my otrzymywaliśmy mnóstwo maili z informacją, że od tej pory osoba pisząca, kibice – przestają promować i kupować nasze produkty. To było przykre. Przegrany mecz czy zła postawa zawodników przekłada się też na wizerunek sponsora, a my bardzo mocno bierzemy sobie do serca wyniki i utożsamiamy się z reprezentacją. Zawsze zależy nam na sukcesie, bo przez jego pryzmat odbierają nas kibice. Dlatego teraz bardzo się cieszymy z tych sukcesów.

– A miał Pan chwile zwątpienia, pojawiła się myśl, żeby zrezygnować, wycofać się ze sponsoringu piłkarzy?

– Nigdy! A jest wiele przykładów innych sponsorów, którzy pod naporem takich gróźb i komentarzy wycofywali się i zrywali ważne kontrakty. Nam do głowy nigdy nie przyszło, żeby zrywać kontrakt, bo wiemy, że sponsoring wymaga cierpliwości, a ta współpraca daje wspaniały rezultat po dłuższym okresie czasu. W sporcie trzeba być cierpliwym, bo w niego wpisane są i porażki, i sukcesy. Nie można się od pierwszej przegranej obrażać na drużynę, którą się sponsoruje.

– A teraz nastał czas odbierania miłych maili od kibiców?

– Zdecydowanie. Delektujemy się tym sukcesem, otrzymujemy dużo ciepłych słów. Zdajemy sobie sprawę, kim są kibice reprezentacji piłki nożnej. To są nasi sprzedawcy, to są wykonawcy – to oni chodzą na mecze, oni się pasjonują sportem i piłką nożną. To dla nich gra reprezentacja i właśnie dlatego jesteśmy z repre-

zentacją. Teraz przeżywamy bardzo dobry okres i on nam wynagradza te wszystkie słabsze chwile, których mimo wszystko było mniej.

– Już wiemy, że wynik reprezentacji przekłada się na klimat wokół firmy, a czy przekłada się na sprzedaż produktów?

– Absolutnie się nie przekłada. Tak pokazują badania profesjonalnych firm i te, które sami wykonujemy. To się bezpośrednio nie wiąże ze sobą. Nie jest tak, że po przegranym meczu nagle spada nasza sprzedaż, a po wygranym gwałtownie wzrasta. To się rozkłada w czasie, tu chodzi o skojarzenie reprezentacji z marką Fakro. Marka jest coraz lepiej znana, coraz bardziej rozpoznawalna i w Polsce, i zagranicą.

– Kiedy zaczynaliście ten sponsoring 10 lat temu, to partnerów reprezentacji można było policzyć na palcach jednej ręki. Dzisiaj ścianka, na tle której wypowiadają się piłkarze i trener, jest gęsta od logotypów firm.

– Bo dzisiaj reprezentacja jest naszym towarem eksportowym pożądanym przez wiele firm. A my szcycimy się tym, że jesteśmy już ponad 10 lat sponsorem piłkarzy. Tak naprawdę nie ma drugiego sponsora, który tak długo byłby z naszą reprezentacją. Dzisiaj PZPN nie ma problemów ze sponsorami. Wręcz przeciwnie, to reprezentacja wybiera sobie, kogo by chciała mieć w gronie sponsorów i dyktuje warunki. Takie jest prawo rynku.

– A PZPN jest lojalny wobec lojalnego partnera?

– Uważam, że tak. PZPN jako organizacja zmienia się bardzo. Z roku na rok albo z kontraktu na kontrakt poprawia się obsługa sponsorów. PZPN pod rządami Zbigniewa Bońka jest przyjazny sponsorom, jest otwarty na dialog, otwarty na słuchanie potrzeb swoich partnerów, co nie było taką oczywistą sprawą w poprzednich latach.

– Honorujecie też swoich kontrahentów i partnerów takimi bonusami jak zabieranie ich na ważne mecze.



FOT. Z ARCH. J. KOMURKIEWICZA

– I jesteśmy z tego dumni. Jesteśmy lojalnym partnerem wobec naszych dekarzy czy sprzedawców, a oni są lojalni wobec nas. Staramy się tą lojalność wynagradzać na różne sposoby. Jednym z nich jest właśnie wspólne oglądanie meczy. Oni sobie bardzo cenią moment spotkania z nami na meczu piłkarskim. Tak budujemy biznesowe relacje partnerskie. Tak budujemy lojalność, bo tam gdzie są emocje, tam rodzi się przyjaźń, a w biznesie przyjaźń jest bardzo potrzebna.

– Wie Pan już, jaki będzie kolejny rozdział Waszej współpracy z reprezentacją? Jest on uzależniony od wyniku we Francji?

– Mamy z PZPN kontrakt ważny do roku 2018, a więc do Mundialu w Rosji. Dzisiaj, jeśli miałbym prorokować, to zdecydowanie jestem

za przedłużeniem tego kontraktu, ale do tego jest potrzebna zgoda dwóch stron. Myślę, że obydwie strony dzisiaj na pewno są zadowolone ze współpracy i to dobrze rokuje na kolejne lata.

– Kiedyś powiedział Pan, że pieniądze zainwestowane w reprezentację, to najlepiej zainwestowane marketingowo pieniądze przez Fakro.

– I dzisiaj mogę to zdanie powtórzyć. Po latach, kiedy przyszedł sukces, kiedy entuzjazm i lojalność wśród naszych partnerów biznesowych jeszcze urosły, mogę to tylko potwierdzić: to są najlepiej zainwestowane pieniądze! Mamy największy zwrot marketingowy z inwestycji marketingowej, bo to się przekłada na lojalność partnerów i dobry wizerunek firmy.

To będzie jak film przyrodniczy

I jak nie wierzyć, że wszystko ma sens?

W życiu profesor Marii Olech nie było przypadków. Była za to niebywała konsekwencja zdarzeń i sytuacji, dzięki którym jest dziś najbardziej znaną polską polarniczką na świecie. A może to nie konsekwencja, ale los? Siła wyższa?

Mówili do mnie „kierowniczko”

Ludzi można dzielić w różny sposób, to kwestia umowy, kategorii, zwyczaju, a nawet fantazji. Można najprościej, według płci, lub bardziej skomplikowanie, biorąc pod uwagę klasy, podglądy lub pragnienia. Według najprostszego podziału Maria była dziewczynką z Nowego Sącza, której marzenia nieco odbiegały od oczekiwań koleżanek, z którymi bawiła się na podwórku. Z tych marzeń i konsekwencji w ich realizowaniu zrodziła się historia kobiety naukowca, której imieniem zostało nazwane wzgórze na King George Island i porost antarktyczny. A przecież wcale nie było tak łatwo.

Ulica Lwowska

Historia ma swój początek na ulicy Żeglarskiej, choć początek ten ma wyłącznie wymiar symboliczny (przypomnimy sobie o tym, kiedy profesor Olech będzie żeglować po zimnych wodach Arktyki). Miejsca swoich narodzin Maria Olech nie pamięta wcale, szybko bowiem jej rodzina przeprowadziła się na ulicę Lwowską. I to właśnie tamten dom, z ogrodem, nieco z dala od centrum miasta, był miejscem, w którym dorastała i czytała pierwsze książki o dalekich podróżach.

– *To były trudne czasy* – nie kryje. Najstarsza wśród rodzeństwa miała swoje obowiązki, ale też pierwsze fascynacje. – *Przyrody, szacunku do niej i zamilowania nauczył mnie tata. To z nim poznawałam świat roślin, ich królestwa i domeny. Chodziliśmy po górach, a ja nabierałam przekonania, że natura jest niebywale piękna i inspirująca* – wspomina. Absolwent rolnictwa stał się pierwszym przewodnikiem Marii po świecie, choć, na początku, był to świat bardzo bliski. Rozłożony między ogrodem, szkołą, drogą i fosą, w której krył się prawdziwy mikrokosmos. – *Powrót do domu z lekcji zajmował mi całe godziny. W przekopie czekały skarby, które wymagały mojego czasu i zainteresowania. Już wtedy było to dla mnie niezmiernie ważne* – podkreśla. I o wiele ciekawsze niż szlifowanie Jagiellońskiej, które uprawiała jej ród-

wieśniczki – dodaje, tłumacząc, że „szlifowaniem” w Nowym Sączu nazywano spacerowanie tam i z powrotem po głównej ulicy miasta, bez określonego celu.

Ważny był też krzak bzu. Rósł w ogrodzie, stał przy nim fotel, w którym mała Maria mogła czytać o światach nieco dalszych, niż te, które знаła. – *O wyprawach polarnych, zdobywaniu bieguna, krajach skutych lodem i tych, w których nigdy nie sypał śnieg* – opowiada i może właśnie myśli, że właśnie dzięki tym lekturom jej życie ułożyło się w taki, a nie inny scenariusz?

Od Meduzy do Spitsbergenu

Mikroskop był jeden, ale to wcale nie miało znaczenia. Ewa Berger, nauczycielka biologii, zwana Meduzą, potrafiła zaczarować dzieci przedmiotem. Może nie wszystkie, ale Marię zaczarowała skutecznie. Wybór biologii po maturze był więc całkiem naturalny. – *Studia w Uniwersytecie Jagiellońskim były konsekwencją moich zainteresowań. Chciałam wiedzieć więcej, poznawać* – tłumaczy.

Tak też poznała góry, wspinaczkę i porosty. Organizmy niższego rzędu. Niby nic nadzwyczajnego, imponującego, ładnego, a jednak potrafiły odmienić jej życie. – *Nikt wówczas w Uniwersytecie Jagiellońskim tym się nie zajmował* – zauważa.

Sprawiedliwie dzieliła czas między wyprawy do Antarktyki i Arktyki. Chodziła z bronią, na wypadek spotkania z niedźwiedziem, robiła zdjęcia pingwinom, które dziś tworzą niezmiernie osobistą kolekcję z podróży, i żałowała, że nie ma brody. Kiedy wieje wiatr i prosto w twarz lecą zmrożone kryształki lodu, nie jest przyjemnie.

Przecierała szlaki. I to tak skutecznie, że została pierwszym lichenologiem zatrudnionym na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ale to Spitsbergen odmienił jej życie. Dzięki wyprawom do Arktyki miała możliwość zbadać porosty



Spisbergen, baza UJ na Pollfyodden. Od lewej: Kazimierz Walasz, Maria Olech, Jacek Piasecki

oraz roślinność tundry, która występuje na terenach bez lodu. Jak radziła sobie w skrajnie trudnych warunkach, do tego z piętnem płci? Nie było łatwo. – *To że dwa razy zostałam kierownikiem i jedyną kobietą wśród załogi, zawdzięczam nie tylko determinacji – zaznacza. – Po prostu nikt prócz mnie nie zajmował się porostami.*

Walka ze stereotypami była równie wyczerpująca jak praca kilkanaście godzin w terenie. Praca z młotkiem, dzwiganie ciężkich kamieni z porostami niezbędnymi do badań, żmudne godziny nad mikroskopem wcale nie były lżejsze od tych momentów, kiedy musiała udowodniać, że kobieta świetnie nadaje się do siermiężnych warunków. – *Kiedy przyjechałam na stację im. H. Arctowskiego, byłam pierwszą kobietą kierowniczką, a do tego pierwszą przedstawicielką swojej płci, która chciała w Antarktyce pracować, a nie tylko towarzyszyć mężowi. Musiałam pokazać, że potrafię, że umiem i nie jestem dziełem przypadku. Dowieść, że nie wybrałam się pod biegun południowy dla zabawy, czy przegody – opowiada.*

Mówiono do niej kierowniczo, czasem „ona”, ale słuchano. Nawet w tych momentach, kiedy musiała swoim podwładnym matkować, pilnować, by zmieniali mokre buty, czy smarowali twarz kremem. Szanowali ją. – *Choć nie raz kapąły mi łzy do talerza, nie poddałam się – przyznaje.*

Mimo zimna, spartańskich warunków mieszkaniowych i ciągłych telefonów: „Poproszę z kierownikiem”, „Ale to ja jestem właśnie kierownikiem”, „Proszę sobie nie żartować”.

Kiedyś po latach dowie się: „A to pani wytępiła przekleństwa na stacji”. I choć nie było z tego naukowego pożytku, jest to taki sukces, którym Maria Olech chwali się nie bez satysfakcji.

Kobieta musi więcej

Nauczyła się, że kobieta już na samym starcie musi więcej. I ona zawsze to „więcej” miała. Przecierała szlaki w męskim polarnym świecie, nie żalując ani jednego dnia, które spędziła badając mchy i porosty. – *Myszę, że moimi wyborami nie kierował przypadek, ale konse-*



FOT. B. J. KAPUŚCIŃSKI

kwencja. Robiłam to, co kochałam i to przynosiło mi sukcesy – zauważa.

Sprawiedliwie dzieliła czas między wyprawy do do Antarktyki i Arktyki. Chodziła z bronią, na wypadek spotkania z niedźwiedziem, robiła zdjęcia pingwinom, które dziś tworzą niezmiennie osobistą kolekcję z podróży, i żalowała, że nie ma brody. – *Kiedy wieje wiatr i prosto w twarz lecą zmrożone kryształki lodu, nie jest przyjemnie* – podkreśla. – *Przydałaby się.*

W takich momentach przez głowę czasami przechodzi myśl, że łatwiej być mężczyzną. – *Pamiętam w Japonii, gdzie pojechałam na sympozjum, nawet przez myśl im nie przeszło, że za nazwiskiem Maria Olech kryje się kobieta. O, jaka to była konsternacja. Wtedy wspierały mnie panie, które serwowały kawę i herbatę* – uśmiecha się.

Uczciwie jednak przyznaje, że dużo się od mężczyzn nauczyła. Stanowczości, szybkiego podejmowania decyzji i nierozpamiętywania. Oni docenili ją za to, że jak nikt inny potrafi walczyć zarówno o nich, jak i stację. Traktowała ją jak dom i potrafiła bronić jak domowego ogniska.

Być u siebie

Nigdy nie potrzebowała luksusów. Może dlatego, że luksusem była możliwość obserwowania i badania przyrody, i to wystarczało. Kiedy została majtkiem na żagłowie, wydawało jej się, że złapała Pana Boga za nogi. Warunki na łajbie były trudne, ale możliwości, które stwarzała mała, zwrotna łódeczka, bezcenne. – *Zaprosił mnie francuski żeglarz polskiego pochodzenia, dr Janusz Kurbiel. Jego wyprawa naukowo-odkrywcza miała na celu opłynięcie jachtem wszystkich lądów wokół bieguna północnego. Tam, gdzie samoloty ani duże łodzie badawcze nie miały szans dotrzeć* – wspomina.

Gdy jacht podpływał blisko lądu, Maria brała plecak, narzędzia i podpływała pontonem na ląd. Tam zbierała mchy, porosty i grzyby, by je później opisać i zaklasyfikować. – *To była ciężka, fizyczna praca. Do tego zimno, wiatr, niedźwiedzie* – wylicza. – *Jak bardzo było to niebezpieczne, świadczy fakt, że nikt nie chciał nas przy wyprawie ubezpieczyć.*

Nie ukrywa, że były momenty, kiedy się bała. Czasem trzeba umieć się do tego przyznać. Ekstremalnych sytuacji w takich warunkach nie da się uniknąć. – *Po każdym sztormie mówiłam sobie, że to koniec, wracam. Ale gdy wody się uspokajały, uspokajałam się i ja, zaczynałam swoją pracę* – uśmiecha się.

Kiedy pytam się pani profesor, gdzie jest jej miejsce na świecie, nie bardzo wie, co odpowiedzieć. A może nie chce. Bo jest i tu w Krakowie, i w Nowym Sączu, gdzie stoi dom rodziny. Jest też tam, gdzie prowadziła badania. – *Przypominam emigranta, który jest wszędzie i nigdzie u siebie* – mówi.

Dobrze wie jedno, że wszystko miało właśnie tak się potoczyć.

Pamięta dobrze film o kolonii pingwinów w dalekiej Antarktyce, który oglądała w dzieciństwie. Wiele razy mówiła, że właśnie on sprawił, że chciała poznać daleki i zimny biegun. Długo, długo później, podczas wyprawy statkiem dopłynęła do tej kolonii. Do miejsca, które pamiętała z dokumentu sprzed lat. – *I jak tu nie wierzyć, że wszystko ma sens?* – pyta.

DTS nr 9 (278) 3.03.2016

Dorobek profesor Marii Olech jest imponujący. Jest autorką ok. 350 publikacji naukowych i popularnonaukowych, w tym wielu monografii i i rozdziałów w książkach. Jej prace dotyczą głównie taksonomii, geografii i i ekologii porostów, w mniejszym stopniu mchów, glonów i grzybów. Jest jedyną w świecie znawczynią porostów rosnących w pobliżu obydwu biegunów Ziemi. To nie tylko pierwsza kobieta kierująca wyprawami polarnymi w Antarktyce, ale także pierwszy lichenolog Uniwersytetu Jagiellońskiego, który stworzył pracownię lichenologii i zielnik lichenologiczny – uważany za biblię botaników.

Lektura do przedziału dla niepalących

Nie trać czasu na rzeczy nieistotne

Rozmowa z **Robertem Bakalarzem**, ordynatorem Oddziału Onkologii Klinicznej sądeckiego szpitala

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, Panie doktorze, ale praca na Oddziale Onkologii Klinicznej wydaje się jednym z najbardziej przygnębiających zajęć w całej palecie zawodów.

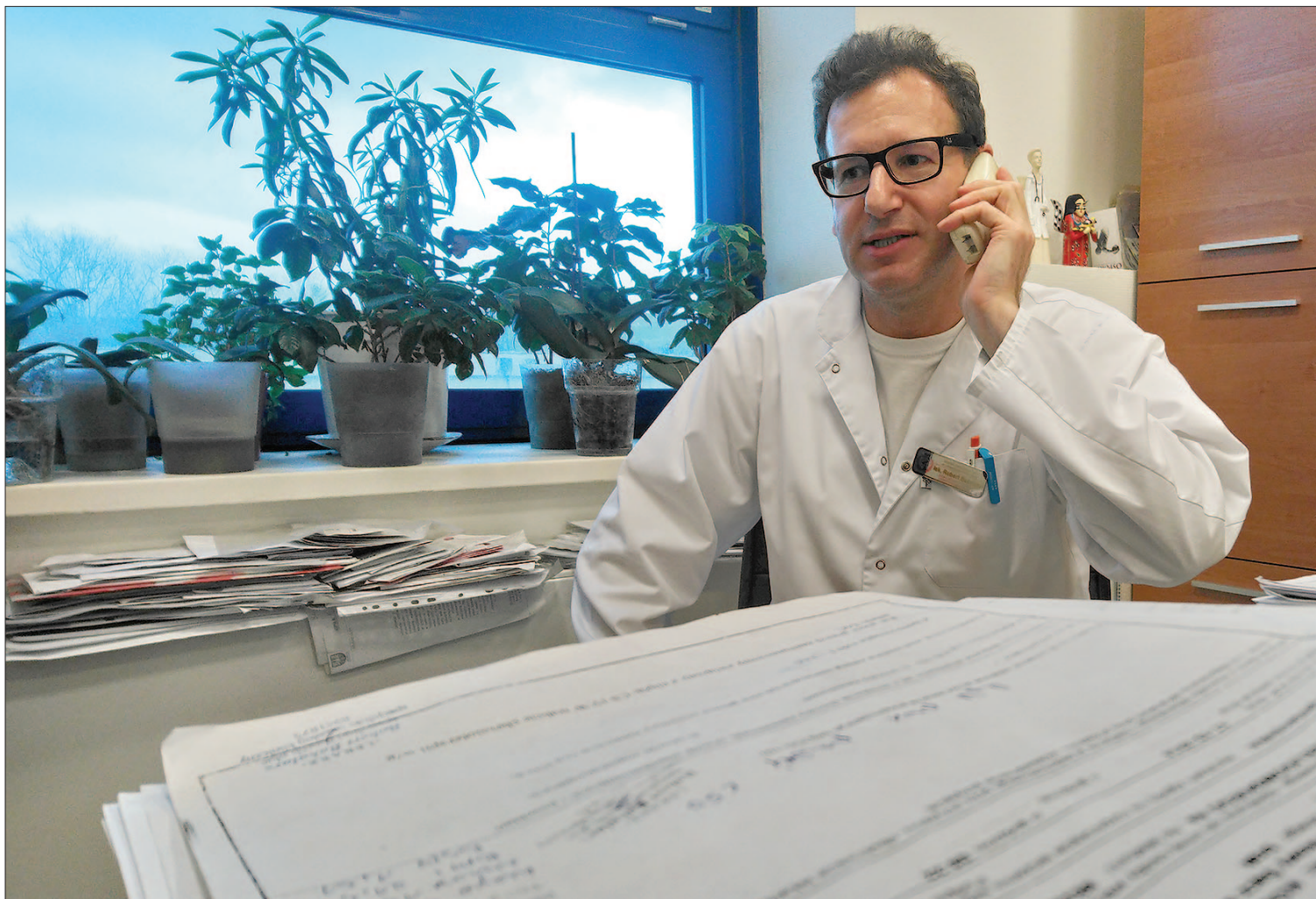
– Stanowczo zaprzeczam. Owszem, miałem podobne odczucia dawno temu, na początku studiów, kiedy jeszcze nie znałem medycznych specjalizacji. Wielu lekarzy boi się

specjalizacji z onkologii, pracy na oddziale onkologicznym i uciekają jak najdalej od takich miejsc.

– Uciekają, ponieważ...?

– Ponieważ uważają – tak jak pan – że to najsmutniejsza praca, jaką można sobie wyobrazić. Nie zgadzam się z tym. Kiedy jest się onkologiem – przepraszam, nie chcę,

żeby to źle zabrzmiało – ma się coś w rodzaju misji. Z jednej strony nasi pacjenci żyją krócej niż pacjenci innych oddziałów i specjalizacji, z drugiej jednak trudno o większą radość niż ta, kiedy udaje się wygrywać kolejne miesiące, a da Bóg lata, w dobrej formie, dla pacjenta, który dla innych był już pacjentem straconym.



– Oburzy się Pan, jeśli powiem, że przechodząc przez drzwi Pańskiego oddziału, przekracza się granice innego świata?

– Nie oburza mnie, bo to jest trochę inny świat i faktycznie czujemy to od progu. Na onkologii wytwarza się swoista więź pomiędzy lekarzem i pacjentem wracającym do nas na kolejne cykle chemioterapii. Jesteśmy trochę jak starzy znajomi. Pacjent obdarza tu lekarza szczególnym zaufaniem, bowiem na starcie wie, że zmagać się będzie ze śmiertelną chorobą, a w ramach leczenia podana mu zostaje – patrząc chemicznie – trucizna, która czasami może mu dać bardzo długie życie. Trzeba komuś bardzo zaufać, żeby pozwolić sobie podać coś, co potencjalnie może być trucizną. Nie chcę wywyższać onkologii, ale tu każdy pacjent jest przypadkiem ciężkim albo przynajmniej trudnym. Onkolog oswaja się z tym, że każde rozpoznanie jest poważne. Z całym szacunkiem, ale lecząc zapalenie górnych dróg oddechowych, nie musimy wkładać w to aż tyle serca i zaangażowania, bo bardzo rzadko tego typu

rozpoznanie kończą się śmiertelnymi powikłaniami. Natomiast w naszym leczeniu pacjent może być w świetnej formie, a zareaguje na chemioterapię tak źle, że leczenia może nie przeżyć. Około pięciu procent pacjentów umiera z powodu złej reakcji na bardzo silny lek.

– Panuje takie przekonanie, że „rak” to najgorsze słowo, jakie można usłyszeć od lekarza.

– To jest właśnie ten inny świat, o którym pan powiedział. Dla onkologa nie jest to straszne słowo, bo to dla nas codzienność, rozpoznanie ukryte pod hasłem „rak” bardzo często jest całkowicie wyleczalne. Dzisiejsza onkologia potrafi w znaczący sposób poprawić komfort życia pacjenta

Na onkologii wytwarza się swoista więź pomiędzy lekarzem i pacjentem wracającym do nas na kolejne cykle chemioterapii. Jesteśmy trochę jak starzy znajomi. Pacjent obdarza tu lekarza szczególnym zaufaniem, bowiem na starcie wie, że zmagać się będzie ze śmiertelną chorobą.

i zasadniczo je wydłużyć, choć to oczywiście zależy od rodzaju nowotworu i stadium wykrycia go. I choć to rzecz oczywista, powtórzę: czas rozpoczęcia leczenia ma zawsze fundamentalne znaczenie. Późne stadia rokuja dużo gorzej, dają niskie szanse pełnego wyleczenia. Dlatego słowo „rak” jest dla onkologa normalne, choć w społecznej świadomości zalicza się go do chorób wstydlivych.

– Wstydzimy się nowotworów?

– Często je ukrywamy przed otoczeniem. Są ludzie, którzy chwala się, że mieli zawał serca, jakby to było nobilitujące, ale raka starają się wstydlivie ukryć. Nie twierdzą, że wszyscy, ale zasadniczo nowotwór wrzucany jest do jednego worka np. z chorobą

mi psychicznymi, którymi nikt się nie chwali. Sama rodzina opowiada znajomym, że ktoś przewlekłe choruje, byle skutecznie ominąć słowo „rak”.

– Wie Pan, dlaczego tak się dzieje?

– Z nieznanego mi bliżej powodu nowotwór traktowany jest jak rodzaj brzemienia. Mamy raka, czyli zapadł na nas wyrok, choć dzisiaj tak absolutnie nie jest. Nie jest również nowotwór chorobą wstydlivą, bo chorują na niego zarówno profesoriowie, jak i ludzie niewykształceni, a zachowujemy się, jakby ten problem dotyczył wyłącznie alkoholków albo marginesu społecznego.

– A 20 lat temu rak to był wyrok?

– Często tak i być może tamto przekonanie pokutuje do dzisiaj. Kiedy byłem młodym pulmonologiem – onkologia jest moją drugą specjalizacją – dla pacjentów z bardzo zaawansowanym rakiem płuc to zawsze był wyrok.

– Dlaczego?

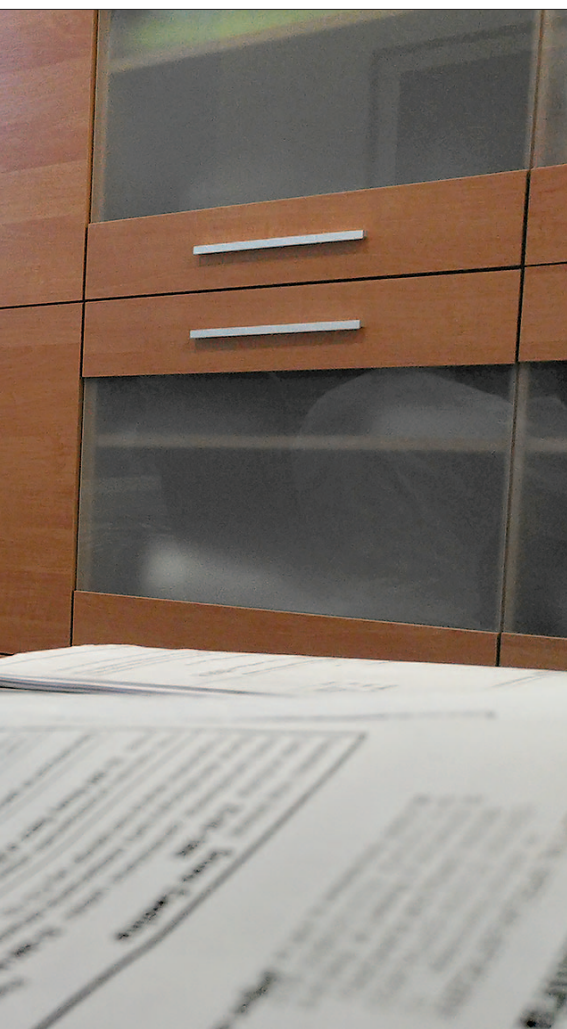
– Ponieważ metody leczenia były nieporównywalne z dzisiejszymi. Chemioterapia była zdecydowanie słabsza, słabo była rozwinięta radioterapia, nie było leczenia celowanego, jednym słowem medycyny sprzed kilkudziesięciu lat nie da się w żaden sposób porównać z jej dzisiejszymi możliwościami. Pacjenci z rakiem płuca żyli krótko.

– Dzisiaj żyją dłużej?

– Znacznie dłużej, bo lepiej poznałiśmy biologię tego nowotworu. Tamte terapie były często przegrane na wstępie, dzisiejsze metody są niewyobrażalnie rozwinięte. Dzisiaj mamy do dyspozycji leczenie celowane – ukierunkowane molekularnie leki, które uderzają w konkretne struktury nowotworowe, niszcząc je. O takich lekach można było tylko pomarzyć, kiedy ja byłem młodym lekarzem.

– Rak to był wyrok, a czy nowotwory było przed laty więcej niż dzisiaj?

– Było ich znacznie mniej. Kiedy dwadzieścia kilka lat temu zaczynałem pracę lekarską, właśnie nadchodziła fala zwiększonej liczby



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

zachorowań. Ale od starszych kolegów słyszałem, że jeszcze dziesięć lat wcześniej, kiedy do szpitala trafiał pacjent z zaawansowanym rakiem płuca, to przy jego łóżku spotykali się lekarze z kilku oddziałów, by go sobie obejrzeć. To była rzadkość, przypadek jeden na wiele.

– Nie diagnozowało się raka, czy nie był powszechny?

– Myślę, że jedno i drugie. Być może 30 lat temu wielu pacjentów umierało niedodiagnozowanych, ale też narzędzia diagnostyczne były nieporównywalne z dzisiejszymi. Rak był rzadkością, ale zdecydowanie na pierwsze miejsce wysuwał się rak płuca. W Polsce – i pewnie na świecie – bardzo powszechne było palenie papierosów. Palili niemal wszyscy i wszędzie. Kto nie wierzy, polecam filmy, których akcja rozgrywa się w latach 60. i 70. ubiegłego wieku – dym jest wszędzie i aż gryzie z ekranu. Polskie papierosy były fatalne, a ciała smoliste leciały prosto do płuc. Ale uwaga – pacjenci, u których dzisiaj diagnozujemy raka płuca, zachorowali średnio 20 lat temu. Czasami pacjent z takim rozpoznaniem mówi mi: „Panie doktorze, to niemożliwe, bo ja już 10 lat nie palę”. Oczywiście rzucenie palenia papierosów przynosi znaczącą poprawę wydolności oddechowej i regenerację płuc, ale jeśli przed laty paliliśmy, to ciągle żyjemy na beczie prochu. Na szczęście palenie jest już niemożliwe.

Kiedy dwadzieścia kilka lat temu zaczynałem pracę lekarską, właśnie nadchodziła fala zwiększonej liczby zachorowań. Ale od starszych kolegów słyszałem, że jeszcze dziesięć lat wcześniej, kiedy do szpitala trafiał pacjent z zaawansowanym rakiem płuca, to przy jego łóżku spotykali się lekarze z kilku oddziałów, by go sobie obejrzeć.

rowali średnio 20 lat temu. Czasami pacjent z takim rozpoznaniem mówi mi: „Panie doktorze, to niemożliwe, bo ja już 10 lat nie palę”. Oczywiście rzucenie palenia papierosów przynosi znaczącą poprawę wydolności oddechowej i regenerację płuc, ale jeśli przed laty paliliśmy, to ciągle żyjemy na beczie prochu. Na szczęście palenie jest już niemożliwe.

– Nowotwory naszych czasów to...

– Najczęstsze dzisiaj nowotwory to: rak płuca, piersi, jelita grubego. Przybywa nowotworów jelita grubego, a trochę mniej jest raka żołądka. Myślę, że jest to związane z naszą lepszą dietą i mniejszą ilością używek: papierosów i alkoholu. Dobrze radzi mi sobie również z wrzodami żołąd-

ka, które zaniedbywane często przybierały postać nowotworową. Inne współczesne nowotwory? Rak mózgu, czyli glejak wielopostaciowy – jedno z najgorszych draństw, jakie może zagnieździć się w głowie. Nie znamy przyczyny jego powstawania i ciągle nie wiemy, dlaczego tak bardzo wzrosła liczba zachorowań na tę postać nowotworu. Jako młody lekarz nigdy nie miałem do czynienia z glejakiem, potem już jako onkolog spotykałem się z nim sporadycznie, a dzisiaj mogę powiedzieć, że ich liczba wzrasta zasadniczo.

– No to chyba mamy gotową odpowiedź na pytanie, dlaczego w Nowym Sączu powstał tak duży i nowoczesny oddział onkologiczny. Odpowiada on na społeczne zapotrzebowanie XXI wieku.

– W pierwotnych założeniach oddział był przewidziany na 12 łóżek, jednak w Małopolsce istniało już kilka ośrodków onkologicznych plus kilka łóżek chemioterapii jednodniowej. Możliwości chemioterapii zwiększyliśmy trzykrotnie, a na potrzeby oddziału za-

adoptowaliśmy kilka dodatkowych sal, zajęte mamy korytarze i jak na zbawienie czekamy na dobudowanie drugiego oddziału tej samej wielkości, bo nie mieścimy się z chorymi.

– Dlaczego tak bardzo wzrosły potrzeby?

– Lawinowo nie wzrosła ilość zachorowań, ale obserwujemy również, że chcą się u nas leczyć pacjenci nie tylko z całej Małopolski. Kiedyś sądeczanie woleli jeździć na leczenie do Krakowa albo Tarnowa, teraz trend się odwrócił. Mamy coraz więcej pacjentów z wpisanym w dowódzie krakowskim adresem.

– Jak Pan to tłumaczy? Lepsza jakość leczenia?

– Kraków dysponuje świetnymi centrami onkologicznymi. My jesteśmy bardzo młodym ośrodkiem, ale oprócz podobnej jakości leczenia, staramy się oferować pacjentowi domowe warunki. W dużych miastach wszystkie ośrodki są przeludnione i choćby lekarze najbardziej się starali, to przyjmowanie pacjentów przypomina tam coś w rodzaju taśmociągu. Zbyt wielu pacjentów przypada na jednego lekarza. U nas zresztą też, ale w Nowym Sączu żaden z moich asystentów nie wychodzi z pracy o 14:30, co ma zapisane w umowie. O swoim czasie pracy, nie wspominam. Dlaczego? Naszym najmocniejszym stymulatorem, działającym silniej niż jakakolwiek używka, jest to, że na co dzień widzimy efekty swojej pracy.

– Jakie efekty?

– Skoro dzwonią do nas pacjenci z Warszawy z prośbą o przeniesienie do Nowego Sącza, bo rekomendował nas ktoś zadowolony z naszej opieki, to czy może być lepsza motywacja do pracy? Nie mamy się czego wstydząć. Nasi pacjenci są leczeni na takim samym poziomie, na jakim mogliby być leczeni za granicą albo w wiodących polskich ośrodkach.

– Praca w takim miejscu zmienia perspektywę patrzenia na życie i codzienne problemy?

– Dla mnie i chyba większości zatrudnionych tutaj osób – tak. Kiedy na co dzień widzimy ludzkie tragedie i problemy, jakie niesie choroba nowotworowa, to zmienia się perspektywa. Moja praca nauczyła mnie, że zbyt wiele uwagi w życiu poświęcamy błahostkom i za bardzo się nimi przejmujemy. Poświęcamy swoje emocje sprawom tak drobnym w kontekście poważnych problemów, iż mogę z całą stanowczością powiedzieć – bardzo wielu z nas traci czas na rzeczy zupełnie w życiu nieistotne. Można ten czas wykorzystać na cieszenie się każdą chwilą życia. Tak powinniśmy żyć – cieszyć się każdym dniem. Nauczyłem się tego dzięki moim pacjentom i mojej pracy.

Nowa rodzina SUV-ów Forda:

ECOSPORT

KUGA

EDGE



Zaprojektowane, by zachwycać. Stworzone, by odkrywać. Łącząc w sobie odważny design, inteligentne technologie i dynamiczne osiągi, nowe SUV-y Forda pozwolą Ci dotrzeć tam, gdzie zawsze chciałeś. A może nawet dalej.

Zużycie paliwa oraz emisja CO₂: Ford EcoSport, 1.0 EcoBoost, 125 KM, M6, FWD; 5,3 l/100 km, 120 g/km (zgodnie z rozporządzeniem WE 715/2007 z późniejszymi zmianami w WE 692/2008, cykl mieszany). Na zdjęciu samochody w wersji ST-Line z wyposażeniem opcjonalnym.



O zanikającej wersji kapitalizmu

Przez piętnaście lat wstawiałam o 3. rano

Rozmowa z **Martą Włochowską**, właścicielką sklepu spożywczego przy ul. Żywieckiej w Nowym Sączu

– Prawie puste półki w Pani sklepi-ku na tydzień przed świętami. Star-szym klientom może to przypominać klimaty z okresu głębokiej komuny. Został tylko ocet.

– Bo to już ostatnie dni mojej dzia-łalności. Jeszcze tylko do świąt będzie czynne, a potem zamykam.

– Definitywnie?

– Zamykam definitywnie, ponie-waż z roku na rok jest coraz gorzej, a ostatnio już beznadziejnie. Prowa-dzę, czy raczej prowadziłam, ten sklep przez 15 lat, ale każdy kolejny rok działalności był słabszy od po-przedniego. Ten ostatni okres był już zupełnie fatalny. Muszę jednak przyznać, że przez większość czasu pracowałam w moim sklepie z ogromną przyjemnością. Takich sklepów jak moje, małych prywat-nych spożywczaków, zostało w No-wym Sączu jeszcze kilka.

– Dlaczego Pani otworzyła sklepik „U Marty”?

– Bo bardzo chciałam mieć coś swojego. Wcześniej również praco-wałam w sklepie, u pana Urygi, ale dojrzywałam do decyzji, żeby otwo-rzyć własny – powiedzmy szumnie – biznes. Od początku byłam w bocznej nieco ulicy Żywieckiej, ale nigdy nie szukałam lepszej lokaliza-cji. Chciałam być tutaj, znałam to osiedle, znałam wiele osób i bardzo odpowiadała mi taka miejscówka. Na początku w okolicy nie było zbyt dużo podobnych sklepików, ale przez

lata bardzo się to zmieniało – jedne sklepy zamykano, na ich miejsca po-wstawiały nowe.

– I tylko Pani przetrwała wszyst-kich. Obok w sąsiednim budynku otwierano i niedługo potem zamyka-no trzy kolejne spożywcze sklepy sieciowe. Patrzyła Pani na to ze spo-kojem?

– Nie mogę powiedzieć, że ze spokojem, ale faktycznie dosłownie dziesięć metrów ode mnie upadły w ciągu kilku lat trzy sieciówki, a do mnie klienci ciągle przycho-dzili. To były te budujące momenty, kiedy uświadamiałam sobie, że wy-trzymałam niełatwą konkurencję.

– Przeżyła Pani dzielnie te najtrud-niejsze czasy, a jednak zamyka sklep?

– Najtrudniejsze czasy dla drob-nego handlu są właśnie teraz, nie kiedyś. Zamykam, bo nie mam in-nego wyjścia. Obroty spadły dra-matycznie i nie stać mnie już na prowadzenie interesu. Kiedyś sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Drzwi się nie zamykały, często ko-lejka zawiązała się aż na ulicę. Byłam bardzo zadowolona, ale i klienci chyba też byli zadowoleni, skoro ciągle do mnie wracali i ciągle przy-chodzili nowi. Miejsca nie ma tutaj zbyt dużo, ale dbałam, żeby na półce zawsze był towar, jakiego ludzie w tej okolicy potrzebują. Chyba mo-gę powiedzieć, że znałam dobrze ich potrzeby.

– Po co ludzie do Pani przychodzili?

– Po wszystko: po warzywa, owo-ce, wędliny, po piwo...

– Ale piwa nie ma. Gdyby dziś było u Pani piwo, pewnie by nie trzeba li-kwidować sklepu. Alkohol – niestety – zawsze dobrze się sprzedaje.

– Dawno już nie mam piwa. Kiedy w sąsiedztwie otwarto sklep siecio-wy, podyktował on na piwo takie ce-ny, że nie miałam szans i wycofałam je ze sprzedaży. Piwo się sprzedawało w czasach, kiedy w pobliżu dużo się budowało i spragnieni budowlancy często do mnie zaglądali. Potem mi-łośnicy piwa chcieli brać je głównie na krechę. Miałam też papierosy, ale za nie trzeba było płacić gotówką w hurtowni, a klienci często prosili, żeby im papierosy wpisać do zeszy-tu. Szybko się to przestało opłacać, bo trudno było nazbierać pieniądze na zakup kolejnej partii towaru.

– Ale problem chyba nie tylko piwa dotyczył. Dzisiaj też Pani przecież nie jest w stanie konkurować ceno-wo z dużymi sklepami?

– Właśnie dlatego, że nie jestem w stanie już dłużej konkurować, mu-szę się poddać. Od dwóch lat dokła-dam do sklepu. Zrobił się z tego biznes charytatywny. Z czego żyłam? Nie mam już dzieci na utrzymaniu, więc do życia, na własne potrzeby, wy-starczyło mi to, co brałam sobie ze sklepu. Dlaczego to ciągnęłam? Bo lu-biłam mój sklep. Przez piętnaście lat codziennie – oprócz niedziel – wsta-



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

wałam o 3. rano, jechałam rowerem na giełdę po zakupy, zamawiałam towar, który mi potem dowożono do sklepu. Dzięki temu zawsze miałam najświeższy asortyment najlepszego gatunku, który sama wybrałam. Handlowałam do godz. 18., wracałam do domu, a zaraz po 20. kładłam się spać, żeby o 3. znowu wstać. Latem szłam spać, kiedy jeszcze było jasno, a ludzie na sąsiednich balkonach dopiero zaczynali grillowanie. Kiedy ja wstawałam do pracy, imprezowicze kładli się spać. W zasadzie całe życie poświęciłam sklepowi. Przez 15 lat tylko raz na tydzień zamknęłam sklep i pojechałam na urlop. Ale jaki tam urlop – prywatnemu przedsiębiorcy urlop przecież nie przysługuje! Na zwolnieniu lekarskim nie byłam nigdy. Nie handlujesz – nie zarabiasz, nie masz na czynsz i ZUS. Ojej, ale przecież nie samą kasą człowiek żyje!

– Kiedy się Pani zorientowała, że trzeba będzie zamknąć sklep?

– Kiedy utargi stawały się drastycznie mniejsze. Nie było mnie stać na towary, żeby klienci mieli wybór. Miałam kłopot z zaplaceniem czynszu. Czym mogłam zachęcić klienta? Cenami. Żeby ceny były atrakcyjne,

W zasadzie całe życie poświęciłam sklepowi. Przez 15 lat tylko raz na tydzień zamknęłam sklep i pojechałam na urlop. Ale jaki tam urlop – prywatnemu przedsiębiorcy urlop przecież nie przysługuje! Na zwolnieniu lekarskim nie byłam nigdy. Nie handlujesz – nie zarabiasz, nie masz na czynsz i ZUS.

moja marża musiała być minimalna, czasami symboliczna. To się długo sprawdzało, ale od około dwóch lat przestało działać. Żeby sklep mógł funkcjonować, a ja wraz z nim, musiałabym mieć 1500 zł dziennego obrotu, a w ostatnim okresie – i to w dobrym dniu – mogłam liczyć maksymalnie na 1000 zł utargu.

– Dawala Pani towar „na zeszyt”?

– Zdarzało się. Wiem, że w dużych sklepach tego nie ma, ale tu się wszyscy znają i zakupy „na krechę” były

przewagą małych sklepów, bazujących na stałych klientach, do których mamy zaufanie. Bo dlaczego komuś nie pomóc, skoro można pomóc? Nie zawsze te pieniądze do mnie wracały, ale większość oddawała. Mam jeszcze dłużników, jednak oni już tu nie mieszkają i trudno liczyć, że te pieniądze jeszcze do mnie wrócą.

– Nie przespała Pani kilku nocy zanim podjęła decyzję o zamknięciu sklepu?

– Początkowo podeszłam do problemu mocno depresyjnie. No bo skoro starasz się robić coś przez tyle lat najlepiej jak potrafisz, wychodzisz ze skóry, żeby było dobrze, a tu nagle życie wywraca ci się do góry nogami, to twojej głowy nie nachodzą radośne myśli. Na dodatek mój wiek jest już taki, jaki jest. Jak mam więc myśleć o swojej przyszłości w jasnych barwach? Ciężko mi będzie znaleźć pracę w Nowym Sączu, a muszę swoje życie zacząć od nowa. W maju wybieram się na miesiąc na truskawki do Austrii. Będę miała czas przemyśleć wiele spraw, ale docelowej pracy będę chyba musiała szukać za granicą. Na obczyźnie ludzi w moim wieku jeszcze potrzebują do pracy, w Polsce już nie.

– Kiedy Pani pierwszy raz nie przyjdzie do pracy?

– We wtorek po świętach. Pewnie się obudzę tradycyjnie o 3. rano, wypiję kawę, pogrzebię w internecie i pójdę spać dalej. Na dzisiaj nie mam innych planów na mój pierwszy dzień bez sklepu. Potem spróbuję nadrobić piętnastoletnie zaległości w pracach domowych. Zawsze na coś brakowało czasu, więc teraz będzie go dosyć. A potem wyjeżdżam. W Polsce nie chcę pracować. Nie czuję się tu potrzebna. To nie jest sprawiedliwy system, który nie daje szansy ludziom

No bo skoro starasz się robić coś przez tyle lat najlepiej jak potrafisz, wychodzisz ze skóry, żeby było dobrze, a tu nagle życie wywraca ci się do góry nogami, to twojej głowy nie nachodzą radosne myśli.

ciężko i uczciwie pracującym, a do takich siebie zaliczam.

– Podjęłaby się Pani jeszcze raz prowadzenia sklepu?

– Nie! Jestem bardzo wdzięczna klientom, którzy przez 15 lat robili u mnie zakupy. Niemal wszystkich znałam po imieniu, a oni mnie znali. W ciemno wiedziałam, co kto będzie potrzebował i co kupi. To był wspólny czas, ale za kilka dni się kończy. Może więc skorzystam z okazji i wszystkim byłym już klientom sklepu „U Marty” złożę życzenia wesółych i zdrowych świąt! Dziękuję wam!

DTS nr 12-13 (281-282) 24.03.2016

WYDAWNICTWO DOBRE TO:

- największy tygodnik w regionie**
- nieograniczony bezpłatny dostęp do elektronicznych wydań**
- informacyjny serwis internetowy**
- wydania specjalne i tematyczne**
- dodatki branżowe**
- rankingi, komentarze, opinie ekspertów**
- konferencje, debaty, warsztaty, gale jubileuszowe, imprezy firmowe, wydarzenia specjalne**
- filmy, książki, albumy, materiały promocyjne**
- obsługa PR oraz kampanie reklamowe, kojarzenie biznesów**

WSPÓŁPRACA Z NAMI WYJDZIE CI NA DOBRE

Nasz człowiek na Euro 2016

Mieliśmy 27 milionów wyświetleń

Rozmowa z **Łukaszem Wiśniowskim**, dziennikarzem sportowym portalu „Łączy nas piłka”

– Łukasz Wiśniowski – jedyny reprezentant Nowego Sącza na Euro 2016. Mogę Cię tak przedstawić?

– Konkretnie z Ubiadu. Kiedy ludzie pytają, skąd się jest, to moi znajomi, też z Ubiadu i Wielogłów, mówią, że z Nowego Sącza. Ja mówię: z Ubiadu i czekam na reakcję. W Nowym Sączu spędziłem dużo czasu, chodziłem tutaj do liceum, stawiałem pierwsze kroki w dziennikarstwie. Bardzo miło to miasto wspominam.

– Filmy Twojego autorstwa można znaleźć na portalu „Łączy nas piłka”. Podbiły Polskę w ostatnich tygodniach.

– Będąc we Francji, nie zdawałem sobie sprawy, jak szybko te materiały się rozeszły. Kiedy przylecieliśmy do Polski, były one na każdym kanale. Mogłem zweryfikować, ile osób je zobaczyło. Przez czerwiec na YouTube mieliśmy 27 milionów wyświetleń. Nasz partner Onet wrzucał to na swój player na głównej stronie, gdzie ruch to około kilku milionów wejść dziennie. Jak dorzucimy do tego wszystkie największe polskie telewizje, to sądzę, że mogło to obejrzeć ponad pół Polski.

– Byłeś w zasadzie jedynym dziennikarzem, który miał nieograniczony dostęp do reprezentacji Polski.

– Być może dzięki Euro dużo ludzi zaobserwowało tę pracę. To była praca w reprezentacji Adama Nawalki, która trwała od pierwszego towarzyskiego meczu ze Słowacją, od zgrupowań w Abu Dabi, aż po zwycięstwo z Niem-

cami w październiku na Stadionie Narodowym. Kręciłem filmy sportową kamerą Go Pro, a mój operator robił wiele zdjęć, które, mam nadzieję, trafią do albumu podsumowującego Euro 2016. Wciąż są jednak pewne sfery, w które nie wchodzimy. Np. z pewnych względów nie uczestniczymy w odprawach taktycznych.

– Czyli w tym, co jest objęte tajemnicą?

– Pokazywanie odpraw byłoby strzelaniem sobie w stopę, bo rywale nie śpią i obserwują to, co się dzieje. Jednak w kontakcie z zawodnikami i w ich codziennym życiu w kadrze zaszliśmy dość daleko.

– Użyłeś kilkakrotnie słowa „praca”. To była praca czy przygoda?

– Praca w tym znaczeniu, iż kojarzy się z profesjonalizmem. Mamy nadzieję, że robimy to profesjonalnie. Często słyszę, że mam najlepszą pracę na świecie i zawsze wtedy odpowiadam: To prawda! Bo po pierwsze: jestem najbliżej najlepszej drużyny piłkarskiej w tym kraju. Mam styczność z dyscypliną sportu, która zawsze była moją pasją, i dodatkowo brak odpowiedzialności za wynik, jak w przypadku piłkarzy i trenera. To połączenie idealne.

– A ciśnienie, które ciążyło na trenerze, reprezentacji, udzielało Ci się?

– To jest pewien paradoks. Gdy przyszedłem do pracy w PZPN i zacząłem pracować z reprezentacją, na kilka dni, a nawet tygodni

przed meczami, byłem strasznie zdenerwowany. Co się okazało? Tego stresu w ogóle nie podzielają piłkarze, oni są wyluzowani do samego końca. Zaraziłem się od nich tym luzem. Dziś praktycznie do pierwszego gwizdka w meczu nie stresuję się.

– Ten luz może być tak odebrany, że piłkarze lekko podchodzą do swoich obowiązków.

– Rozmawiałem o tym z Robertem Lewandowskim. Powiedział, że skończyły się czasy sztucznej „napiętki”, motywowania się kilka dni przed meczem. On widzi to po piłkarzach na najwyższym światowym poziomie. Jak jesteś piłkarzem, który ma coś wykreować, stworzyć coś niekonwencjonalnego, to musisz mieć luz. Spięte mięśnie nie pozwolą ci tego zrobić. Jak wychodzisz na rozgrzewkę przed meczem, zaczyna się koncentracja. Wcześniej możesz żartować

– Łatwo było zdobyć zaufanie piłkarzy? Każdy jest inny, trzeba jakoś do nich dotrzeć z kamerą i ich nie spłoszyć.

– Trafiłeś w sedno. Do każdego trzeba mieć indywidualne podejście. To pewna trudność, ale i wyzwanie. Żyjemy w czasach, gdy piłkarze coraz częściej się otwierają, prowadzą swoje strony na Facebooku. Wiem, że piłkarze w poprzednich latach mieli za złe, że dziennikarze prasowi czy telewizyjni nie do końca pokazują całościowo ich oblicze, że traktują pewne rzeczy wyrywkowo. Dziś sami piłka-



rze decydują o tym, co chcą pokazać. Niektórym klasyczne dziennikarstwo nie jest potrzebne. Piłkarze są bardziej otwarci przed kamerą.

– Na pewno są tacy, którzy chętniej współpracują i tacy, którzy mniej. Ci bardziej otwarci to np. Grzegorz Krychowiak i Wojciech Szczęsny?

– Wojtek Szczęsny od 16. roku życia mieszkał w Londynie, a przez ostatni rok w Rzymie. W Arsenalu przeszedł bardzo profesjonalne szkolenie medialne. To jest klub, który ma swoją telewizję.

– Jest wygadany z domu.

– Dokładnie, ma naturalną ripostę i to jest momentami imponujące. Grzesiek Krychowiak to z kolei gość, który od 16. roku życia mieszkał we Francji, gdzie francuska telewizja już dawno robi takie zakulisowe materiały. On w tej konwencji wyrósł. Gdybyśmy spojrzeli na Euro, to uwa-

żam, że absolutnym numerem 1, jeśli chodzi o interakcję z kamerą, był Artur Jędrzejczyk. Wyrósł na swoistą gwiazdę tego kanału. Jest dokładnie taki sam, gdy kamera jest włączona i gdy jest wyłączona. To absolutny fenomen.

– Kuba Błaszczykowski z kolei nie chce rozmawiać.

– Utrwaliły się pewne stereotypy. Kuba Błaszczykowski w trakcie eliminacji był bardzo mało obecny w tej reprezentacji w ogóle. Potem wracał do niej po kontuzji. Gdzieś musiał znaleźć w niej swoje miejsce. Kuba będzie jednym z bohaterów tej opowieści, którą montujemy. Mam nadzieję, że będzie ją można oglądać pod koniec roku. Znalazłbym też kilka materiałów, gdzie ludzie byli zaskoczeni, że Kuba był tak wyluzowany. Staraliśmy się docierać do każdego. Jedni są jednak pokazywani z większą intensywnością, drudzy z mniejszą. Jedni to lubią, drudzy mniej.

– Robert Lewandowski to zimna gwiazda?

– On jest najczęściej eksploatowany. Mówiąc szczerze, ma przechlapane. Od niego na każdym kroku ktoś coś chce. Wiem, kiedy mogę z nim wejść w interakcję i on też wchodził w interakcję. Gdybyśmy popatrzyli przez pryzmat eliminacji, tam też było dużo materiałów, gdzie Robert wpuszczał nas do swojego pokoju. Kanał miał dużą promocję po meczu ze Szkocją, kiedy Robert Lewandowski wszedł razem z kamerą do lekarza, gdzie pokazywał swoją obolałą nogę po jednym z brutalnych wejść. On nie boi się otwierać. Byliśmy u niego w pokoju, gdy prezentowaliśmy materiał nagrany w Stanach Zjednoczonych, gdzie ludzie mówili, co wiedzą na jego temat. Robert nie jest zimny, on jest spokojny. Stwierdziliśmy kiedyś w rozmowie z Wojtkiem Szczęsnym, że mamy do czynienia z jakimś geniuszem.



FOT. ARCHIWUM ŁUKASZA WIŚNIEWSKIEGO

Próbowaliśmy zdiagnozować ten geniusz Roberta. Stwierdziliśmy, że jego wrodzony spokój jest jedną z tych cech, które czynią go wyjątkowym.

– Jak się udaje takie gwiazdy jak Lewandowski, Szczęsny, na tydzień przed wyjazdem na Mistrzostwa Europy, zaprosić do Gródka nad Dunajcem na obiad?

– Oni są otwarci na ludzi. To było po meczu w Gdańsku, przed meczem w Krakowie i były dwa dni wolnego. Zawodnicy lubią odwiedzać nowe miejsca i są absolutnymi fanami dobrej kuchni, tak jak w przypadku Roberta.

– Były takie materiały, których cenzura nie puściła?

– Nie ma cenzury. To jest paradoks i ludzie się dziwią, ale nas nikt nie kontroluje.

– Nawet prezes Boniek, trener Nawalka?

– Absolutnie. Zaczynamy montować, kiedy już wszyscy śpią. Do tego momentu żyjemy rytmem drużyny i nagrywamy. Nasza praca produkcyjna trwa między 23. a 2. w nocy. Trudno by było wtedy kogoś budzić. Mamy chyba jednak dużo zaufania. Sami wiemy, że pewnych rzeczy nie można puszczać. To wynika z tego, że zdajemy sobie sprawę, że mamy szerokie grono odbiorców i przesłuchujemy nasze materiały dość uważnie. Jeśli pojawiają się wulgaryzmy, to staramy się je usuwać. To nie cenzura, to dbanie o najmłodszych odbiorców, którzy dzięki „Łączy nas piłka” zaczynają uprawiać tę dyscyplinę.

– A Ty nie chciałeś grać w piłkę, zawsze chciałeś być dziennikarzem?

– Bardzo szybko diagnozuję u siebie słabe strony. Od razu wiedziałem, że nie będę piłkarzem. Grałem w piłkę i uwielbiam grać do dzisiaj. Wiedziałem jednak, że moje zdolności koordynacyjne są bardzo ograniczone. W piątej klasie podstawówki wiedziałem, że chcę być dziennikarzem sportowym.

– Podobno, gdy byłeś chłopcem, siedziałeś przed telewizorem i komentowałeś na głos mecze.

– Było też tak, że jak grałem w FIF-ę to wyłączałem dźwięk i sam komentowałem. Mój tata, który ze mną oglądał mecze, mówił mi: Kupujesz te gazety sportowe, oglądasz te mecze, to może będziesz komentatorem sportowym? Odpowiedziałem mu, że mam wieśniacki głos i się nie nadaje, ale chciałabym pracować w gazecie.

– Ale do gazety ostatecznie nie trafiłeś.

– W gazecie właśnie nigdy nie pracowałem. Pisałem jednak do różnych pism i stron internetowych. Kiedyś w sądeckim Radiu Galicja, które już nie istnieje, ktoś mi powiedział, że moje warunki głosowe nie są takie złe.

– Dlaczego w ogóle piłka nożna?

– Piłka to sport, przez który można poznać wszystkie dziedziny życia. Psychologię, języki, relacje międzyludzkie, socjologię. Uwielbiam też tę dyscyplinę jako grę. W tygodniu, jak

tylko mogę, oglądam po dwanaście, czternaście meczów i sprawia mi to ogromną przyjemność.

– Oglądasz dla oglądania, czy patrzysz na to jak analityk?

– Dużo rozmawiam z ludźmi, którzy się na tym znają i nie chcę sobie uzurpować prawa do tego, że umiem analizować. Dzięki temu, że pracuję w reprezentacji, mam do czynienia na co dzień z profesjonalistami, rozwinąłem się. Po przyjeździe do PZPN zmieniłem poglądy na pewne tematy o 180 stopni. Pracując w Orange Sport wydawało mi się to wszystko takie proste. Teraz im więcej wiem, tym lepiej wiem, że nic nie wiem.

– Dlatego dziennikarze tak bardzo denerwują trenerów piłkarskich?

– Czasem denerwują. Ja mam ten komfort, że rozumiem jeden i drugi świat. Staram się być spoiwem między tymi światami. Wiem, że pewnych rzeczy piłkarzom nie wypada powiedzieć, bo będą uznani za gwiazdorów. Ja te rzeczy mogę powiedzieć, bo patrzę z perspektywy kibica czy dziennikarza. Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie trudne jest utrzymanie dużej grupy facetów ze sobą przez 45 dni, 24 godziny na dobę.

– Nikt się nie pobił, nie pokłócił?

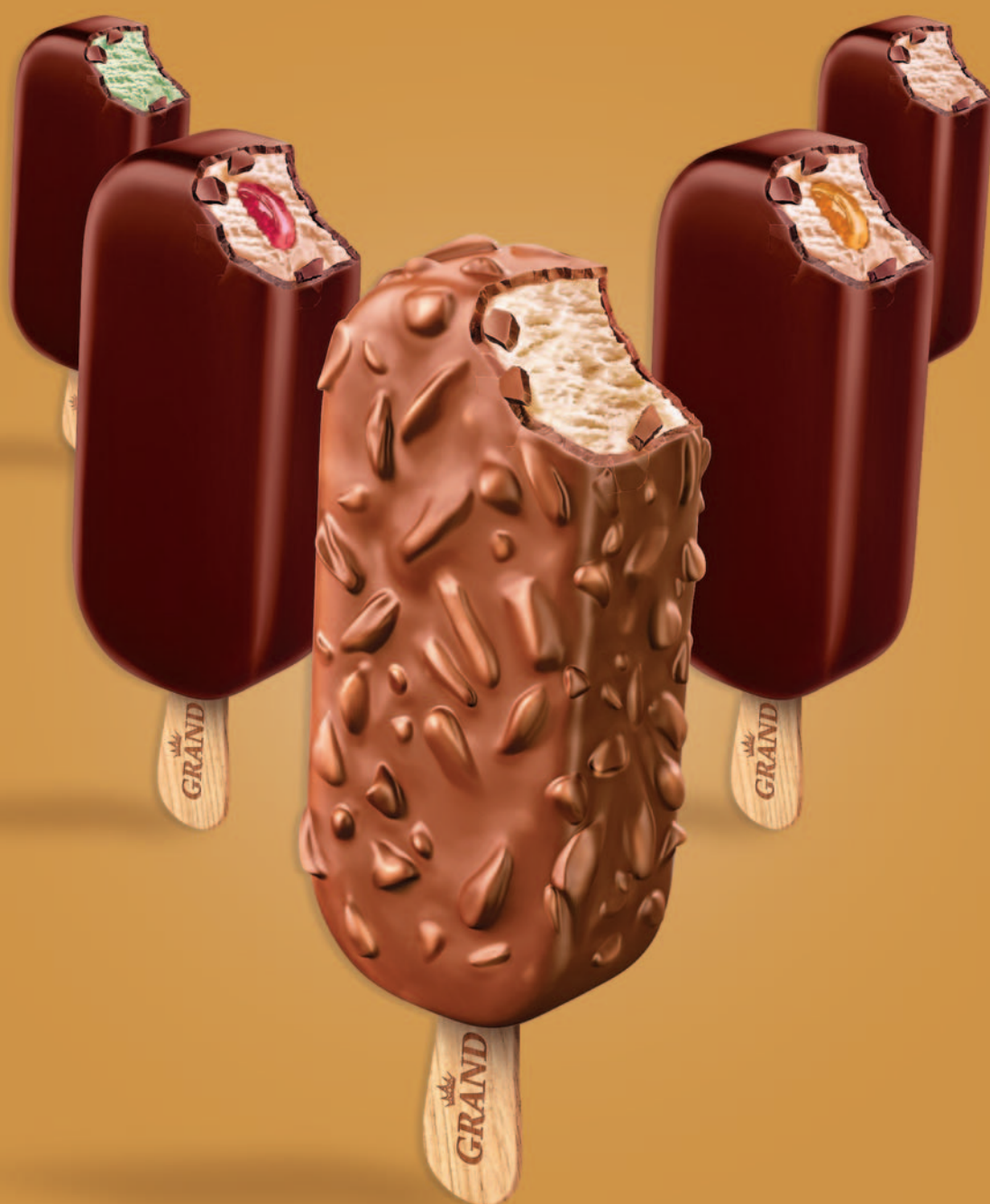
– Były momenty, że ludzie się sobą irytowali, bo to jest normalne, ale to jest wyzwanie. Uważam, że z tego wyzwania trener Adam Nawalka wyszedł zwycięsko.

– To jego zasługa, że i boisko, i kulary wyglądały tak dobrze?

– Absolutnie tak. Selekcjoner wie, że piłkarz nie lubi znużenia. Dbał o to, żeby mogli wyjść sobie na golf, paintballa, iść na spacer, spotkać się z żonami, z rodziną. Zmienialiśmy miejsca. Byliśmy w Juracie, w Arłamowie, potem nad oceanem. On zebrał wszystkie doświadczenia poprzednich lat, swoje i piłkarzy. To, jakie mieliśmy warunki i to, jak to wszystko funkcjonowało poza boiskiem, przełożyło się na to, co było na murawie. W ostatniej fazie zabrało nam trochę szczęścia.

GRAND

GOLD



www.koral.com.pl